TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 47 (1041)
20 LISTOPADA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

JERZY WILMAŃSKI

„WIOSNA" JULIANA TUWIMA

Kiedy młody Julian Tuwim opuścił w roku 1916 Łódź i wyjechał do stolicy, nikt nie przypuszczał zapewne, że niebawem zasłynie jako autor najgłośniejszego skandalu poetyckiego tamtych lat. Wspominając poetę pisze siostra Tuwima, pani Irena Tuwim, że zwiastunką nadciągającej sławy staje się właśnie ów rimbaudowski wiersz „Wiosna". Dookoła młodego poety rozpętała się burza — z jednej strony hołdy, z drugiej zaś inwektywy i najwyższe potępienie.

Głośny ten wiersz datowany jest w „Dziełach" Tuwima — 21 kwietnia 1915. A zatem napisany został jeszcze w Łodzi. Ukazał się drukiem dopiero w Warszawie w czasopiśmie studenckim „Pro Arte et Studio" w roku 1918 w marcu.

I zaczęło się! Pierwszy odezwał się **„Przegląd Poranny"** pisząc: **„z inicjatywy studentek zbierane są podpisy z protestem przeciw obecnej redakcji pisma studenckiego „Pro Arte et Studio" z powodu umieszczenia wiersza niejakiego J. Tuwima. Wiersz ten pod tytułem „Wiosna" pod pozorem chłosty ironicznej pełen jest wyuzdanych słów i cynizmu...".**

„Gazeta Poranna" natomiast opublikowała notatkę zatytułowaną bardzo znamiennie — „Przeciw pornografii". Czytamy w niej: **„wiersz ten pozbawiony jakichkolwiek wartości literackich daje upust tak cynicznej i wyuzdanej rozpuście, że każdy rumienić się musi...".**

Dalszy ciąg na str. 10

ANNA STROŃSKA

ŁÓDZKIE ŻYCIE

czytaj na stronie 7

Drukując poniższy tekst chcemy zwrócić uwagę Czytelników jak i zainteresowanych organów porządkowych na ów, na szczęście wąski margines naszej rzeczywistości, na działalność różnych cwaniaków i „urodzonych w niedzielę", którym jeszcze zbyt często udaje się wykorzystywać naiwność ludzką i żyć na rachunek społeczeństwa.

MAREK MILLER

STORY O LAS PALMASACH

Gdańsk. Jarmark Dominikański — bodaj największy pchli targ w Polsce. Jest piąta nad ranem. Pod kościołem Najświętszej Marii Panny parkują pierwsze samochody. To ci, którzy przez wiele miesięcy przygotowywali się do jarmarku. Teraz wyładowują skrzętnie popakowane worki, tobołki, wyciągają polowe łóżka i składane krzesełka. Ustawiają to wszystko wzdłuż Mariackiej, Bosmańskiej, Długiego Targu, Św. Ducha i jeszcze kilku innych uliczek, w samym sercu Starówki. Miasto dopiero się budzi. Ale oni, drzemiąc jeszcze, pilnują zajętego miejsca, cierpliwie oczekują pierwszego przechodnia, pierwszego turysty, pierwszego człowieka, który kupi.

Przyjechali tu z całego kraju, reprezentują różne specjalności środowiska, ludzkie typy, których bogactwa długo by szukać poza tym miejscem. Są nobliwi antykwariusze i handlarze odpustowymi bibelotami, są ludowi twórcy i właściciele małych wytwórni plastikowych maszkar, są plastycy o znanych nazwiskach i niedzielni artyści, o których nigdy nie usłyszymy. Ten niezwykle barwny ludzki tygiel stanowi jedynie tło naszej opowieści, odpowiednią oprawę historii, która rozpoczęła się dwa lata temu w Łodzi. Nasi bohaterowie to autorzy „WIELKICH POMYSŁÓW". A więc ci, którzy oprócz handlowej operatywności, chęci zrobienia dużych pieniędzy posiadają jeszcze wyobraźnię, umiejętność stawiania wszystkiego na jedną kartę oraz talent pozwalający z uprawianej profesji uczynić swego rodzaju sztukę. Są oni bowiem artystami w robieniu pieniędzy. Mistrzami swojego cechu.

Dalszy ciąg na str. 14

EUGENIUSZ IWANICKI

MIESZKANIE W TRYBIE PRZYSPIESZONYM

Dla wielu ludzi własne mieszkanie nadal stanowi problem numer jeden egzystencji. Posiadanie własnego M ciągle odgrywa istotną, a niekiedy decydującą rolę przy podejmowaniu wielu decyzji: małżeństwo, ilość dzieci, zmiana miejsca zamieszkania itp. Często pod słowem „stabilizacja" ludzie rozumieją „mieszkanie w blokach". Wiadomo powszechnie, że czekanie na przydział trwa kilka długich lat, że w wyniku tego przedłużającego się cyklu, ludzie zmuszani są do wielu wyrzeczeń, desperackich decyzji. W Łodzi leży około 70 tys. podań od ludzi czekających na przydział mieszkania, rocznie oddaje się do użytku zaledwie 10,5 tys. mieszkań. Dysproporcja olbrzymia. Ale nikt nie rezygnuje. Toteż każda możliwość przyspieszenia tego przydziału budzi zrozumiałe zainteresowanie. Żerują na tym cwaniacy, rzekomi pośrednicy chwalący się „chodami" w spółdzielniach mieszkaniowych. Jest to najciemniejsza strona sprawy. Są jednak sytuacje, kiedy możliwość uzyskania mieszkania w blokach w trybie przyspieszonym zależy, w ścisłym słowa tego znaczeniu, od członka spółdzielni mieszkaniowej. Następuje to w sytuacji, w której zakład pracy sprawę mieszkań dla swojej załogi traktuje na równi z planami produkcyjnymi.

1.

W dniu 15 czerwca br. została przygotowana, druga już w historii **ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex"**, umowa z Łódzkim Przedsiębiorstwem Budownictwa Uprzemysłowionego w Łodzi jako generalnym wykonawcą przy współudziale Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej oraz Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa i Wojewódzkiego Zarządu Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich na przerób na sumę 3.156 tys. zł. Przekładając to na „normalny" język oznacza, że ZPB im. J. Marchlewskiego muszą wykonać m. in. takie prace wykończeniowe jak: okna, ścianki, drzwi, tynki wewnętrzne, posadzki, malowanie, różne prace wewnętrzne roboty w szybie windowym, kanały wewnętrzne, instalację wod. kan., instalację c.o. oraz instalację gazową, za co otrzymają 39 kompletów mieszkań dla swoich pracowników

Aby wyjaśnić dokładniej na czym polega ten interesujący eksperyment,

Dalszy ciąg na str. 3

DEKADA KSIĄŻKI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ

czytaj na stronie 15

RECENZJE: LITERATURA • PLASTYKA • MUZYKA • TELEWIZJA

O NIM

Program *) otwiera żywy obraz, zainscenizowana fotografia rodziny Uljanowów, na której zakrzepli w bezruchu aktorzy-wykonawcy ról: Marii Aleksandrowny, matki Włodzimierza (Renata Kossobudzka); Nadieżdy, narzeczonej a potem żony (Ewa Żukowska), dwóch sióstr, Anny i Marii (Krystyna Chmielewska i Ewa Borowik), brata Dymitra (Andrzej Antkowiak) i szwagra Marka Jelizarowa (Ryszard Peryt), by „ożyć" dopiero po chwili. W tym pierwszym ujęciu zakodowana została poetyka całego widowiska. Jest ono próbą ożywienia starego dokumentu, zderzenia jego obiektywnej wymowy z wrażliwością widza.

A zatem nie wychodząc poza autentyzm zachowanych przekazów pisemnych — listów, wspomnień, raportów policyjnych — nie operując fikcją ani uzupełniając wyobraźnią, autor widowiska HENRYK TADEUSZ CZARNECKI zezwolił jedynie aktorom na próbę zbudowania własnych podtekstów w skali zwyczajnych ludzkich przeżyć. Nie chodziło mu bowiem o tworzenie obrazu hagiograficznego. Wielkość wodza zwycięskiej rewolucji socjalistycznej tkwi w wymiarze jego dokonań historycznych i nie wymaga każdorazowych dowodów. Natomiast jego młodość oglądana przez filtr drobnych nieraz spraw codziennych kryje w sobie wiele faktów mało znanych lub wręcz nieznanych, czasem nawet zaskakujących.

Okres życia Lenina objęty ramami scenariusza rozciąga się na przestrzeni od 1894 do końca 1899 roku. Na początku akcji Włodzimierz Ilijcz ma więc 24 lata, jest już po pierwszej zsyłce za rewolucyjne wystąpienia studenckie, po ukończeniu eksternistycznym studiów prawniczych w Petersburgu. Wraz z najbliższą rodziną przeżył tragiczne wstrząsy związane ze skazaniem i egzekucją brata Aleksandra. W 1895 roku poznaje starszą od siebie o rok Nadieżdę Krupską, która będzie odtąd jego towarzyszką walki i życia. Razem przebędą okres zesłania na Syberię, do wsi Szuszeńskie w guberni jenisiejskiej, nazywanej przez nich żartobliwie Szu-szu.

Właśnie pobyt tam wypełnia znaczną część widowiska H. T. Czarneckiego. Jawi się nam Lenin nie tylko gotujący się do gigantycznych zadań i zatopiony w pracy nad wielkim dziełem ekonomicznym „Rozwój kapitalizmu w Rosji", które dzięki ogromowi zgromadzonego materiału i genialności analizy zestawić można z „Kapitałem" Marksa, ale także Lenin pełen młodości i humoru, romantycznie kochający się z Nadieżdą, pisujący wiersze, zawołany myśliwy i dobry kompan w długie syberyjskie wieczory spędzane w gronie przyjaciół-zesłańców przy lampie naftowej i samowarze na pieśniach i dykteryjkach.

Wśród zesłańców, z którymi się styka, nie brak Polaków. Jest stary uczestnik powstania 1863 roku Maciej Błażejewski, jest owiany legendą rewolucjonista Feliks Kon, jest wreszcie łódzki robotnik Promiński, skazany na osiedlenie wraz z rodziną za działalność socjalistyczną. Tego ostatniego gra w widowisku telewizyjnym Janusz Zakrzeński. Głęboko i wstrząsająco brzmią w jego wykonaniu słowa buntowniczej pieśni z „Dziadów" drezdeńskich:

„Gdy będę na zaludnieniu,
Pojmę córeczkę Tatara;
Może w moim pokoleniu
Zrodzi się Palen na cara..."

Sam Lenin nie występuje w widowisku. Jest to wyrazem skromności scenarzysty przy jednoczesnej świadomości wielkiej siły tkwiącej w takiej właśnie, pośredniej rekomendacji postaci. Tu trzeba stwierdzić, że główny ciężar przybliżenia nam prywatnej osobowości Lenina wzięła na siebie **Ewa Żukowska.** Może zadanie miała najwdzięczniejsze, bo przemawiając słowami Krupskiej, mogła nasycić je ciepłem zakochanej i kochającej kobiety. Uczyniła to z wielkim umiarem i oszczędnością środków aktorskich, eliminując skłony w kierunku łatwego sentymentalizmu, a przecież uwierzytelniając z ekspresją i uczłowieczając uczucie dwojga ludzi, o którym wspomnienie zachowało się tylko na papierze. Żukowska ustrzegła się jakiegokolwiek powielania banału, czy konwencjonalizmu, poza który nie udało się wyjść R. Kossobudzkiej w roli matki, czy obu wykonawczyniom postaci sióstr.

Pięknym akcentem nocy sylwestrowej u progu XX wieku zamyka Żukowska widowisko. Gdy wybrzmią chóralne dźwięki starej pieśni „Słońce wschodzi i zachodzi", aktorka wyposaża końcowe słowa Krupskiej w taki ładunek niepokoju i napięcia, że brzmią w nich akcenty niemal prorocze, Zaczyna się nowy wiek, który (my to dziś wiemy!) przyniesie wielkie przewartościowania rewolucyjne i odrodzenie świata. Dla Krupskiej to jeszcze same znaki zapytania, ale Żukowska ożywia tę chwilę nadzieją, która graniczy ze szczęściem...

Niełatwe zamierzenie, jakie wziął na siebie autor widowiska, w całości sprawdziło się na ekranie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

*) Teatr Małych Form: „O nim", scenariusz i reżyseria — Henryk Tadeusz Czarnecki; realizacja — Ryszard Kośmiński; scenografia — Marek Grabowski; oprac. muz. — Dariusz Żebrowski; Emisja — 9. XI. 1977 r.

REFLEKSJE NAD PRZESZŁOŚCIĄ

Wszystko o czym pisze w swej najnowszej książce „Ludzie i sprawy" Włodzimierz Sokorski, to już tylko historia. Tylko że jest to historia nie zmumifikowana, ale żywa, żeby nie rzec nadal aktualna. Być może dlatego, że Sokorski po prostu pisząc o przeszłości, w gruncie rzeczy pisze nieustannie o dniu dzisiejszym. A może też po prostu wydarzenia i ludzie dopiero z perspektywy czasu . nabierają swoistego rodzaju aktualności. Jedno jest pewne, Sokorski pisząc wspomnienia pisze o teraźniejszości. Kreśląc portrety ludzi już nieżyjących, z którymi spotykał się na co dzień, pisze o nich jakby ich pożegnał przed chwilą, jakby prowadzone z nimi rozmowy zostały jedynie przerwane na bliżej nieokreślony czas, ale do których za chwilę powróci.

Na pewno jest to wielka sztuka pisarska. Zasugerować czytelnikowi, iż odnotowane rozmowy czy to z Gałczyńskim czy to z Solskim, Dunikowskim czy Staffem, miały miejsce w rzeczywistości, zostały utrwalone na nie istniejącej taśmie magnetofonowej i obecnie są tylko odtwarzane. A przecież w rzeczywistości tak nie było. Owszem, były rozmowy, wadzenia się, nieraz na pewno ostre polemiki. Tylko że po latach w pamięci piszącego zachował się jedynie ich sens, jakieś jedno lub dwa powiedzenia, jak w przypadku Leopolda Staffa, słynne lecz jakże trafne stwierdzenie, iż: „Podziwiam Zofię Nałkowską, ona i teraz potrafi być królową. Jadwiga została świętą. Bona grzechem pierworodnym. Maria Dąbrowska Dziewicą Orleańską. Zofia — Polską Ludową".

Książka ta powstała z comiesięcznych zapisków fetietonowych zamieszczanych głównie na łamach „Miesięcznika Literackiego". Ale stąd też i felietonowy charakter tej książki, różnego rodzaju zapiski, różna poruszana w nich problematyka, Jedno jest pewne, że dopiero w książce można prześledzić tropy rozmyślań autora, w gruncie rzeczy ich polemiczny charakter. Bo Sokorski w książce tej przede wszystkim polemizuje z wypracowanymi przez środowiska twórcze schematami oceny przeszłości dotyczącej głównie lat pięćdziesiątych. Lat w naszym życiu politycznym i kulturotwórczym dramatycznych, pełnych napięć i swoistych niedomówień. Ale też lat niewątpliwie twórczych, które zadecydowały o dzisiejszym kształcie naszej kultury, politycznego myślenia.

W zapiskach tych Sokorski jest politykiem i chociaż obecnie — jak sam się przyznaje — poza pisaniem i redagowaniem czasopisma — pozbył się wszystkich innych społeczno-politycznych funkcji i stanowisk, nie rezygnuje z politykowania. Oczywiście nie w pejoratywnym tego słowa znaczeniu. Zresztą jak sam się przyznaje w posłowiu, szkice te adresuje do „ludzi, którzy rozumieją politykę, kochają sztukę i mają poczucie humoru oraz świadomość proporcji spraw wielkich i małych, w których przegląda się nasze istnienie".

Tylko że w książce trudno jest wyodrębnić te sprawy wielkie i sprawy małe. Wszystko bowiem o czym pisze Sokorski w istocie jest ważne, liczące się, pierwszoplanowe. Zarówno jego wspomnienia — rozmowy z twórcami jak i rozważania o polityce, filozofii, realiźmie socjalistycznym. Nie ma może tylko tego dramatyzmu, który przecież właśnie tym rozmowom jak i wydarzeniom wówczas towarzyszył. Ale zapewne z perspektywy lat przeszłość widzi się bardziej łagodną, mniej udramatyzowaną. Ostrość sporów i polemik łagodzi świadomość, iż nigdy już więcej nie będzie można wadzić się z interlokutorami, a nawet jeśli racje historia przyznała piszącemu, to przecież nie wypada napadać na kogoś kto już i tak nie może się bronić. A zresztą, przecież Sokorskiemu chodzi po prostu o próbę własnej prezentacji osobowości swoich interlokutorów, osobowości nietuzinkowych, jakże odmiennych i zróżnicowanych. Osobowości ludzi jednej epoki, której historyczność wciąż jeszcze jest niezauważalna. Może dlatego, iż ludzie ci odchodzą stopniowo, ich biografie nie zdążyły jeszcze obrosnąć pośmiertnymi legendami. Wciąż też jeszcze żyją ich jeśli już nie rówieśnicy, to w każdym razie młodsi wiekiem przyjaciele i bliscy znajomi.

Sokorski na kanwie rozlicznych przytaczanych rozmów z Tuwimem, Borejszą, Kruczkowskim, Gałczyńskim, Broniewskim, Staffem, Nałkowską, Dąbrowską, Solskim, Schillerem, Szyfmanem, Kobzdejem, Cybisem, Szapocznikow, Dunikowskim, prezentuje własne poglądy na politykę, filozofię, kulturę, sztukę, literaturę, teatr, film, telewizję, Nie stara się przy tym swoimi poglądami być za wszelką cenę oryginalnym bulwersującym wypowiedziami czytelnika. Nie stara się również zawsze mieć rację. Niejednokrotnie przytacza opinie innych diametralnie różniące się od własnych, opinie, które z czasem okazały się słusznymi.

I mimo całej autoironii zawartej w felietonach, mimo nieustannego przywoływania dowcipu, opowiadania nieraz mocno pikantnych anegdot i to z życia osobistego, w wypowiedziach dotyczących spraw ważnych — a takimi są dla niego polityka i sztuka — stara się być rzeczowy, klarowny, w wypowiedziach jednoznaczny. Relacjonując swoje poglądy stara się przede wszystkim wskazać na te wszystkie momenty swej politycznej głównie działalności, które zadecydowały o drodze rozwojowej polskiej sztuki. Bo mimo, iż była to przede wszystkim działalność o charakterze administracyjnym, to jednakże ściśle przecież wiązała się z jego całym ideologicznym widzeniem spraw kultury. Dla Sokorskiego bowiem „sztuka jest zresztą w większym stopniu wykładnikiem aktualnej polityki, niż to się wielu ludziom wydaje. Przy tym pozwala na zbliżenia, które w stosunku do zjawisk politycznych wymagają dystansu".

Tylko że zarówno sztuka jak i polityka wymagają zawsze emocjonalnego zaangażowania. Tego właśnie zaangażowania, które Sokorski zawsze przejawiał i przejawia i to zarówno wówczas kiedy był ministrem i działaczem politycznym jak i obecnie kiedy spisywał swoje refleksje nad ludźmi i sprawami, które tylko pozornie należą już do materii wspomnieniowej. Dopóki bowiem żyją bohaterowie spraw dopóty nie można mówić o historii, ale jedynie o wciąż aktualnym dzianiu się. Tak jak to jest w przypadku zapisków Sokorskiego.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Włodzimierz Sokorski: Ludzie i sprawy. WAiF. Warszawa 1977 r., str. 254, zł 33.

MALARSTWO MARCELA MAEYER'A

Marcel Maeyer jest malarzem belgijskim średniego pokolenia Jego wystawa indywidualna w Muzeum Sztuki daje możliwość spotkania z najnowszym malarstwem przedmiotowym. Obrazy pochodzą z lat 1972—1976. i łączą się w kilka cyklów tematycznych. Punktem wyjścia dla wszystkich jest fotografia. Jeden z wcześniejszych cyklów (lata 1972—1973) to szare przedstawienia „z ulicy" — wykadrowane fragmenty bruku, chodnika, muru; takie też są tytuły tych obrazów: „Przejście dla pieszych", „Mur", „Właz do kanału", „Rura kanalizacyjna", „Plac Marii Hendriki" „Roboty drogowe".

Są to — pokazane jak w dużych powiększeniach fotograficznych — widoki możliwe na każdej ulicy, anonimowe i powszechne. W tym cyklu elementarne są szarości, którymi oddawane są faktury: muru, bruku, płyty chodnika, asfaltu, betonu, metalu, drewna. Kolor wprowadzany jest tylko jako pojedyńczy sygnał pozostający na powierzchni przedstawianych przedmiotów, pokrywa materię modelowaną, tworzoną w szarościach, i występuje tylko tam gdzie został użyty przez człowieka malującego farbą przedmioty potem przedstawiane przez artystę: w białych lub żółtych pasach przejść dla pieszych, w białoczerwonych pasach pokrywających barierkę, która wyznacza na jezdni miejsce robót drogowych. Poza szarościami, które budują przedstawienie na obrazie i uzmysławiają materię rzeczy przedstawianych kolor wprowadzany jest jako cytat. Jest to ponowne malowanie muru, metalu, drewna. Uwaga malarza wybrała takie przedmioty, które najpierw zostają stworzone — i w rzeczywistości i na płótnie — potem pokryte kolorem w tym samym, jakby naturalnym, porządku. Iluzja malarstwa przedmiotowego wykracza tutaj poza wyłączną zgodność z fotografią — punktem wyjścia przedstawienia — i polega na próbie zachowania zgodności z określonym porządkiem pozamalarskim powstawania rzeczy. Podobnie malowany jest „Taxi-telefon" z 1973. Cały obraz wypełnia metalowa skrzynka z telefonem, taka, jakie stosuje się na postojach taksówek. Malowana czernią i szarościami — kolor użyty tak jak użył go ktoś malujący skrzynkę na ciemnoróżowo — farba odpryskuje i w miejscach tych na powrót widoczny jest szary metal. Również „Okno" z 1973 jest dowodem że obrazy Maeyer'a są powolną, skupioną **rekonstrukcją**; przestrzeń pomiędzy czterema różnymi płaszczyznami (drewnianej ramy okiennej, szyby, rolety i zasłony) doświadczana jest jako malarska różnica pomiędzy rodzajami materiałów i układ cieni.

Kolejny cykl to „Budy jarmarczne" z 1976. Zasłony, jednokolorowe lub w pionowe pasy, naciągnięte na prawie niewidoczne przedmioty mają załamania lub sfalowania modelowane światłocieniem. Spod nich, przy dolnych krawędziach obrazów, widoczne fragmenty osłanianych płaszczyzn, kolorowo malowanych desek owych bud jarmarcznych. Powraca tu w trochę inny sposób rozgraniczenie z pierwszego cyklu; element malarstwa rozumianego jako rekonstruowanie (odtwarzanie) i ujawnianie materii, współistnieje z elementem tautologicznego powtarzania pracy polegającej na malowaniu przedmiotów farbą, w tym wypadku płaszczyzn, z których zbudowane są budy na jarmarku.

Zestawienie żywego, tego co malarz tworzy, płaskiego będącego iluzją tego co przestrzenne i podlegające zmianom (plastyczność płótna i jego współzależność ze światłem), z martwym, tym co zostało zastane i co zostało „powtórzone" w obrazie bez potrzeby stosowania przemian malarskich.

Cykl najnowszy to „Karuzele" z 1976. Karuzele z końmi przykryte ochronnymi płachtami-namiotami. W obrazach tych pojawia się coś co można nazwać podwójnym kadrowaniem. Pierwsze jest zgodne z zasadą fotograficznego zbliżenia, kompozycja z form dopełniających się w zamkniętą całość „poza zasięgiem obiektywu". Drugie kadrowanie pojawia się przez fakt, że przedmioty przysłonięte są przez płótno, widać fragment końskiego łba lub grzbietu, liny, fragment stropu karuzeli. Łączy się tutaj element wyboru widzialnego fragmentu z tym co w tak wybranym wycinku może być widzialne.

W realizmie fotograficznym fotografia pomocna jest do przezwyciężenia ruchomego, malarskiego oka i niezależnych autonomicznych cech materii jaką jest farba i płótno. W malarstwie Maeyer'a, dla którego również punktem wyjścia jest fotografia, stanowi ona nie tylko określony język ujawniający się przez specyficzne kadrowanie i zbliżenia, ale też wyjściowy powód do śledzenia rzeczywistej materii, do której się zbliża. Pojawia się tutaj wyraźnie autor-odtwórca rzeczy. Pojawia się również decyzja zawarta w wyborze przedstawiania rzeczy anonimowych, które na co dzień są nieme. Nie ma w malarstwie Maeyera ani ludzi ani przyrody, są tylko przedmioty i ich fragmenty stworzone sztucznie, takie które Maeyer próbuje poprzez malarstwo o d t w o r z y ć.

EWA MIKINA

SOLIŚCI

To, co mi powiedział po obu koncertach Sulpicjusz, daje się streścić i wypunktować następująco:

Po pierwsze uzgodniliśmy, że za nic w świecie żaden z nas nie zgodziłby się — naturalnie gdybyśmy byli dyrygentami — na poprowadzenie tych koncertów, bo już po samej ilości materiału, jaki należało przygotować, sądzić było można o poziomie możliwym do osiągnięcia — to, że na przykład zdarzyło się waltorni w I części D-dur Brahmsa wejść takt wcześniej, jeszcze o powyższym nie daje wyobrażenia.

Po drugie żal nam było bardzo, że ze względów finansowych raczej nie do zrealizowania jest pomysł „wymiany załóg" choćby z najbliższą filharmonią, co wrażliwszym na „pewne względy" stworzyłoby warunki pełniejszego wykazania się przed własną publicznością. Byłoby ciekawsze i miarodajniejsze przy okazji, gdyby ci, co przebrną przez eliminacje przed komisją artystyczną oraz ci, którzy to załatwią drogą łagodnej perswazji, grali na własnej estradzie pod swoim lub obcym dyrygentem — do uzgodnienia i z orkiestrą... poznańską na przykład. Ostatecznie, redukując sprawę do jednego tylko koncertu, wymieniające się filharmonie kosztowałby ten „interes" drobiazg, jak na instytucję — wynajęcie autokarów.

Nie do wszystkich koncertów mogłem się przygotować. I tak nie zdobyłem partytury koncertu Friemana na dwa fagoty, więc nie wcześniej nie wiedząc o tej kompozycji nie usiłuję ustosunkować się do wykonania tego utworu — jak się później okazało, transkrypcji Vivaldiego. Podobnie z koncertem na dwa rogi Telemanna, ale znając kłopoty z waltorniami i waltornistami, o których nigdy nic pewnego powiedzieć nie można i których to lepiej pochwalić niż zganić, tyle tylko powiem, że w całości podobało się i mnie, i innym wykonanie tego utworu.

Koncert na dwoje skrzypiec Bacha pomimo dostępności technicznej zawiera poważne problemy stylowe. Naówcześni teoretycy zalecali wstrzymywanie się na każdej napotkanej kadencji uważając, że są to miejsca służące okazaniu znajomości rzeczy i artystycznego smaku. Ale nie w romantycznym stylu. Zastanawiałem się, czy to potrzeba „pokazania się" nie zaszkodziła Bachowi. Niekorzystna różnica w jakości dźwięku obu instrumentów, brak wyczuwalnego podkreślenia mocnej części taktu w allegro, pozory współgrania, nieciekawa część druga z jeszcze mniej ciekawym zakończeniem, które niektórzy proponują grać aż dolcissimo, okropne i nie z tego świata seksty, septymy i oktawy w części trzeciej. Orkiestra miejscami za głośna, ale w akompaniamencie do larga dość dobra.

Wykonując Introdukcję i Rondo capriccioso Saint-Saënsa wypadałoby zastanowić się nad złożeniem synkop ronda — z synkopy na synkopę, z wewnątrztaktowej na czołową. Poza tym „capriccioso" odnosi się do charakteru utworu, skąd więc zwolnienia? I gdybyż jeszcze te Edurowe gamki nie przebiegały przez nie odkryte dotąd regiony...

Potężny D-dur Brahmsa chyba był nie zrozumiany. Wibracja spięta i wąska, pazurki akordowego tematu gdzieś schowane, kadencja zagrana dziwacznie i prawdopodobnie pod jakieś nagranie. Po co? A komu potrzebna była zmiana tempa na szybsze w części drugiej?

Koncert obojowy Haydna w wykonaniu Mieczysława Pawlaka dzięki muzykalności wykonawcy, starannemu frazowaniu, wyczuciu i nawiązaniu artystycznego kontaktu z publicznością bardzo się podobał.

Drugim równie udanym występem było wykonanie koncertu na klarnet Webera przez Adama Wierzbę, którego gra nagrodzona została dużym aplauzem i uznaniem za przygotowanie i artystyczną rzetelność.

Tym, co życie psychiczne biorą za duchowe, dała niezłą lekcję Małgorzata Tomalak-Wierzba wykonując I koncert Szymanowskiego z takim rodzajem spokoju, który to właśnie pozwala przejrzeć ten artystyczny zapis wrażliwości, głębi i złożoności ludzkiej natury. Zachwyciła znakomitą intonacją, co przy niosącym i pozwalającym grać bez wysiłku instrumencie stworzyło dodatkowy walor. Jak trzeba umieć wykorzystywać kontekst kompozycji świadczy flażoletowe fis-e-d, ten tak krótki, a w odniesieniu do całości kompozycji znaczący wiecej niż najczulsza pieśń matki, motyw. Bardzo piękny występ i dobra „orkiestrowa" wizytówka łódzkiej szkoły skrzypcowej. Natomiast w akompaniamencie i tutti orkiestrowym zastanawia rwanie niebotycznymi fortissimami ciągłości solistycznej narracji. Podobnie stało się z koncertem Chaczaturiana — tydzień później. Myślę, że rozpuszczanie orkiestry, a zwłaszcza blachy w koncercie solowym, nie powinno mieć raczej miejsca — co innego, gdy się trafi fff w symfonii.

Myślę, że wiedzy i umiejętnościom zawodowym Zdzisława Szostaka, który przygotował i poprowadził tak dużą liczbę koncertów zawdzięczamy, że mogliśmy być świadkami tych ciekawych koncertów. Ponieważ podobne emocje oczekują nas za pół roku, wiec przy bardziej okrojonym z ilości numerów programie liczyć będziemy na kolejne doznania artystyczne i to wzięte z własnego podwórka.

PIOTR PIETRZAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

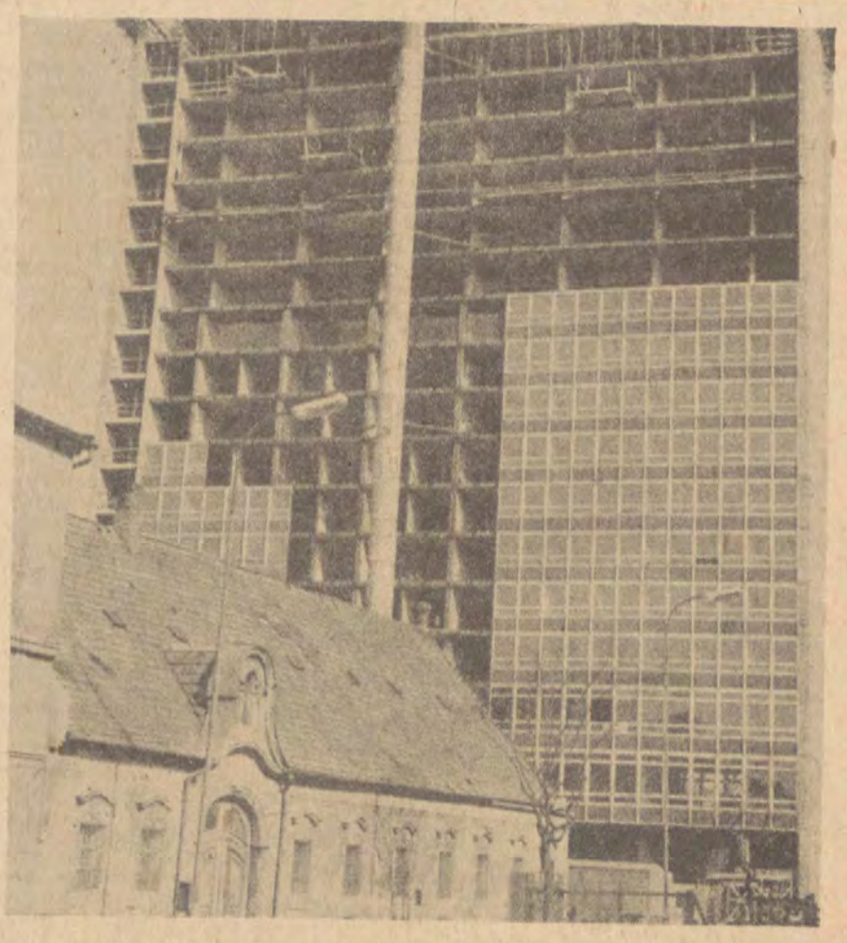

Foto: Archiwum

MIESZKANIE W TRYBIE PRZYSPIESZONYM

Dalszy ciąg ze str. 1

należy cofnąć się do jesieni ubiegłego roku, kiedy to podobną umowę zawarto po raz pierwszy.

Ludzi pracujących „u Marchlewskiego", a czekających na mieszkania jest sporo. Kiedy nadarzyła się więc okazja skwapliwie z niej skorzystano. Zwołano naradę, przedstawiono robotnikom sprawę. W pierwszej wersji ustalono, że każdy, kto zostanie objęty przyspieszonym przydziałem mieszkania przepracuje na budowach prowadzonych przez ŁPBU 500 godzin. Nie może to oczywiście w żadnym przypadku odbić się ujemnie na pracy w zakładzie. Pracować można dopiero po godzinach swojej pracy zawodowej. Kryterium przydziału mieszkań było następujące: przydatność pracownika w zakładzie, warunki mieszkaniowe w jakich obecnie mieszka oraz przynależność do Spółdzielni Mieszkaniowej (nie brano pod uwagę tych, którzy należą do spółdzielni po 7—8 lat, gdyż i tak wkrótce otrzymają przydziały). W sumie wytypowano 45 pracowników.

Wkrótce okazało się, że tempo pracy na budowach jest za słabe i na czas nie zdążą. Zebrano powtórnie zainteresowanych. Ilość godzin pracy podwyższono do 600.

Początkowo „Poltex" wysyłał na budowę ludzi wysoko wykwalifikowanych: fachowców od c.o., wod. kan. itp. Okazało się jednak, że tam wykorzystuje się ich do prac porządkowych, zasypywania dołów, mycia szyb itp. Inni, nie fachowcy, poświęcali każda wolną godzinę po pracy, wolne soboty i niedziele, niekiedy urlopy. Lecz 600 godzin, to przecież prawie kwartał pełnego zatrudnienia! Dlatego też na budowach pracowały całe rodziny, często pomagali znajomi, koledzy z pracy. Pracę rozpoczęto pod koniec ubiegłego roku, a do końca I kwartału br. 45 rodzin pracowników ZPB im. J. Marchlewskiego przeprowadziło się do nowych mieszkań.

Tu należą się dodatkowe wyjaśnienia: otrzymując skierowanie do pracy na budowach prowadzonych przez ŁPBU pracownik nie otrzymywał gwarancji co do dzielnicy w jakiej w przyszłości otrzyma mieszkanie, piętra czy budynku. Uniknięto w ten sposób niesnasek, rozgoryczeń i podejrzeń o faworyzowanie jednych a pomijanie drugich.

2.

Umowa o pracę pomiędzy „Marchlewskim" a ŁPBU dotyczy „przerobu" czyli wykończenie dwuklatkowego, 11 kondygnacyjnego bloku mieszkalnego. Wyceniono to na wspomniane już 3.156 tys. zł. Aktualnie mają do wykończenia blok 213 przy ul. Lutomierskiej na osiedlu Żubardź. Zakłady „Poltex" nie mogą wykonać tych wszystkich robót, które były cytowane powyżej, gdyż np. nie mają uprawnień na prowadzenie prac gazowych. W związku z czym część tych robót wykonuje ŁPBU, a „Marchlewski" swoimi ludźmi na innych, prowadzonych przez ŁPBU robotach budowlanych, musi „odpracować" to, co za nich wykona ŁPBU. W związku z tym ludzie z „Poltexu" pracują na różnych budowach, w różnych dzielnicach Łodzi.

ŁPBU oblicza, że każda przepracowana roboczogodzina kosztuje 70 zł. Jeśli każdy odpracuje te swoje 600 godzin, to pomnożone przez 70 dadzą w sumie 2 mln zł „przerobu". (Proszę mi wybaczyć te „przeroby" ale to jest język naszych budowlanych). Sumę tę odlicza się od ogólnej, na jaką opiewa umowa. Dlatego też ZPB im. J. Marchlewskiego wysyła na budowy nie tylko tych, którzy idą „odpracować" te swoje 600 godzin ale montuje specjalne brygady fachowców budowlanych zmniejszając w ten sposób „zadłużenie" u ŁPBU. Bowiem najwyżej wycenia się prace konstrukcyjne, najniżej porządkowe.

Aktualnie oddelegowano grupę 24 fachowców: 5 murarzy, 2 cieśli, 6 malarzy, 2 elektryków i 9 hydraulików. Do końca roku trzeba wykonać prace na te 3.156 tys. zł. Wówczas 39 pracowników będzie mogło wprowadzić się do własnych mieszkań.

Sprawa przyspieszonego przydziału mieszkań dla załogi, to duże obciążenie dla samego zakładu. Doszło do tego, że trzeba było zabrać ludzi pracujących przy wznoszeniu własnej wykończalni i posłać ich na budowę. Niekiedy przesuwa się pewne prace jeśli ludzie są potrzebni akurat do prac porządkowych, czy innych na oddawanych do zamieszkania blokach. Obserwuje się ciekawe zjawisko: załoga stara się wówczas tak pracować, by nie odczuwało się braku tych pracowników, którzy pomagają na budowach. Wytworzyło się poczucie solidarności: skoro pojedyńczemu człowiekowi jest trudno odpracować 600 godzin, często w niedzielę idzie cały oddział, koledzy z zakładowej organizacji ZSMP, koledzy z rady zakładowej. **Jest to spontaniczna, samorzutna pomoc. Świadczy ona o wielkiej solidarności, o silnym zespoleniu załogi, o pięknych ludzkich przyjaźniach.**

3.

Drugi rok trwa współpraca pomiędzy budowlanymi Łodzi a ZPB im. J. Marchlewskiego. Dotychczas uzyskało mieszkania 45 osób, w najbliższym czasie otrzyma dalsze 39 pracowników. Pozostanie jeszcze ok. 100 podań, z czego 17 będzie wymagało rozpatrzenia w pierwszej kolejności. Ludzie mieszkają w ciężkich, antysanitarnych i antyzdrowotnych warunkach. Akcja przyspieszonego otrzymania własnego mieszkania stała się niezwykle popularna. Zarówno KZ PZPR, Rada Zakładowa Związku Zawodowego jak i dyrekcja wnikliwie i skrupulatnie bada każdą kandydaturę. Na dobrą sprawę wystarczy jeszcze dwa lata, by problem mieszkaniowy załogi ZPB im. J. Marchlewskiego został rozwiązany w stopniu zadowalającym. Niestety, sygnatariusze wspomnianej na początku umowy przeciągały jej podpisanie. Porozumienie zostało przygotowane w czerwcu br., ZPB im. J. Marchlewskiego podpisało je od razu, natomiast Łódzkie Zjednoczenie Budownictwa dopiero 14 września br.! A więc to, co należało zrobić w ciągu półrocza, należy wykonać w 3 miesiące. Ponadto jakże często przedsiębiorstwo budowlane nie ma roboty dla zgłaszających się pracowników „Poltexu", gdyż albo dopiero rozpoczęto budowę, albo wznosi się część konstrukcyjną. Ludzie z „Poltexu" przychodzący na budowę odchodzili z niczym. Mówiono, że jak skończymy budynek, wtedy przychodźcie. Myślę więc, że na jakimś etapie zabrakło zwyczajnej sprawy, jaką jest koordynacja. A czas nieubłaganie płynie i w niedługim czasie trzeba będzie rozliczyć się z zobowiązań.

Rozliczanie z prac na budowlach jest skrupulatnie przestrzegane: majster przydziela zadania i czas na ich wykonanie. Nie można się obijać, tempo jest szybkie. Albo wykona się robotę w terminie, albo trzeba pracować parę godzin dłużej. Są jednak budowy, gdzie pomyślano o zabezpieczeniu zarówno samej pracy jak i narzędzi dla jej wykonania. Chwalą w „Poltexie" młodą kadrę kierowniczą pracującą przy wznoszeniu bloku u zbiegu ulic Pojezierskiej i Księdza Brzóski, źle mówią o pracy przy bloku 115 na Widzewie. Jedno przedsiębiorstwo — różni ludzie i diametralnie różne warunki pracy.

4.

Posłuchajmy co mówią ci, którzy pracują na budowach, ci, którzy już otrzymali mieszkania i ci, którzy jeszcze odpracowywują te swoje 600 godzin.

Zdzisław Zyman — kier. oddz. instalacyjnego Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego: mieszkanie w trybie przyspieszonym otrzymałem w ubiegłym roku. Byłem opiekunem grupy społeczników. Ale 600 godzin to b. dużo. A tu jesień, zimno, brak oświetlenia na budowie, brak pomieszczeń i pakamer do rozbierania się. Przychodziliśmy tam po pracy i trzeba było pracować po ciemku. Prace także nie były skoordynowane: przyprowadzam członków rodziny, wcześniej kierownictwo budowy było o tym zawiadomione, a tu pracy nie ma, nikt nie zatroszczył się o to. Przyjdźcie, powiadają, jutro albo za tydzień, bo teraz trwają montaże. Potem jakoś się unormowało, czyściliśmy okna, sprzątali mieszkania, kopaliśmy fundamenty pod nowe bloki. Majster mówił zazwyczaj: jak poczyścicie okna, to wpiszę wam po 10 godzin. Staraliśmy się poczyścić, bo im szybciej tym lepiej dla nas, jeśli się nie zdażyło na czas trzeba było pracować dłużej. W sumie pracowałem 5 m-cy. Mieszkanie otrzymałem na Retkini.

Obecnie nadal prowadzę roboty instalacyjne jako kierownik grupy na Osiedlu Widzew-Wschód, blok 115, dwuklatkowy, 11 kondygnacyjny. Mam duże zastrzeżenia do budowlanych. „Poltex" dał wszystko: ludzi, sprzęt, narzędzia. Natomiast ŁPBU prawie przez dwa tygodnie nie przydzielało nam pakamery, a gdy w końcu przydzieliło to sześcioosobową dla 14 osób. A na budowie warunki pracy są różne: mokro, wilgoć, nie ma gdzie suszyć ubrań, brak pieca, nie ma gdzie się przebrać. Mistrz co prawda poupychał nas jakoś do innych kantorków razem z pracownikami z ŁPBU, ale nie na długo; już nas stamtąd wyrzucają. ŁPBU niczego nam nie gwarantuje, wymaga jedynie pracy.

Praca na takim bloku różni się od tej w zakładzie, choć tu i tam prowadzimy prace instalatorskie. Przykład z ubiegłego roku: przygotowaliśmy kształtki pocięte, złożyliśmy je w piwnicy by jutro przyspieszyć tempo. Nazajutrz — piwnica pusta, zabrano. Na budowach panują zwyczaje, że jeśli coś potrzebujesz a nie masz, bierzesz co pod ręką. Niech potem inny się martwi, że nie ma. I tak w kółko. Albo butle z gazem: przywożą, rzucają w piasek. Nadjeżdża spychacz, zasypuje. Szukają przez dwa dni, podnoszą alarm. Z konieczności więc musimy wszystko wozić ze sobą: palniki z wężami, pionierki hydrauliczne, narzędzia do kucia ścian itp. Ale swoją pracę wykonujemy dobrze i w terminie.

Eugeniusz Janiszewski — ślusarz remontu przędzalni średniej: w ubiegłym roku przepracowaliśmy 600 godzin, tzn. ja, żona, syn, brat i siostra na budynku przy ul. Limanowskiego i Prusa. Tam teraz już mieszkają. Przychodziliśmy o 14.00 i byliśmy do 21.30, nieraz dłużej. Do nas należało zmywanie, sprzątanie, mycie kaloryferów, wożenie żwiru i cementu. Chcę powiedzieć o koordynacji robót: któregoś dnia budowlani rozmontowali windę zewnętrzną pomocniczą, a tu trzeba na 10 piętro dostarczyć parę taczek piasku i cementu. No, więc nosiliśmy na plecach. Przeproszono nas, że winda została rozmontowana, bo to z pośpiechu. A nam się wydawało, że często sami budowlani nie bardzo się orientują co już zrobiono, a czego jeszcze nie.

Jan Gacki — ślusarz brygadzista: mieszkam przy ul. Piotrkowiej 145. Zimą woda zamarza w kranach. Najcieplej, to 11 stop. C. Chcąc przez całą zimę utrzymać taką temperaturę musiałbym zużyć 4 tony węgla. Mam pokój z kuchnią na trzy osoby. Toteż możliwość przepracowania tych 600 godzin przyjąłem z entuzjazmem. Pracuję na budowie przy ul. Pojezierskiej i Księdza Brzóski i mam już przepracowanych 200 godzin. Chodzę tam z całą rodziną. Początkowo były kłopoty z kierownictwem budowy, teraz jest już dobrze. Ale są koledzy, którzy ciągle jeszcze mają konto zerowe. Wynika to z faktu, iż na budowach kończy się pracę o 15.00 i robotnicy idą do domu, a więc praktycznie nie ma kto się nimi zająć i pokierować, pokazać co mają robić. W moim przypadku jest inaczej, kierownictwo udostępniło nam budynek. Niestety nie ma światła, a zmrok zapada teraz wcześnie. Stąd konieczność przychodzenia z rodziną, inaczej się nie zdąży.

Halina Gągolewicz — przew. rady związkowej oddziału wykończalni: odpracowała już ponad 300 godzin. Nie wierzyłam, że ja, słaba kobieta kiedykolwiek to odpracuję, gdyż mój mąż jest chory i nie może mi pomóc. Ale koleżanki powiedziały: nie martw się, pomożemy. No i chodzą ze mną, zazwyczaj idziemy grupą 10-osobową. Pomagają mi z czystej przyjaźni, to są naprawdę wspaniałe koleżanki. Myjemy okna, drzwi, czyścimy rury grzejne, kanalizacyjne. Jest to blok przy Pojezierskiej i Księdza Brzóski. Mankamentem jest brak sprzętu. Jak mogę sięgnąć do góry okna, skoro nie ma na czym stanąć? Kiedy myłam okna na 10 piętrze i spojrzałam w dół, to myślałam, że wypadnę. Nie mamy żadnego zabezpieczenia, a musimy wchodzić na parapety, albo na wiadra, beczki itp. Co z tego, że nasz zakład nas ubezpieczył?

Włodzimierz Kałużny — krojczy: w tej fabryce pracuje moja cała rodzina, jesteśmy związani z „Poltexem" od pokoleń. Uzyskałem możliwość przepracowania 600 godzin w zamian za co otrzymam wcześniej mieszkanie. Obecnie mieszkam przy Więckowskiego 78 m. 30. Całe moje „mieszkanie" to 17 m kw. powierzchni, jest to jeden pokój dla mojej czteroosobowej rodziny. Ciemny (latem i zimą trzeba palić światło), piece węglowe, bez wygód. Przepracowałem już na budowie ponad 200 godzin. Z reguły przychodzi nas pięć osób: ja, żona, brat z dziewczyną i kolega. Ciężko, to prawda. Ale jestem gotów przepracować tysiąc godzin byleby otrzymać w końcu własne mieszkanie.

Feliks Janicki — drukarz: mieszkam przy Morgowej 10, w starym domku bez wygód. Ubikacja na podwórzu, studnia także. Całe to „mieszkanie" to zaledwie 17 m kw. Jak się pali w piecu — to temperatura dochodzi do 16 st. Zimno, wilgoć, choruje dziecko i żona. W ubiegłym roku spaliłem 3,5 tony węgla, w tym otrzymałem przydział na 1,3 tony. Cała nadzieja w tym nowym mieszkaniu. Odpracowałem już sporo, pomagają mi koledzy z pracy, z mojego wydziału. Oni znają dobrze warunki w jakich mieszkam. Chcę powiedzieć, że nikt nie wymaga ode mnie abym stawiał wódkę lub dawał jakąś inną rekompensatę. W takich sytuacjach jak moja, człowiek przekonuje się czym naprawdę jest przyjaźń.

5.

I to właściwie byłoby wszystko. Jak byśmy nie patrzyli na tę inicjatywę, okaże się, że u jej podłoża leży troska zakładu o swoich pracowników. Mieszkania te, przyznawane z puli prezydenta miasta Łodzi, ludzie z „Poltexu" otrzymują sukcesywnie. Wielu z tych, którzy dziś marzną w nie ogrzewanych, ciemnych blokach wykonując prace wykończeniowe, być może powita Nowy Rok we własnym mieszkaniu. Oby tak było. Jednocześnie chcę skierować prośbę zarówno do ŁPBU jak i ŁZB: chodzi o stworzenie właściwych warunków pracy na prowadzonych przez nich budowach. Ludzie przychodząc odpracować swoje 600 godzin, wkładają w tę pracę serce.

EUGENIUSZ IWANICKI

NIE TYLKO HISTORIA

RZECZ O ANTONIO GRAMSCIM

Czytelnicy śledzący z uwagą publikacje, dotyczące dziejów myśli społecznej i politycznej z pewnością pamiętają, jak szerokim echem odbiło się u nas wydanie przed wieloma laty (1961) w ramach Biblioteki Myśli Socjalistycznej „Pism wybranych" wybitnego myśliciela włoskiego Antonio Gramsci, poprzedzonych obszernym tekstem „Aktualne znaczenie myśli i działalności Gramsciego" pióra Palmiro Togliattiego. Nie było to przypadkiem: styl filozofowania Gramsciego, jego sposób rozumienia roli człowieka w społeczeństwie, odwaga atakowania zagadnień najtrudniejszych do zintelektualizowania, wszystko to fascynuje do dzisiaj każdego, kto zetknie się z pismami tego zdumiewającego myśliciela, z pracami, w których tak silnie zaznacza się jego indywidualna osobowość. Z pewnością, potrafimy dziś umieścić autora „Nowoczesnego księcia" w długim ciągu rozwojowym włoskiej i europejskiej myśli marksistowskiej, wskazać na jego intelektualnych — i zarazem politycznych — antenatów oraz następców, ukazać go na szerokim tle rzeczywistości jego czasów. Wszystko to prawda, ale prawdą jest również, że takie szczere spojrzenie na tę postać, nie zaciera bynajmniej jej indywidualności.

Był Antonio Gramsci historykiem, znawcą dziejów swego kraju, był humanistą, któremu nic, co ludzkie, nie było obce. Był wybitnym działaczem politycznym, uczestniczącym bezpośrednio w stawaniu się rzeczywistości, jednym ze współzałożycieli Włoskiej Partii Komunistycznej. Był wreszcie — jeżeli nie przede wszystkim — jednym z najbardziej interesujących marksistowskich filozofów naszego stulecia, którego nie bez powodu stawiamy dziś wśród największych. „Marksizm miał być, według Gramsciego — powiada Paweł Spiewak — nauką o „ludziach historycznych", o stawaniu się nowej rzeczywistości społecznej, przy tym marksizm pomyślany nie na wzór pozytywistycznych kanonów, jako nauka o przyrodniczych prawach, rządzących nieubłaganie rozwojem społeczeństwa. Marksizm miał być filozofią praktyki, filozofią, która pobudza proletariat do działania, a jednocześnie filozofią stwarzaną przez klasę robotniczą i rozwijaną w toku procesu historycznego. Nie można, według Gramsciego, stworzyć polityki — historii, bez ścisłej więzi między filozofami i ludem".

Z pewnością dobrze się stało, że wydawnictwo Wiedza Powszechna, poświęciło jeden tomik swej serii „Myśli i Ludzie" właśnie postaci Antonio Gramsciego. Tomik zatytułowany po prostu: „Gramsci", opracował Paweł Spiewak; przynosi on oprócz zwięzłego szkicu o włoskim działaczu i myślicielu, również wybór jego pism. Dziełko to ukazało się właśnie przed kilku tygodniami (1977).

P. Spiewak skupił swą uwagę na tym, co w refleksji jego bohatera było najważniejsze: na sposobie rozumienia przezeń materializmu historycznego. Silnie zaakcentował, że Gramsci „jako włoski teoretyk myśli socjalistycznej odziedziczył niechęć do pozytywizmu, czy konkretniej do scjentyzmu, a zarazem do zwulgaryzowanych wersji materializmu historycznego". Ukazał jego związki z myślą Antonio Labrioli oraz Benedetto Crocego. Umieścił swego bohatera w ważkim nurcie myślowym w ramach marksizmu, tym mianowicie, który nie przyjął za własny stylu myślenia o rzeczywistości, reprezentowanego przez bardzo wielu myślicieli i działaczy, interpretujących myśli twórców marksizmu w duchu pozytywistyczno-scjentystycznym, tak jak to czynił na przykład Karol Kautsky. A. Gramsci był zagorzałym przeciwnikiem tego stylu myślenia, odrzucał wszelkie próby sprowadzania dynamiki społeczeństwa do immanentnej dynamik „żelaznych praw" ekonomicznych, z góry determinujących losy ludzkich jednostek i zbiorowości, eliminujących kreacjonistyczną rolę człowieka i jego świadomej aktywności w stawaniu się dziejów. Włoski marksista uporczywie walczył z wulgarnymi poglądami o rzekomym automatyzmie procesu dziejowego, protestował przeciwko schematyzmowi, któremu ulegało wówczas — i nie tylko wtedy — wielu ludzi, określających się mianem zwolenników teorii materializmu historycznego, nie potrafiących przezwyciężyć obciążeń mechanistycznego materializmu. „Automatyzm w dziedzinie ekonomii — referuje P. Spiewak poglądy swego bohatera — a tym samym w procesach społecznych ma stanowić najpełniejsze wyjaśnienie całej nadbudowy ideologiczno-prawnej. Nabiera ona charakteru pozoru, traci swą autonomię i złożoność. Baza staje się ukrytym bogiem, wyabsolutyzowana ma moc sprawczą, steruje całym rozwojem społecznym. Człowiek podlega bezwarunkowemu działaniu praw ekonomii jest częścią przyrody — sił materialnych. Przestaje być twórcą historii — uwarunkowanym i warunkującym jej przyszłość, a staje się bezwolnym wykonawcą „rozumu", jakim są prawa społeczne. Odkrywa je, odkrywa konieczność, lecz nie zyskuje przez to wolności. Nie może zapanować nad tymi prawami, bo nie został wyposażony w moc przekształcania rzeczywistości, która zmienia się niezależnie od niego". Ten właśnie styl myślenia — jakże rozpowszechniony nie tylko za życia A. Gramsciego, by przypomnieć rozliczne dywagacje, popularne w latach pięćdziesiątych, o „obiektywizmie" stawania się dziejów na zasadzie „nieubłaganego" działania praw rozwoju — zwalczał włoski myśliciel nie tylko w teorii. Jako działacz komunistyczny zwalczał go w swej praktyce społecznej i politycznej. Walczył o nową przyszłość w przekonaniu, że nie nadejdzie ona „sama", na zasadzie działania produkcyjnych mechanizmów teraźniejszego świata, uważał że rzeczywistość daje szansę po temu, aby ludzie sami wzięli się do tworzenia swej lepszej przyszłości.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

PODDĘBICE 30 XI 1976

Tego dnia ukazał się zbiór moich wierszy
— rzecz o doskonaleniu samotności.
O przewrotności natury i losu:
tak bardzo bliskich potrzebowałem wtedy.

Był wieczór.
Pojechałem do Poddębic.

Tu dom, w którym przyszedłem na świat
zimą nad ranem, z krzykiem,
jakbym to ja siebie rodził,
a nie matka.
Cisza.
Jeszcze się rodzę, siebie,
świat cały zobaczę, gdy stanę
w nagłym, oślepiającym
śmierci blasku.

Na rogu lampa.
Z mroku wyłania się poczwarna plama
— jakaś kobieta stara —
przeszła przez światło,
potem ciemność ją wessała.
Oto życie.

Jakże puste ulice
i dalej —

Do drzwi mego nauczyciela zapukałem.
Otworzyła dziewczyna, której jasna uroda
przemieniła mnie na moment w duszę.
Niestety, nie zastałem.
Wszedłem w ciemność.
Wróciłem do ciała.
A tu głucho w zaułkach
i na pustym bruku.,

Gdzie byli wówczas ludzie?
To uniesień pora,
wieczór w wieczór modlą się do telewizora:
„O Pudło Przenajświętsze, daj męża dobrego,
pozwól żyć w Ameryce i Paryż zobaczyć,
być dyplomatą w kraju, gdzie słońce i palmy,
złoty gang rozszyfrować, strzelić ze dwie bramki,
mieć urodę damy...“

A potem leniwie wstaną z foteli,
otępiali wielkim, cudownym światem,
wyłączą szkatułę magii wszelakiej
i zasną.

Wstąpiłem do znajomych.
Choroby i zmartwienia
bezbłędnie wyrzeźbiły ich twarze —
każda rysa i zmarszczka
miały swój głęboki sens.
Ostatnie dwa lata lepiej
się spisały niż poprzednie sześćdziesiąt.
Mówili o dzieciach, których nie było.
Czekali, kiedy przyjadą.
Ale nie wrócą.

Tak bezwiednie wiodłem
siebie od domu do domu,
w rynku przed gospodą „Pod dębem“
na trotuarze pijany leżał,
obok teczka stała.
Hm, o heroizmie pomyślałem:
tak człowiek upadając
rzecz (pospolitą) postawił.

I nie znalazłem nauczyciela,
przyjaciela ani ucznia
w miasteczku pięciu tysiąca ludzi,
a doznałem wierszy swoich,
których tu chyba nie znają
i o których wówczas nie myślałem.

Wiatr rzeźbił, księżyc złocił chmury
i wznosił się jak hostia
w dale międzyplanetarne.

Wspomniałem wieczory pod Weimarem
i Caspra Davida Friedricha obrazy.

I długo szedłem wierszem tym
z miasta tego
do domu rodziców,
do których przyjechałem
i — nie wróciłem.

IGNACY SZCZEPAŃSKI

PRZEOBRAŻENIA

(DEBIUT)

I

Opowiem inną przygodę swojską... PeKaeS, jadę z żoną, wczasy, autobus pospieszny z przystanku przy Stadionie, za piętnaście siódma, lęk, w środku, na wierzchu gęsia skórka, czy będzie pogoda, wcześnie rano, słońca jeszcze mało. Jedziemy więc z nadzieją, zresztą inni obok z lękiem podobnym, każdy w bagażach swoich przewidujący, na to i siamto, deszcz i słotę. Jedziemy. Na to słońce się rok cały czekało.

Rogatki Warszawy, potem Wyszków po godzinie, może półtorej, a może więcej, nikt nie jest pewny, bo się przysnęło, potem Łomża, a może najpierw Łomża, a potem Wyszków.

Przyjazd w południe, słońce, miasto parterowe, wychodzenie z autobusu, rynek, dom z malowaną ścianą, napis, że tu król, ale ten napis później, teraz bagaże, taksówka.

II

Dom. Jakaś dziewczynka, nosek spadzisty, oczy z obu stron, uśmiech, więc my też uśmiech, czy mama?

— Mamy nie ma.

— A tatuś?

— Tatusia też nie ma.

— A kto jest?

— Ciocia.

— Zawołaj ciocię.

Dziewczynka zakrętasa na piętach, schodzi, znika za drzwiami, gdzie schody w dół do piwnicy. Po chwili wraca.

— Ciocia idzie — mówi i uśmiech.

Czekamy, po chwili z dołu szurgot, coś pełznie po schodach, ktoś pełznie, szurgot. Jakaś głowa, tułów. Ręce na stopniach, ktoś na czworaka, strach w nas, kłaniamy się. W środku „może pomóc?“, ciocia za stołek w hallu, podsuwamy, ciocia za stołek rękoma, jedna ręka, lewa, taka wywinięta gdzieś nienaturalnie, jedna noga w tkaninie, tam gdzie but tkanina, ciocia wczołguje się na stołek, wraca spokój: ciocia po „heine-medinie“!

— Letnicy?

— Tak — potakujemy. — Z Warszawy.

— A tu już rano zjechali — mówi ciocia. — Halinka pokaże pokój...

III

Ale wcześniej taksówkarz, bagaże do bagażnika, nie, was tylko dwoje, to do środka.

Wsiadamy, bagaże na kolanach. Jedziemy.

Ulica Nadrzeczna, to z brzegu...

— Nie ma rozbiegu — taksówkarz mówi.

Wskazuje licznik, ale jedziemy. Asfalt się kończy, wyjazd z rynku po kocich łbach, ale ten numer przez nas podany na końcu, więc jedziemy, taksówkarz uśmiech, dach rozsuwany, ford taunus, skąd w mieście parterowym ford taunus, ale tu jeszcze kilkanaście takich samochodów, więc zastanowienie w nas, zakręt, taksówkarz mówi, że wczoraj był w Warszawie, wieczorem, jadł kolację w „Bristolu“, my, ze szkoda. Ale tak się mówi, on wie, że tak się mówi, bo nie wiedzieć skąd i jak mogliśmy wczoraj o sobie wiedzieć:

My, że on w Warszawie, on, że my do tutaj.

— Wracałem z Częstochowy — informuje taksówkarz.

— Niezły kurs — nawiązujemy.

Jedziemy ulicą Nadrzeczną, długo, bo numer w końcu. Jest numer, ale bez a. A my mamy z a. Więc wysiadamy, znajdziemy. Płacę dwanaście. Licznik mniej, ale zwyczaj.

IV

Więc przyjechaliśmy w południe. Jest słońce, więc w nas radość. O trzynastej obiad. Sąsiad z góry, też letnik, pokaże, gdzie trzeba iść. Idziemy.

— Czy łowi pan ryby? — pyta.

— Nie — uśmiecham się nie to przepraszając.

— Szkoda — mówi on — bo samemu to jakoś... Z drugim raźniej...

Robi się markotno, idziemy, moja żona wdaje się w rozmowę, pyta, czy grzyby, borówki...

Pierze! Nagle wpada mi do głowy, pierze, bo teściowa chciała pół kilograma na jasiek!

Ale skąd on o pierzu!?

Więc nie pytam. Idę za nimi, oni przede mną w rozmowie idziemy, ścieżka nad brzegiem jeziora, łódki, dużo ludzi, choć to wrzesień, ale dużo, bo dziś wolna sobota.

Stołówka, meldujemy się u kierowniczki, kartki na posiłki, stolik numer siedem. Uśmiecham się: szczęśliwa cyferka.

Siadamy, jemy. Mielony.

V

Ale potem te nasze poczynania mimo słońca i radości, poczynania w tym pokoju, jak zapewniano pierwszej kategorii, poczynania by powstrzymać ten zapach zza ściany. Na nic mata słomiana, którą tam gospodarze zawiesili, by ukryć połączenie z toaletą. Dwie dość oczywiste rury w ścianie, w luce między kafelkami naszego pokoju, który był kiedyś pierwotnie, zapewne kuchnią, lecz pogoń, ta gonitwa, by robić dobrze i sobie przyjemnie, i dostarczać dachu nad głową letnikom popchnęła ich do zamaskowania kuchni w tym pokoju. I teraz w tym pokoju my. Jedna ściana kafelkowa, z niej dwie rury i zapach.

Więc żona moja chusteczki pachnące do nosa dookoła i dezodorant. I nic. Zapach, jakby nigdy nic. I nic otwarte okno.

Dopiero później, gdyśmy nanieśli grzybów i jabłek, zmieszał się i można już było jako tako.

Ale wtedy te chusteczki i dezodorant, i tak do snu.

VI

Potem znowu miasto, to znaczy rano, bo musieliśmy być na poczcie, by wysłać telegram z życzeniami. Więc przy okienku pół godziny, na zmianę, najpierw żona, potem ja. Wysłaliśmy.

Naprzeciw poczty rejestracja letników. Okresowe biuro meldunkowe. Poszliśmy. Pani spisała z dowodów.

— Na drzwiach będzie kartka jakie imprezy — powiedziała.

— Na jakich drzwiach? — zdziwiłem się nieco tą dowolnością miejsca informacji, bo drzwi raczej nie brakuje, zdziwiłem się lecz nie za bardzo i z uśmiechem. Lecz uśmiech naraz znikł, przypomniała mi się kartka Lutra na drzwiach katedry.

— Stołówki — wyjaśniła pani. — Będą tam domy, które popłyną statkiem po śluzach...

„To znaczy letnicy mieszkający w domach popłyną“, odetchnąłem z ulgą. Głośno zapytałem:

— Czy czapka jest konieczna?

— Jaka czapka? — teraz pani się zdziwiła.

— Biała, marynarska — powiedziałem, bo o takiej marzyłem od chwili, gdy po raz pierwszy byłem w kinie i zobaczyłem w takiej właśnie Eugeniusza Bodo.

— Nie wiem, czy znajdzie pan taką w naszym mieście — powiedziała pani z rejestracji i tym jednym zdaniem rozwiała mój mit o karierze amanta morskiego.

Ale później i tak się okazało, że nasz dom nie popłynie.

Więc z rejestracji na miasto. Rynek, schodzimy na dół po schodach do cukierenki, żona kupuje placek z jagodami. Jeszcze ciepły. Idziemy. Rynek, ten dom narożny z namalowanym napisem, że tutaj August, król Polonii i właśnie z nim to miasto, wszystko po łacinie, i tak dalej.

VII

Jest w mieście księgarnia, dom książki, a my z żoną taki mamy zwyczaj książkowy, więc wchodzimy. Półki, książki, książki, półki... Przebieramy, odczytujemy tytuły z grzbietów, nadzieja, że może się coś tutaj ostało, jakiś może ptak egzotyczny, plugawy, nocny, szukamy... Jest. Jest nie to. Inne.

Nowe wydanie tego pisarza humanisty Saint-Exupery'ego Dwa tomy. Tom drugi początek: „Ziemia, planeta ludzi“. Całość czterdzieści złotych. Kupiliśmy. I w miasto. Szybko, bo trzeba zdążyć na obiad.

Idziemy, asfalt się kończy już już kocie łby, a tu naraz do uszu huk straszny, potem do nosów dym z rur wydechowych i wprost w oczy motocykliści. A dwaj pierwsi z wieńcem. Huk, dym z rur. Odskakujemy, z krawędzi chodnika patrzymy na tę kawalkadę. Huk, dym, przejechali.

Więc my chyłkiem na obiad. Obiad: kotlet mielony.

VIII

Obiad: kotlet mielony. „I nagle ten świat spokojny, tak jednostajny i prosty, który odkrywamy wynurzając się z chmur, nabrał dla mnie nie znanej dotychczas wartości. Ten spokój — był zasadzką“. Podpowiedział Saint-Exupery.

I powinienem był mu uwierzyć. Ta cisza, która nas wchłonęła, gdyśmy minęli motocyklistów, była zasadzką. Gdyśmy dotarli do stołówki, nieszczęście już się stało.

Sąsiedzi od nas z góry, letnicy jak my, ale z dzieckiem. Siedzieli w stołówce obok nas, w drugim rzędzie, ale stolik był trzynasty. I to powinni byli zauważyć. Ale co mnie do tego... Ale. „Górale znali także morza chmur. Nie dojrzeli w nich jednak tej bajecznej zasłony“. Znowu ten Saint-Exupery!

Ale nieszczęście już stało się. I sąsiadom z góry, a i z obok, ze stolika w drugim rzędzie, zginęły numerki. Numerki na obiad. A stało się tak: Matka, jak zazwyczaj, odcięła trzy kupony z datą i z informacją, że obiad, i dała dziecku, by poniosło. Dała dziecku do ręki i zgubiło.

— Kto to słyszał oddawać tak lekkomyślnie byt swój w ręce dziecka — słyszeliśmy zewsząd szepty zaraz po wejściu do jadalni. — Kto to słyszał...

A dziecko natychmiast ogarnęła dziecinna duma, że takie ważne, choć młodsze. I pomyślałem, że może te numerki specjalnie zgubiło. Ale nie czułem się dostatecznie przygotowany, by interweniować, zatem z pokorą zajadałem swój mielony. Lękałem się, że w obliczu tego niebezpieczeństwa nie będę wiedział, gdzie znaleźć odpowiednie miejsce do lądowania. Ślęczałem zatem nad nieprzystępną jałowością mapy mielonego i nie znalazłem potrzebnych mi wskazówek.

Posiłek zakończyliśmy w milczeniu i nie rozglądając się na strony opuściliśmy jadalnię.

Ale potem zaczęło się w drzwiach, właściwie na drzwiach. Była kartka, że biathlon. Motocyklowy. I że nasz dom, a właściwie ja. Zacząłem przypatrywać się dokładniej, czy nie ma tu jakiejś pomyłki, czy to znowu z drugiej strony nie jakiś figiel, o tak, teraz już wiedziałem, że te kartki to figiel dziecka!, ale nie znalazłem ni śladu.

Toteż z sercem przepełnionym trwogą wisielczą ale i dumą wróciłem na kwaterę. Jutro, jutro.

IX

Jutro niedziela. Biathlon. Motocyklowy. I teraz już wiedziałem, że oni tam w rynku nam naprzeciw to specjalnie jechali, i ci dwaj z wieńcem na czele, laurowym... Ten wieniec stał się dla mnie granicą między tym, co dojrzałe, a tym, co niedojrzałe, między znanym a niepoznawalnym. I przeczuwałem już, że przedmiot sam w sobie nie ma sensu, że dopiero nabierze go poprzez pryzmat jakiejś kultury, jakiejś cywilizacji, obróbki. I wiedziałem, że tej obróbki ja mam dokonać.

Była trzecia nad ranem, taka sama cisza panowała, jak wtedy, gdy szliśmy na mielonego, zastanawiałem się po czym poznaje się złą pogodę, bo jak dotychczas to wczasy mieliśmy słoneczne, i nawet zapachu z tych rur między kafelkami nie czułem, nagle Jezu!, te rury między kafelkami rury wydechowe, nagle ukazało mi się oblicze przeznaczenia. I całe życie przede mną, to przeżyte, i teraz wiedziałem, że źle przeżyte, że zbudowałem swój spokój zalewając cementem wszystkie wzloty do światła, zwinąłem się w kłębek w swoim mieszczańskim bezpieczeństwie, w swoich nawykach, w dławiącym rytuale corocznych rodzinnych wczasów, że nie chciałem się przejmować wielkimi problemami i dokonałem wszystkiego, by zapomnieć o swojej kondycji człowieka. I oto tutaj, w tym parterowym miasteczku, w wynajętej na dwa tygodnie kwaterze, dokonuje się przeobrażenie. I oto za kilka godzin w lśniącym kasku, rękawicach, z okularami, za którymi skryję całą swoją twarz, całą prawdę o swoim przeszłym życiu, w butach do kolan, jak husarze Sobieskiego uskrzydlony w smoka czarnego pomknę, by już nigdy więcej nie być mieszczuchem z Warszawy, czy Łodzi, by stać się mieszkańcem wędrownej planety, by nie lękać się nigdy więcej zadawania pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Otrzymałem ten poranek, ten biathlon w podarunku od życia. I wiedziałem, że to co zrobię, możecie mi wierzyć, nie zrobiłoby żadne zwierzę.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

MAŁE PROZY

BIAŁA SYPIALKA

Śród ziół, pajęczyn i duchów stała na strychu biała sypialka. Matka mówiła: „W tym łóżku zamożny spał dziedzic. Podobno w jego garbie mieszkały anioły. Tak proszę pani. To się w głowie nie mieści. Dziedziczka skubała tłustą gęś łona. A jednak. Co te dwa łóżka mogą zawsze poświadczyć".

WŁADZIO

Deska okryta kocem w szkocką kratę. Siedzi na niej czterech. Ja, obcy i trzech dźwigaczy fortepianów. Na skrzyżowaniu zielone oko nabiegło krwią: „Kapuśniaczek na golonce mi w domu pachnie". Powiedział pierwszy. „Fortepian panie to kościół, w którym czasem przebywa Bóg, ale przeważnie dźwigamy obowiązek". Stwierdził drugi. Władzio się zamknął. ale rzecze: „Nigdzie nie pójdę. fortepian nigdzie nie wychodzi. Dlatego was dwóch i obcy będą dźwigali pańskiego Władzia". Zarechotało w bagażówce i zamilkło. Na desce okrytej kocem w szkocką kratę siedzi nas czterech: ja, obcy i trzech dźwigaczy fortepianów. Jedziemy po mojego Władzia.

NACIA

Nadeszła, staje cichutko w drzwiach. W fifce połówka sporta. Ledwo oprze się o framugę: „Zaraz idę, już wychodzę", i jest w tym przeproszeniu że przyszła, wytłumaczenie swojej obecności nad naszymi głowami. Chciwie ssie szkło cygarniczki. Ręka w dymie, powleczona złuszczoną, żółtą skórą. Piękna ruina ręki, kiedyś szczupłej i dziewczęcej. teraz wyraz starego, pomarszczonego gada.

MECHANIK

Ubóstwo było, że myszy nie miały skwarka. Maszynę Singera przywieźli do naprawy. A dziadek: „Widzisz przecież Maniuchna, wyglądam przez okno!" — „Co on tam widzi — zazgrzytała babcia — nic nie ma w ogródku, słoneczniki, kwiaty same?".

Z NOTESU

W moim notesie pod datą 7 lutego 1968 roku jest zapisane: „Godzina 15 pogrzeb Zenona". Dopiero teraz po latach uświadomiłem sobie całą suchą rzeczowość tego zapisu. Tak jakbym miał zapamiętać: wizyta u dentysty. Albo: odebrać buty od szewca. Litery proste, ładne, żadnego śladu drżenia ręki. Patrzę na moje pismo z przerażeniem. Zenon umarłą dłoń kładzie mi na czole.

— „Co tam robisz" — niecierpliwi się żona. — „Kartofle odębieją! Chodź szybko".

Przekręcam klucz w szufladzie. Wchodzę do pokoju. Siadam przy stole. Najpierw bez apetytu, z musu, potem coraz dokładniej, z wielką przyjemnością zaczynam żuć mięso.

WIZJA LOKALNA

Nie znaleźli rany ani krzyku. Kamień nabrał słońca w usta i jest obojętny. Włosy leżą na kłosach. Każdy włos osobno. Teraz unosi włosy w niebo pachnący żytem wietrzyk. Ludzie stoją. Światło trzaska w rękach Pracowników Służby Kryminalnej. Nudno, więc roztarłem kłos. Wydmuchnąłem z plew ziarna. Rozgryzłem ziarno na miazgę. Chyba w niebie śpiewa skowronek.

DO CELU

Szły stare kobiety. Były bardzo stare. Jedna z nich była tak stara, iż trudno sobie wyobrazić starszą kobietę. Starsze mogą być tylko kościoły lub pieśni. Kiedy stawiała stopy kości skrzypiały jak gałąź uschłego drzewa. W jej piersi chrobotała mysz. Wsparta o ramię przyjaciółki walczyła o każdy centymetr chodnika. Sinymi, drżącymi wargami gryzła powietrze. Widać było, że powietrze rani jej krtań. Przełykała powietrze jak rozbite, cieniutkie szkło, ale powietrza starczało zaledwie na jeden krok. I znów było słychać skrobiące pazurki. Z ust staruszki jak z zasypanej norki dobywał się pisk. To mysz błagała o powietrze. Błagała w jej piersi z wiszącą u pyszczka kroplą krwi. I wtedy gdy się zdawało, że nie ma ratunku, że wszystkie przejścia przywalone są ciemnością, dziąsła staruszki odgryzły cieniutkie szkiełko z kryształowego pucharu. I coś jak cień uśmiechu przeszło po jej wargach. A wtedy młodsza, która była dla przyjaciółki czym płot dla powoju, czystym, spokojnym głosem rzekła: „To już niedługo. Jeszcze parę kroków. To już bardzo blisko. Tylko jeszcze tych parę kroków".

SŁOŃCE ZAGARNIA MUZY, KTÓRE MIJAM

Dzień skrzy marcowym słońcem. Na wystawie u prywaciarza pęki pietruszki — „Przynieś naci z ogródka" — mówiła do mnie babcia. Gdzie jej tam tej pietruszce za szybą do babcinej naci, jest kurduplowata, wymiękła, wymięta i blada, nać babciną niosłem, to jakby paw rozchylił pyszny wachlarz, a zapach bił z niebieskiego garnka, że ślinka ciekła tym co akurat musieli przejść pod babci oknem. — „Michalina zarżnęła koguta" — mówili mlaskając głodnymi językami.

Wspinam się na palce. Choć to niedziela i sklep zamknięty jest na cztery spusty, zaglądam do środka. Na sam widok zakręciło w nosie. Na półce stoją słoiki z chrzanem. — „Chrzan jak spirytus — chwali ten chrzan żona — i pachnie, a ze spółdzielni octem śmierdzi". „Ale u prywaciarza trzy razy droższy" — perswaduje chytrze. A żona w kontrze. — „Za to od mojego, masz ostre niebo w gębie".

Jutro kupię ten chrzan. To ostre niebo. Niech ma. Oderwałem się od szyby z mocnym zapamiętaniem

Idę ulicą. Zerkam na wystawy: Ślubne suknie. Pelerynki do pierwszej komunii. Bławatki płócienne wyrosły z wianuszka. U szewca na szklanym postumenciku bucik maleńki jak palec. W krwi harcują promienie, nowalijki marcowe wypychają ponurość z serca. Grzeje. Serce bije czystym, wiosennym tonem.

Taka jest różnica. Platformę załadowaną kamieniami lub żelazem koń ciągnie żmudnie, koła pod takim ładunkiem skrzypią śnieżnie. mroźnie stękają, nawet wtedy mroźnie i śnieżnie gdy w ogródkach zakwitają jabłonie i pszczoły nurzają głowy w otwartych kwiatach.

Natomiast przeprowadzka jest dla konia przyjemnością. Chociaż tu tak samo ciężar wyrywa z konia mięśnie — jest to inny ciężar. Dobytek ludzki uciułany latami. Lustro jak hostia w czas podniesienia. Najwyżej, obłożone pierzynami. Szafa dwudrzwiowa politurowana, pachnącą naftaliną. Pomiędzy sprzętami stół przy którym w niedzielę i święta zbieramy się wszyscy. Stół gdyby użyć kategorii rodzinnych jest głową sprzętów. Można posunąć się jeszcze dalej i stwierdzić: Słońce podłogi.

Idę ulicą. Promienie palą mi plecy jakby kto posmarował je maścią Capsiderm.

Zaraz konie wyczłapią z uliczki. Na razie koni nie widać, ale słyszę konie jakby dzwony biły na wieży, tak podkowy uderzają w kocie łby, w bruk. Dałbym sobie ściąć głowę, że ciągną karawan i włos by mi nie spadł. Zawsze to rozróżniam. Nieboszczyk jest cięższy od betonu i marmuru choćby ważył tyle co nic. chociaż byłby piórko. Ten ciężar utrudza konia najbardziej. Najtwardsze, skute słońcem pole nie kosztuje go tyle znoju co ostygłe człowiecze ciała. Lecz taki widać jego los. Tak mu sądzono, on nie wybierał jak nie mogła wybrać brzoza z której zbita jest trumna.

Najprzód wychyliły się z powietrza anioły. Wiszą nad końskimi parującymi zadami, dmą w srebrzyste fanfary. Poliki mają wydęte jak pucułowate dzieciaki. Takie szkraby w zwiewnych sukienkach wystruganych w drewnie. Wcale nie smutne. bez reszty zajęte trąbieniem wieści.

Ale nikt na karawan nawet nie spojrzał. Młoda, śliczna mama dała klapsa chłopakowi za to że lizał wystawową szybę. — „Jeszcze raz to zrobisz. zamorduję!" Pod kinem „Świt" krostowate wyrostki chichrają na widok przechodzących dziewcząt. Jeden długi jak tyczka do podpierania fasoli. — „Córa, zakisimy ogóra!" Dziewczyna w której stronę rymnął zapiszczała zwarłszy golonkowate, skąpo okryte zamszową spódniczką uda.

Idę ulicą. Mijam ludzi, wystawy, samochody i psy. Karawan z pasażerem już jest hen, hen. Wygląda jak mały pełznący w słońcu robak.

Idę ulicą. Jest mi lekko i pięknie na sercu. Słońce zagarnia mury, które mijam.

TADEUSZ GICGIER

NA GROTĘ Z LAWY WEZUWIUSZA W PARKU HELENOWSKIM W ŁODZI

Wstąp po kamiennych schodkach,
stań na stoku,
a jeśli ciemność lubisz —
wejdź do groty.
Ta grota muszlą jest śródziemnomorską,
słyszysz, jak szumi?
To przypływ i odpływ,
to przepływanie czasu.
Tobie szumi.
Przymknij powieki, a wtedy zobaczysz
korso kwiatowe,
łodzie z lampionami,
nóżkę w pończosze białej na żwirowej
dróżce —
i obłok powiewny westchnienia.
A teraz ucho swe do stalaktytu
przyłóż,
bo ten stalaktyt — język groty:
„Najpierw był ogień,
erupcja wulkanu,
potem zastygłam w tuf,
lecz zastygnięcie
było pozorne,
bo znów ogień błysnął
bengalskim zwany
albo brylantowym,
ogień mosiądzem grzmiących instrumentów,
strażackich kasków
w strażackiej orkiestrze
i ogień w oczach, i w dłoniach, i w sercach.
A śmiech jaskółką wzlatał ku przestworzom,
a żal przepiórką przypadał do ziemi,
żal tych, co za parkanem —
szarej rzeszy.
Tak było —
mieszka w moich porach skalnych
przez wszystkie pory nietoperz pamięci.
Dlatego skwiru nie pojmuję dzieci,
które wtargnęły hurmem.
Emerytką
jestem:
rozumiem się z emerytami,
co nie opodal grywają w warcaby,
ręce i twarze mają mnie pokrewne,
z korą rozumiem się wiekowych dębów
jak ja zwęźloną, jak ja porowatą,
z karłem, co przysiadł obok na fontannie,
z kamienną Ledą na fontannie drugiej,
łabędź u stóp jej rozcapierzył skrzydła
— to biały żagiel w neapolitańskiej
zatoce —
z nim się rozumiem, a jakże,
a reszty nie pojmuję..."

W SIERADZU

Sieradz po latach odmieniony,
bujniejsze drzewa i zielenie.
Ulicą rzędem idą klony,
a w cieniu klonów nasze cienie.

Gdzie są te burze, których poryw
targał drzew starych konarami?
Spokój popołudniowej pory
pod rękę idzie teraz z nami.

Rzeka przewija się leniwie,
obce jej wiry, nurtu zmiany.
Kochałem — kocham cię prawdziwie,
na nowo z tobą pojednany.

I nie ma bólu lat minionych,
kiedy trwa to, co dawniej trwało.
Ulicą rzędem idą klony
w przestrzeń od słońca pobielałą.

20. VIII. 1977

NA KIELECCZYŹNIE

Łan zielony
pod żyznym słońcem czerwca,
wstążki maków
wpięte we włosy ziemi,
pierś wzgórza
z sutką starej baszty,
i kolebka doliny,
która wykołysała wiele pokoleń.

Gdy wiatr powieje,
rodzą się prądy i wiry
wciągające w głąb czasu,
w moją przeszłość kilkunastoletnią,
w czas, gdy matka przebiegała te ścieżki,
siostra matek
tych, którzy tu walczyli i ginęli.

Daruj więc
chwilę zadumy
w ten dzień przyjazny i pogodny,
małą chmurę,
która rozwieje się w jodłowym powietrzu,
ale jej cień
pójdzie za mną
jak obraz tych wzgórz i dolin.

ŁAGÓW LUBUSKI

W szosy wygiętej szybie
jak w krzywym zwierciadle
autobus wydłużony płasko, prostopadle.
Domy obracają się na swej osi,
korony drzew toczą się jak piłki,
przebiegiem,
przelotem,
jednym okiem —
pęd ponosi.
Takim to pędem
przed zamek,
nasz autobus wtoczył się po schodach,
i nagle — zderzenie
z widokiem — zdumienie:
gdzie niebo?
gdzie ziemia?
gdzie woda?
Fioletowe obłoki
bzów u okien,
rude buki,
po których wiewiórka skacze,
przepaść w przepaści,
wytracić pęd,
przechadzać się wzrokiem po jeziorze,
dziwić się,
nie móc się nadziwić:
więc tak jak tutaj być może?

Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

POD WŁAŚCIWYM SZYLDEM

Biura mieszczą się w dwóch izbach niezbyt okazałego domku. Jedna z urzędniczek, sympatyczna, młoda blondynka, wyjaśnia:

— Dzisiaj prezesa można złapać tylko na terenie. Pan przejdzie korytarz, minie furtkę i zapyta kogokolwiek.

Wszedłem przez tę furtkę, chociaż pisało, że nieupoważnionym wstęp wzbroniony, i wzdłuż szklarni udałem się w stronę komina małej kotłowni. Niski, czarniawy mężczyzna w wypłowiałym drelichu, którego zaczepiłem w pół drogi, zastanowił się głośno:

— Prezes? Musi tu być, ale gdzie? Nie wiecie, gdzie może być prezes? — zwrócił się do grupki młodych robotnic.

— Lata gdzieś po terenie.

— A czemu on tak lata?

— Nie wiecie, że dzień handlowy? — odparła jedna blondynka w makijażu zrobionym pod niebieski fartuch. — Musi być przy drzewkach!

Poszedłem we wskazanym kierunku, między zklarniami, za szybami złociły się korony chryzantem. Dogoniła mnie niska, przysadzista kobieta w waciaku.

— Pan w sprawie drzewek?

— Nie, nie kupuję.

Westchnęła z pewną ulgą.

— Tak ciężko?

— Panie, fioła można dostać przy tych drzewkach.

Niebawem mogłem się o tym przekonać. Ale najpierw musiałem wyłowić z tłumu kupujących mgr inż. **Edwarda Adamczyka.** Stał z kwitem w ręce, myślałem, że on też kupuje. Potem Adamczyk, młody prezes **Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Ksawerowie**, przedstawił mi swego rówieśnika, sz fa produkcji, mgr inż. **Jerzego Gamonia.** Szef produkcji jest postawnym mężczyzną, ciemnowłosy, brodaty. Wyjaśnił mi pośpiesznie, że ludzie od dwóch miesięcy dopytywali się o te drzewka, teraz dojrzały do sprzedaży i jest nalot działkowiczów. Przy zadołowanych drzewkach krążą klienci, macają, kręcą głowami i pytają na ślepo, bo odmian nie znają. Jabłonka? No, taka, żeby jabłka były najwcześniejsze. Jerzy Gamoń rzuca dowcipem. Że takiemu klientowi można dać starkinga (odmiana zimowa). Przetrzyma jabłka przez zimę i wiosną będzie miał najwcześniejsze...

Przysłuchuję się dialogom. Jabłonie, okultanty bez korony idą po 36 zł, śliwy po 45 zł, wiśnie po 60 zł, są też czereśnie. A nabywcami są przeważnie emeryci.

— Jaką pan chce śliwę?

— No, taką dużą i ładną...

— Węgierkę włoską czy francuską?

— Nie, musi być zielona!

— No, to będzie renkloda „Ulena".

Szkółkarz nawet po pędach pozna odmianę, działkowicz ma trudności.

Drzewka znalazły się w sprzedaży na czas dzięki pomocy uczniów szkoły podstawowej w Ksawerowie. Spółdzielnia da im czasem autokar, oni w zamian pomogą, kiedy mają te cztery dni wolne od nauki, przeznaczone na prace społeczne. Zanim drzewka się wysadzi, trzeba oberwać z nich liście. Praca lekka, akurat dla dzieci. Dostały po dwa pączki, herbatę i robota została wykonana w trymiga.

W zasadzie cały materiał szkółkarski (szkółka jest kwalifikowana) powinien iść do centrali nasiennej w Poznaniu. Ale działkowicze też muszą kupić gdzieś drzewka. Tylko, że taki drobny handel jest strasznie kłopotliwy. No, bo jak przyjedzie ktoś z Poznania i bierze 200 sztuk, to nie ma sprawy. Ale kiedy każdy działkowicz zaczyna wybierać po 1 sztuce, to już można dostać obłędu: drzewka są powiązane w pęczki po 10 sztuk, zadołowane, z przyczepionymi etykietami. Trzeba rozrywać te pęczki, wyciągać z ziemi, załączać do każdego drzewka etykietę, wypisywać kwit, latać do kasy...

A tutaj (jest 21.X.) tydzień spiętrzonych prac, trzeba wszystko ściągnąć z pola, wykonać orki, zająć się przetwórstwem. Żeby pod koniec roku wyjść na czysto, bo w marcu przyszłego roku RSP w Ksawerowie strzeli 25 lat i będzie srebrne wesele na sto fajerek! Albo na sto byków i tysiąc norek, jak kto woli.

2.

Od zachodu pchają się Pabianice, od wschodu dobija Łódź. Wciśnięty między dwa miasta Ksawerów nie rokował nadziei na rozwój rolnictwa. Ale w 1953 roku nastąpił punkt szczytowy kolektywizacji i spółdzielnia produkcyjna powstała. Wszyscy przepowiadali jej fiasko, zresztą nie bez racji, bo wkrótce przyszedł kryzys i niepowodzenia, a w pięćdziesiątym szóstym mogło się nawet wszystko rozlecieć. Na szczęście prezesem został wówczas inżynier **Edward Czerwiński.** Dzięki jego zmysłowi organizacyjnemu i osobistemu zaangażowaniu spółdzielnia doszła do pełnego rozwoju. Fakt, iż Czerwińskiemu udało się wyciągnąć zespół z impasu, nabiera znaczenia, jeśli weźmie się pod uwagę, że Ksawerów to największe skupisko prywatnych ogrodników. Konkurencja, zawiść i niechęć. Ale dziś spółdzielnia nie boi się już konkurencji.

Edward Adamczyk, który robił magisterkę z sadownictwa, zaczął przed ośmiu laty w spółdzielni od funkcji brygadzisty w brygadzie sadowniczo-szkółkarskiej. Zasadził rozległy sad, awansował, przechodząc wszystkie szczeble funkcyjne, aż do prezesa.

— Kiedyś nazywało się to Rolniczy Zespół Spółdzielczy, ponieważ mieliśmy jeszcze dwie filie: w Piątkowisku i Witowicach. Ta druga znajdowała się w Nowosądeckiem, były tam krowy, trzoda chlewna, uprawy warzywnicze.

— Trochę za daleko, żeby wszystkiego dopilnować.

— Tak, ale nowy podział administracyjny sprawił, że te dwie filie usamodzielniły się. Zubożeliśmy, bo najpierw było 150 ha, z tymi dwiema filiami mieliśmy w 1974 roku już 308 ha, teraz pozostało 155 ha. I wciąż nas „okrawają"...

— Dlaczego?

— Dlatego, że „wisimy" między dwoma miastami. Na przykład w Rypułtowicach hodujemy byczki, które idą na eksport do RFN, Włoch i na Węgry. Chcieliśmy powiększyć tam teren i zlokalizować hodowlę norek. Odpisano nam, że teren przeznaczony jest pod budowictwo przemysłowe. Ziemia się kurczy, ale to wcale nie oznacza, że spadamy z produkcją. Naszą produkcję roczną określa się na około 30 mln zł. Mamy jedenaście działów produkcyjnych, mogę podać przykłady, które świadczą, iż wraz ze zmniejszaniem się powierzchni gruntów rosła, dzięki m. in. intensywności produkcji ogrodniczej, produkcja globalna. Przetwórnia (kapusta, chrzan, truskawki, ogórki konserwowe, w tym roku 330 tys. słoików) daje 9 mln. Za byczki 8 mln, 1,5 mln za warzywa, 2 mln za kwiaty, 1,5 mln z rolnictwa. Nasz sad jest młody, 34 ha jabłoni i 7 ha śliw, sadzony sukcesywnie przez 3—4 lata, teraz najstarsze drzewka mają po 8 lat, młode zaczynają dopiero owocować, jest jednak z tego 1,8 mln. Ostatnio bardzo nam podciągają produkcję norki — czysty zysk 1,5 mln zł.

— Czujecie się bogaci?

— Na tyle, żeby przeznaczyć na funfundusz socjalno-kulturalny 838 tysięcy. Wycieczki w Polskę i za granicę, kolonie, przedszkole, kino, teatr, dotacje na różne imprezy dla Urzędu Gminy. Od 15 lat utrzymujemy stały kontakt ze spółdzielnią produkcyjną w Słowacji, co drugi rok 8 osób jedzie tam, my zaś podejmujemy Słowaków. Ale wie pan co? Ja naprawdę nie mam czasu, niech pan jeszcze pogada o „życiu" z innymi, tymi liczbami mogę pana zanudzić, a pan dobije czytelników...

Prezes zarzucił palto i wybiegł w pośpiechu. Do rozmowy włączył się mechanizator, **Edward Pawełczyk,** od 18 lat w spółdzielni, który przedtem instalował w województwie ogrzewanie do hodowli brojlerów.

— Z nami, proszę pana, mają dobrze pracownicy i członkowie oraz sąsiedzi. Pomagamy zakładowi opiekuńczemu, czyli „Żarówce", zaopatrujemy w warzywa i owoce stołówkę „Pamotexu", gdzie wydają 3 tysiące obiadów. Mechanizacja u nas niezła. Mamy „Bizona Super", ciągniki, przyczepy, kombajn do ziemniaków, do zbioru kukurydzy. Korzystają z tego rolnicy indywidualni i zakłady spółdzielcze, wszystko gra...

— Niezupełnie — wtrąca inż. Gamoń. — Na przykład przydałaby się nam „nyska". Albo sprawa kotłowni. Ile lat tłucze się tę sprawę, panie Edku?

— No tak, będzie już z pięć — przyznaje Pawełczyk.

3.

Jerzy Gamoń zrobił magisterkę z kwiaciarstwa, ale przez 10 lat siedział na Rzeszowszczyźnie w pieczarkach, uprawiał je nawet w poniemieckich bunkrach, za rozwinięcie pieczarkarstwa otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi i... zatęsknił do kwiatów. Do Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Ksawerowie przyszedł w kwietniu tego roku. I, wydaje się, że pociągnęły go nie tylko kwiaty..

— Najbardziej opłacalne są norki. Mamy obecnie stado liczące wraz z dorosłymi samcami i samicami 1600 sztuk. Otrzymujemy odpady z zakładów mięsnych. Miażdżymy je na elektrowilku. Ale norka jest bardzo kapryśna i wybredna. Najchętniej żarłaby tatara, a do tego trzeba jej dorzucić gotowaną kaszkę, witaminki, serki homogenizowane. Wtedy ma najlepsze futro. Ponadto — samica sama reguluje sobie ciążę, która może trwać od 35 do 90 dni. Ale jak do 60 dni ciąża się nie utrzyma, to już nic nie będzie. U norek sprawa podobna jak u ludzi: grupy krwi się nie zgadzają, to ciąża ginie. Samica ma tylko jeden miot rocznie, w miocie może być nawet 10 sztuk, ale u nas przeciętna wypadła 2,6. Bo np. po licznym miocie przychodzi miot niewielki.

— No to nie wyjdziecie na swoje.

— Nie będzie tak źle. Od ubiegłego roku cena za skórkę podskoczyła o 1000 zł, za dużego samca można wziąć teraz 2.600.

Ale norkę nie wystarczy wyhodować. Trzeba ją zabić, oskórkować, skórę lajtrować (koniecznie z trocinami z buka) naciągnąć na prawidła i wysuszyć. Przy lajtrowaniu tłuszcz kapie na buty, które „puchną", robotnicy mają dłonie od tego tłuszczu białe i gładkie jak alabaster. Nic dziwnego, panie uganiają się za kremami norczymi nie tylko w Polsce.

O krok od spółdzielni znajduje się gęsowska ubojnia królików. Wyrzucają tam na śmietnik łapki, uszy i łby królicze, które można by zmiażdżyć na elektrowilku dla norek, lecz spółdzielnia nie może dojść z ubojnią do porozumienia.

Z dalszego sondażu wynika, iż z 200 tonami eksportowych opasów sprawa też nie jest tak prosta. Za dużo pośredników. Włosi i Niemcy chcą byki do 290 kg. Spółdzielnia doprowadza je do tej wagi, ale na „górze" trwają wielomiesięczne pertraktacje na temat ceny. W tym czasie byki „przelatują" wagę, Włosi i Niemcy już ich nie chcą i Spółdzielnia zamiast eksportowej ceny 59 zł za kg, bierze 36, sprzedając je na rynek krajowy.

— Wspominał pan o kotłowni.

Szef produkcji ożywia się, bo kotłownia to przecież kwiaty.

— Pokazywałem panu róże w szklarni. Ładne pączki, starczy tych róż do Barbary. Mnie nie idzie o to, że kwiaty sprzedajemy (te kontraktowane) z 40 proc. marżą. Idzie o nienależyte wykorzystanie 1,5 ha pod szkłem. Część szklarni w zasadzie jest tylko podgrzewanych, zaś około 0,6 ha zimnych. W tych są róże, które zimą odpoczywają. Przy temperaturze ponad 20 st. C można by je „pobudzić do życia" już w styczniu. Tymczasem my możemy je ścinać dopiero w końcu kwietnia. Pomidory sadzimy ok. 15 maja, i takie na 3, zamiast na 5 gron. Brak ciepła. Gdyby było ciepło, produkcja szklarniowa wzrosłaby dwukrotnie. Dzieje się tak z tej przyczyny, że mamy trzy malutkie kotłownie i osiem piecyków. Palacze, Kaczmarek i Święcicki, latają na swoich zmianach od piecyka do piecyka i zanim wszystkie oblecą, pierwszy wygaśnie. Problem rozwiązałaby duża kotłownia, ale potrzeba na to specjalnej zgody, oryginalnego projektu. W Ksawerowie dymią dziesiątki małych kominów w prywatnych szklarniach, nikt nie chce jeszcze jednego dużego smolucha...

— Panie inżynierze, teraz dużo się mówi o ukierunkowaniu produkcji i specjalizacji...

— Proszę pana, ja znam spółdzielnie, które pod szyldem RSP wykonują guziki do kożuchów, albo robią stolarkę za 12 mln rocznie. U nas 10 działów stanowi produkcję podstawową. Brygada remontowo-budowlana wykonuje prace wyłącznie dla nas...

— Ale mieszkacie ciasno.

Okazuje się, że 25-lecie będzie obchodzone w dużej świetlicy, ponad 200 m kw. Tam też będą się odbywać walne zgromadzenia. Stoi już (trwają roboty wykończeniowe) trójkondygnacyjny budynek, pokryty kolorowym tynkiem. Na dole szatnie, umywalnie, wc, w części środkowej biura na górze trzy mieszkania. Jedno przeznaczy się na pokój gościnny, drugi zajmą stażyści, w trzecim zamieszka pani **Millerowa,** która będzie gospodarzem budynku.

Z dwu stron kuszą miasta, a mimo to ludzi w Ksawerowie nie brak. Pracują całe rodziny, młodzi kończą szkoły i wracają do spółdzielni, tak jak chociażby **Jan Firaś,** który po technikum mechanizacji rolnictwa wrócił do Ksawerowa. Nie ma w tym żadnej tajemnicy: zarobki są takie, że prezes nie musi się martwić o brak rąk do pracy. Chętni stoją w kolejce. Minęły te czasy, gdy na wsi straszono chłopów kołchozem.

Ostatnio do RSP wstąpiła z 10 ha wkładem kobieta z Łaskowic.

Każdego roku jesienią pod wielkie bloki podjeżdżają ciężarówki wypełnione workami ziemniaków Chłopskie furmanki rozwożą kapustę. Nadszedł czas robienia zapasów na zimę, chociaż w blokach nie ma do tego najlepszych warunków Piwnice są małe, albo zbyt wilgotne, albo zbyt suche, albo zbyt zimne albo za ciepłe. Dlatego nie wszyscy ulegają starym nawykom i znaczna część lokatorów nowych osiedli rezygnuje z zimowych zapasów, licząc na to, że w ziemniaki, kapustę i inne warzywa będą zaopatrywać się w sklepach. Z codziennej praktyki wiemy jednak, że jest to rachuba czasem zawodna. Dostawy ziemniaków i warzyw do sklepów są nieregularne, wiele sklepów spożywczych zrezygnowało z handlu tymi artykułami, a i jakość warzyw i ziemniaków nie zawsze jest najlepsza. Jakie są tego przyczyny?

W 1975 roku spożycie warzyw i owoców przez statystycznego mieszkańca województwa miejskiego łódzkiego wynosiło 109,7 kg W roku 1980 natomiast ma wzrosnąć do 130 kilogramów. Aby taką ilość zielonego towaru dostarczyć klientom, handel musi dysponować odpowiednimi magazynami przystosowanymi do przechowywania warzyw i owoców. Niestety, nie dysponuje Jak wynika ze sporządzonego bilansu, dla zapewnienia regularnych dostaw świeżych warzyw i owoców potrzeba przechowalni dla zmagazynowania:

— 12 tysięcy ton warzyw
— 5 tysięcy ton owoców
— 25 tysięcy ton ziemniaków

Tymczasem spółdzielczość i handel województwa miejskiego łódzkiego dysponuje przechowalniami, w których można zmagazynować:

— 0,5 tysięcy ton warzyw
— 1,5 tysięcy ton owoców
— 1,6 tysięcy ton ziemniaków

Brakuje również odpowiednich urządzeń i pomieszczeń do kwaszenia kapusty i ogórków. W tej sytuacji znaczną część warzyw, ziemniaków i kiszonej kapusty sprowadza się bezpośrednio od producentów. Rolnicy przechowują ziemniaki i niektóre warzywa w kopcach. Jest to sposób tradycyjny i niedoskonały. Z braku innych możliwości korzystają z niego jednak również i spółdzielnie ogrodnicze. Ostatnio w kraju wprowadza się przechowywanie ziemniaków w mechanicznie wentylowanych i przykrywanych prasowaną słomą pryzmach. Jest to wprawdzie metoda lepsza od kopcowania, ale również nie rozwiązująca problemu przechowywania ziemniaków.

Rolnictwo w okolicach Łodzi nie zapewnia potrzebnych ilości ziemniaków dla miasta. Przewiduje się, że będzie się tu rozwijać przede wszystkim warzywnictwo. Do niedawna sprowadzano dla Łodzi ziemniaki z Sieradzkiego. Obecnie województwo sieradzkie dostarcza je dla południa Polski. Dla Łodzi natomiast przywozi się ziemniaki z Białostockiego, Słupskiego, Konińskiego, Ciechanowskiego, Radomskiego i Kieleckiego. Mokre lato i nie najlepsze warunki transportu wpływają na pogorszenie jakości ziemniaka. Bywa więc i tak, że jeszcze przed złożeniem w kopcu ziemniaki są już nadpsute. A reszty dokonują niewłaściwe warunki przechowywania. Na dodatek sprowadza się różne gatunki ziemniaków, w części takie, które powinny być przeznaczone tylko do przetwórstwa. Wszystko razem wpływa na to, że w sklepie kupujemy ziemniaki złej jakości, niesmaczne, a często mamy w ogóle kłopoty z ich kupnem.

Brak przechowalni dla ziemniaków, warzyw i owoców występuje nie tylko w województwie miejskim łódzkim. Jest to problem ogólnopolski. Tym ostrzejszy, że w rolnictwie i ogrodnictwie występują okresy urodzajów i nieurodzajów. Na przykład w sezonie 1976/77 zebrano owoców i warzyw znacznie więcej niż zakładano. Samych tylko ziemniaków zebrano o 200 tysięcy ton więcej niż w poprzednim sezonie. Ale z 460 tysięcy ton zebranych ziemniaków, zaledwie 25 tysięcy ton było przechowywane w odpowiednich warunkach. Resztę złożono w kopcach i różnych szopach i — jak obliczono — straty z powodu niewłaściwego przechowywania wyniosły około 20 procent zbiorów.

Brak przechowalni i konieczność kopcowania ogromnych ilości ziemniaków wpływają na to, że spółdzielniom i przedsiębiorstwom handlowym nie opłaca się zajmować tym towarem. Spółdzielnie ogrodnicze muszą wydawać spore sumy na przechowywanie ziemniaków oraz angażować do tej pracy znaczną ilość ludzi, co w rezultacie wpływa na obniżenie zysków ze sprzedaży ziemniaków. Dla przedsiębiorstw handlowych natomiast handel ziemniakami i warzywami jest wielce kłopotliwy, a minimalnie opłacalny. Dlatego obserwuje

ROLNICTWO

się, że coraz więcej sklepów spożywczych rezygnuje ze sprzedaży warzyw i ziemniaków, choć są to przecież podstawowe produkty żywnościowe. Sklepów warzywnych jest mniej, są rzadziej rozmieszczone i pracują krócej niż sklepy spożywcze, stąd też ograniczenie sprzedaży warzyw i ziemniaków jest wielce uciążliwe dla klientów. Poza tym sklepom warzywnym bardziej opłaca się sprzedaż wina niż paru kilogramów kartofli. Każdy z klientów tych sklepów, stojąc w kolejce po ziemniaki czy marchew, nie raz był świadkiem preferowania tych kupujących, którym śpieszno jest do odkorkowania paru butelek z winem.

Handel surowym i brudnym ziemniakiem jest najprymitywniejszą formą obrotu tym towarem. W wielu krajach od dawna już proponuje się klientom różnorodne przetwory ziemniaczane. Nasz przemysł spożywczy próbuje wprawdzie wprowadzać na rynek niektóre przetwory, jak na przykład puree ziemniaczane czy mrożone placki, ale wybór jest niewielki i daleko odbiegający od potrzeb i teoretycznych możliwości. Teoretycznych dlatego, że w gruncie rzeczy wiemy, co można robić z ziemniaków, ale nie dysponujemy należycie wyposażonymi przetwórniami, które powinny być powiązane z odpowiednią siecią przechowalni.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Odpowiedź jest jedna. Trzeba budować i przechowalnie i przetwórnie. W województwie miejskim łódzkim istniejące przetwórnie są w stanie wykorzystać zaledwie 4,5 tysięcy ton owoców i warzyw. Rozbudowa przetwórni w Kombinacie Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych w Widzewie koło Pabianic pozwoli zwiększyć przetwórstwo z 600 do 800 ton rocznie. Ale jest to tylko jedna wytwórnia. Sporządzony program rozwoju przetwórstwa w rejonie Łodzi przewiduje ponadto:

— wybudowanie kwaszarni w Nowosolnej,

— przystosowanie dla celów przetwórstwa pomieszczeń byłej spółdzielni Hodex w Natolinie,

— wybudowanie w Łodzi przechowalni warzyw i owoców, która mogłaby jednocześnie przygotowywać dla sklepów warzywa myte i paczkowane,

— wybudowanie dojrzewalni owoców importowanych,

— wybudowanie przechowalni mobących pomieścić 20 tysięcy ton ziemniaków.

Realizacja tego programu, którego efekty powinny być już widoczne po 1980 roku, napotyka jednak na spore trudności. Zdaniem władz łódzkich inwestycje te powinny mieć charakter priorytetu. Takie stanowisko wynika ze zrozumienia potrzeb społecznych i mieści się w ramach dokonywanego manewru gospodarczego.

Jednakże rzeczywista ranga tych przedsięwzięć musi być z konieczności ograniczona przez występujący w budownictwie rolniczym brak możliwości produkcyjnych. Na dodatek przedsiębiorstwa te podlegają zjednoczeniu znajdującemu się w Kielcach, które siłą rzeczy koncentrują swoją uwagę i wysiłki na rozwiązywaniu problemów inwestycyjnych tamtego rejonu.

Rozpoczynająca się budowa kombinatu ogrodniczego w Janowie miała być prowadzona przez Chemobudowę. Okazało się jednak, że potrzeby budownictwa przemysłowego są tak wielkie, iż budową w Janowie musi się zająć przedsiębiorstwo budownictwa rolniczego. Przydzielono ją więc takiemu przedsiębiorstwu z Olechowa, którego aktualna roczna zdolność produkcyjna wyraża się możliwością wykonania prac o wartości 100 milionów złotych. Dopiero w 1980 roku przedsiębiorstwo z Olechowa będzie zdolne wykonywać prace o wartości 230 milionów złotych rocznie. Tymczasem, aby planowo prowadzić budowę kombinatu w Janowie, już w przyszłym roku olechowskie przedsiębiorstwo musi wykonać pracę o wartości 200 milionów złotych. Musi więc gwałtownie zwiększyć swoje możliwości produkcyjne. Jednocześnie staje się oczywiste, że przez najbliższe lata przedsiębiorstwo z Olechowa będzie zajmowało się tylko i wyłącznie budową w Janowie.

Tymczasem przygotowano już dokumentację przechowalni dla 10 tysięcy ton ziemniaków, która — według pierwotnych założeń — miała powstać w Strykowie. Tego typu przechowalnia potrzebuje sporych ilości wody a jednocześnie odprowadza ścieki, które nie są wprawdzie chemicznie skażone, ale powinny być oczyszczane. Budowa przechowalni ziemniaków w Strykowie wymagała więc dodatkowej inwestycji — oczyszczalni ścieków. Z tego powodu zrezygnowano z budowy w Strykowie, a nowej lokalizacji jeszcze nie ma. Rozważa się możliwość zlokalizowania obiektu w rejonie Andrzejowa. Jeśli nawet ten problem zostanie szybko i pomyślnie rozwiązany, to wyłoni się nowy — kto będzie tę przechowalnię budował. Planowano zakończenie tej inwestycji na rok 1980. Ale wszystko wskazuje na to, że termin ukończenia prac trzeba będzie przesunąć o rok.

Ważną inwestycją przemysłu spożywczego będzie budowa nowoczesnej przetwórni ziemniaków w Głownie. Przetwórnia ta oraz przechowalnia dla 20 tysięcy ton ziemniaków powstaną w oparciu o amerykańską licencję, a ich budowa będzie nadzorowana przez zagranicznych specjalistów. Termin ukończenia tej przetwórni wyznaczono na rok 1979. Jej powstanie w znacznym stopniu przyczyni się do zracjonalizowania handlu ziemniakami. Klienci sklepów spożywczych będą mogli otrzymywać już nie surowe ziemniaki, ale ziemniaczane przetwory. Zakład w Głownie będzie m. in. dostarczał 5 tysięcy ton granulatu ziemniaczanego. Nazwa, jak na razie, nie jest zbyt zachęcająca, ale jak twierdzą specjaliści — produkt ten będzie o wiele smaczniejszy niż znajdujące się obecnie w sklepach puree ziemniaczane. Jeśli zakład w Głownie spełni pokładane w nim nadzieje, to przewiduje się możliwość powielenia tego typu przetwórni w innych rejonach kraju.

Przedstawiony program pozwala stwierdzić, że przemysł spożywczy i spółdzielczość ogrodnicza zmierzają do rozwiązania trudności występujących w handlu ziemniakami i warzywami. Jednakże realizacja tych poczynań będzie niewątpliwie napotykała na różnorodne przeszkody, które — jak to już zostało pokazane na przykładzie Strykowa — mogą je opóźnić. Nie jest to wniosek pocieszający, tym bardziej że tego, zdawałoby się, wąskiego problemu naszego codziennego życia nie można rozpatrywać w oderwaniu od całego rozwoju Łodzi i aglomeracji. Szybko postępujące budownictwo mieszkaniowe, rozwój nowych osiedli i dzielnic, jak chociażby Retkini i Widzewa-Wschód, wydłużające się trasy dojazdów do pracy, wszystko to wymaga nieustannego usprawniania sieci handlowej. A przecież wiadomo, że proces ten postępuje znacznie wolniej, niż rozwój budownictwa mieszkaniowego. Handel zatem musi wziąć pod uwagę fakt, że coraz więcej ludzi będzie rezygnowało z robienia zapasów na zimę, zaopatrując się na bieżąco w sklepach w owoce, warzywa i ziemniaki. Trzeba również liczyć się z tym, że coraz więcej kobiet będzie poszukiwało już nie tyle surowych ziemniaków, co gotowych przetworów ziemniaczanych, ułatwiających im pracę i przyśpieszających przygotowanie posiłków. Miejmy więc nadzieję, że realizacja planowanych przedsięwzięć przemysłu spożywczego i spółdzielni ogrodniczych przyczyni się do tego, iż coraz mniej kobiet będzie woziło ze śródmieścia siatki wypchane kartoflami, a z piwnic i klatek schodowych zniknie smród gnijącej kwaszonej kapusty.

BOGDA MADEJ

ZIEMNIAK NASZ POWSZEDNI

REPORTAŻ

ANNA STROŃSKA

ŁÓDZKIE ŻYCIE

Ci z „Eskimo" wywodzą się z Górniaka, który w oficjalniejszych sytuacjach występuje jako dzielnica Łódź-Górna. Załoga mieszka przeważnie przy Rzgowskiej, Przybyszewskiego, Kilińskiego, Pabianickiej. Między Pabianicką a Rzgowską — Stare Chojny. Na Czerwonym Rynku królują wieżowce, kto tu jeszcze pamięta kpiącą kolendę:

Gdybyś się Jezuniu w Łodzi urodził/ tobyś na Chojny do nas przychodził/ byś zobaczył jak żyjemy/ i jak ciężko pracujemy/ jak nas okradają/ i żyć nam nie dają...

Stara robociarska kolenda. To zresztą tylko jedna ze zwrotek; nie pierwsza. Zapraszali Pana Boga do całego miasta.

Gdybyś się Jezuniu w Łodzi urodził/ to byś i tutaj też boso chodził/ poszedłbyś do fabryki/ podarłbyś swe buciki.

Do wielkiego miasta, a ciągle jeszcze półwsi. Do tej dziwnej Łodzi, pałacowej i zgrzebnej, na ulice wyzłacane i zaropiałe rynsztokami. Pyszna secesja przy karłowatych facjatkach, imponujące cmentarze obok przeraźliwego życia.

Gdybyś się Jezuniu w Łodzi urodził/ to byś na Bałuty do nas przychodził/ wieczerzę wspólnie zjemy/ wszystko ci opowiemy/ będziesz wszystko wiedział/ nie w Betlejem siedział.

Geyer, Ludwik Geyer: no, to się jeszcze wie. To się w zasadzie słyszało. Ale Babad, Stolarow, Danzinger, Silberberg, Winter, ale Spółka „Cotton"? Sprawy z tamtego brzegu. Dawna przeszłość. Ciekawe, co tak naprawdę mówi studentce Rzepeckiej fakt, że w roku 1845 u „Geyera" wśród 715 pracowników było 121 dzieci poniżej 15 roku życia?

Jedna z pierwszych fabryk łódzkich. Taka, o której historyk powie, że na jej przykładzie od manufaktury rozproszonej, od nakładu aż po spółkę akcyjną można prześledzić wszystkie etapy kapitalizmu.

Córka Usielskiego mogła zresztą o tym słyszeć na wykładzie.

Gdybyś się Jezuniu w Łodzi urodził/ to byś na Widzew do nas przychodził/ byś zobaczył Maksa Kona/ lud bez pracy tam już kona/ jaśnie panów trzeba/ wysłać do nieba.

Wnuczce Rzepeckiej mogło obić się o uszy, że Ludwik Geyer w 1829 założył manufakturę na 20 krosien, do której po ośmiu latach dotrze maszyna parowa (ale bardziej interesująca dla młodych ludzi była wiadomość o scenach do „Ziemi obiecanej" kręconych w byłym „Geyerze").

A z piosenek w łaskach są raczej te w innym stylu retro. Te z repertuaru galwanizowanych orkiestr podwórkowych. Kiedyś szczytem kariery był występ w „Tivoli", dzisiaj każda kapela może liczyć na płytę. W mieście Łodzi jeszcze do znalezienia trochę tych hauseraków. Na hauserkę chodzili na przykład Iwańscy: Marian Iwański z trzema synami dzisiaj znowu produkuje się w „Bałuciarzach".

Niegdysiejsze horror-szlagiery przedmieść. „Moc było zbrodni na świecie i wielu krwawych zbrodniarzy, lecz szczyt podłości w kobiecie to chyba w Łodzi się zdarzył". Albo o tym, jak „zapada noc głucha, z toporem Łaniucha do państwa Tiszerów zakrada się".

Ta dzisiejsza publiczność niby śmieje się, aż jej uszy rosną kiedy słucha jak „... w przepaść skoczyła i wrząca fala ciało jej skryła. Raz jeszcze jeden ją ukazała tak to zginęła ta co kochała".

Ale nas interesuje określony adres na Górniaku. Stara jak świat fabryka. No tak, jak świat. Jak Łódź. A także kilka związanych z tym adresem losów ludzkich, może dlatego wartych wyróżnienia, że zupełnie zwykłych.

Tak, zwykłe ludzkie losy. Zwykłe łódzkie.

Dzieciństwo jeszcze w mieście Szosy Rokicińskiej, Przejazdu, Południowej, Widzewskiej, Kamiennej, Dzielnej. Ile nazw po drodze życia, ile tych przebrzmiałych adresów. W tamtej porze świata mieszkało się w Łódce. Na Dołku... za dziadka — Na Ślązakach, nie na żadnym Szlezingu Śiesing, Szlezing, to już za czasów ojca.

— Jaki jest pana dzisiejszy adres?

— W blokach na Karolewie — i poprawia zaraz — na Retkini.

— Pomylił się pan?

— Nie, tylko młodzi ludzie już tak nie powiedzą.

Maria z Chrzanowskich, tkaczka u Geyera, przyszła Usielska, urodziła się w famułach naprzeciwko zakładów Poznańskiego. Te czerwone ciężkie bloki stoją jeszcze, ale bez ścieków. W famułach jeszcze mieszka dalsza rodzina Usielskich, tylko że to już nie są lata, kiedy tak przestrzegało się ceremoniału ścisłych kontaktów, regularnych wizyt. Dzisiaj ludzie nie mają czasu dla siebie, mają telewizję.

Pewnie na jej weselu śpiewali:

U konika siwa noga, siwa noga/ srebrna ostroga, srebrna ostroga/ a ja ciebie panno nie chcę, boś ty uboga...

Mogli jeszcze śpiewać tak:

A już my ich zaprosili/ już siedzą, już siedzą/ dejcie im co dobrego/ a to zjedzą, to zjedzą/ A dejcież im dejcie/a jak mamie co dać —/ młoda mruży oczy/ bo już jej się chce spać.

I potem, dla żartu:

Oj ty starej baby nie bierz/ co leży w szpitalu/ oj stara baba umrze/ narobi ci żalu.

Grubo przed czasem kiedy „Poznański" zaczął się nazywać „Marcinlewski", nowożeńcy wyprowadzili się do Górnej.

Pokój z kuchnią dla czworga. Bardzo dobrze. Na pierwszym piętrze z czterech, z wodą w korytarzu — rzadki luksus — i z podwórkową ubikacją. Podwórkową, dla wszystkich czterech pięter. No, ale z pierwszego szło zlecieć i mieli naprawdę możliwie. Jadło się w kuchni, nocowało w pokoju. Łóżko synów przy łóżku rodziców. Normalnie. Dobre łóżka, białe z niklowymi gałkami, matka umierając mówiła żeby nie wyrzucać, dać gdzie do szpitala.

Dzisiaj przeważnie nikt na łóżku nie śpi, może naprawdę który szpital wziąłby, tylko już nie pomyśleli.

Matka nigdy ich nie biła, ojciec umiał przylać. Kiedyś zorientowa się, że mu giną gilzy. Zawołał: przyjdź no tu. Jerzy posłuchał, ale mokry z potu. Pamięta że bał się bardzo. A wtedy nie dostał. Ojciec posadził go przy sobie i tylko mówi jak później odzwyczaić się jest trudno. Jak szkodzą papierosy na zdrowie oraz na pieniądze.

Sam palił. W gilzach.

Ojciec dawał wszystkie zarobki matce i z powrotem brał tylko na tytoń, albo na karty, mało. Grali ze szwagrem w preferansa o niziutkie stawki. Utrwaliło się, że matka przy regulowaniu groszowego długu recytowała: „wyciągasz ode mnie te pieniądze i wyciągasz..."

Ojciec, który potrafił na swoim stawiać wtedy milczał, bo w pieniądzach, żony zawsze mają rację.

W tamtych czasach tygodniówką rządziła kobieta a na zakupy — na te poważne, po sukienkę, garnitur — szło się tylko razem. Rodzice przy sobie, bez pośpiechu, bracia przodem trzymając się za ręce.

Szło się do Żyda, ale ojciec raczej znał się na zagadnieniu i rozmawiał stanowczo.

Obiad w tygodniu był z jednego dania, krupnik czy zacierki. Przy kuchni na zmianę ojciec z matką, jak tam któremu według pracy pasowało. W niedzielę lepiej jedli.

A tak to były bułki z mlekiem albo chleb ze smalcem, albo chleb posypany cukrem i zroszony wodą, żeby się ten cukier lepiej trzymał.

Tramwaj kosztował 10 groszy, ulgowy — 5. Wtedy jak już musieli wynieść się na Pabianicką, mały Usielski miał do szkoły daleko, aż na róg Sosnowej. Oczywiście wolał iść, niż jeździć, zamiast dwu biletów zafundować sobie bułkę i kawał takiej kaszanki ciepłej, której smak pamięta do dzisiaj.

Kieszonkowego nie znał. Skądże. A zabawki? Nie dostawał zabawek. Tych rzeczy nie było w jego dzieciństwie. Jednak idąc do szkoły umiał pisać, czytać, za dziecka zawsze czytał dużo.

„Bałuty i Chojny, naród spokojny". Zapamiętał tę złośliwostkę z dzieciństwa. Dużo oczywistości jego dzieciństwa dzisiaj liczy się za egzotykę.

Komorne wynosiło do 70 zł na kwartał, a gimnazjum brata 100 złotych miesięcznie. Rodzice obydwoje pracowali, dlatego można sobie było pozwolić na wszystko. Dopiero zastój włókienniczy uderzył ich po krzyżu, matka dostała stempla, ojciec został w robocie na trzy dni w tygodniu. I musieli rozejrzeć się za tańszym mieszkaniem, już bez wody, woda za studni na podwórzu.

Tam płacili taniej. 51 złotych na kwartał. Mimo wszystko to też było dużo, chcąc utrzymać rodzinę i kształcić jedno dziecko.

Brat nie chodził do „Zimowskiego" czy do „Miklaszewskiej". Skądże! Gimnazjum dla księgowych, sześć lat nauki, aż nadto jak na siły rodziny. Nie było widoków i nawet mowy o tym, żeby drugiego syna podźwignąć do matury. Usielscy i tak marzyli sobie dosyć mało, wybierając dla Jerzego karierę rzemieślnika.

Rzemieślnikiem-ślusarzem był brat matki. Ślusarzy, tokarzy respektowano jako robotniczą generalicję.

Wczesna młodość w czasach, kiedy kursowały i takie szlagiery:

Mój ojciec nie mógł dostać roboty/ ni zapomogi z opieki/ więc zamiast chleba kupił za złoty/ flaszkę karbolu z apteki.

Ich domu to nie dotyczyło. Nie powodziło im się, ale żeby w ten garnek włożyć — to owszem, na to mieli. W niedzielę, jak siostry matki z mężami przyszły, albo ojca siostra, Usielski zawsze zlecał: „Marysia przygotuj no coś" i już było wiadomo, że matka skoczy do rzeźnika po rozmaitości. Mały Usielski chodził do kina „Słońce" i do kina „Rekord" tylko chyba wtedy ono nazywało się jakoś inaczej, ludzie powinni pamiętać, dawny właściciel wybudował to obecne kino „Wolność"...

Najtańszy bilet za 25 groszy. To było bardzo dużo i dziecko musiało sobie zasłużyć na przyjemność.

Poufałości z rodzicielami, tykanie ich?... Wykluczone. Proszę mamy, proszę taty, zawsze tak. Tylko w trzeciej osobie.

I przy tym rozdziale chwilowo opuścimy go, żeby przyjrzeć się innemu człowiekowi, innym ludzkim losom. Wiele czasu upłynie przecież, zanim fabryka zapośredniczy w prywatnych sprawach rodzin, od kiedy to związanym z „Geyerem", z „Dzierżyńskim".

W Łodzi ojciec, w Łodzi matka/ w Łodzi jest mój cały ród/ w Łodzi jam się urodziła/ w Łodzi będę brała ślub/ Łódź rodzinne moje miasto/ to potężny fabryk gród/ w Łodzi swoje życie spędzę/ w Łodzi będę miała grób.

Ojciec przywędrował z Serocka, zapoznał matkę i pobrali się. Mogło być w tysiąc dziewięćset piątym albo w czwartym. Dziadków z jego strony nie znała, a u matki dawno przed tym ślubem już nie było rodziców. Matka pochodziła z Chachuł. Chachuły to jest dzisiaj Łódź, 10 kilometrów stąd od „Dzierżyńskiego", ale wtedy była wieś bita. Trochę gruntu zostało matce i jej siostrom, to tak same dziewczyny gospodarowały, ale nie mogły dać rady i przeniosły się do miasta, gdzie matka wyszła za farbiarza.

Wychowana na Górnej, na Braterskiej. Tam przy Wróblewskiego. Wtedy jeszcze ulice miewały nazwy naniesione sytuacjami. Braterska wyrosła na gruntach braci Kluków, którzy poszatkowali je na place budowlane w czasie wielkiej hossy.

Pamięta dom dzieciństwa. Jeden z tych już nie istniejących parterowych drewnianych domów łódzkich, obarczonych facjatami. Moje naiwne pytanie:

— Sami tam mieszkaliście?

Jej pobłażliwa odpowiedź:

— Sami? Pięć rodzin.

Braterska, wtedy adres z zaletami, bo jeszcze półwsi. Dało się trzymać krowę i sprzedawać mleko.

Pani Lodzia sprzed wojny pamięta sporo, tylko nie zna filmów przedwojennych. Kompletnie. Kolegów to bawiło, ale mówi mi jak jest. Nie zna bo nie mogła, ojciec jej nie puszczał. W wychowaniu ojciec był bezkompromisowy. Miała nawet wyliczony czas — dokładnie — na powroty ze szkoły do domu.

Twardy reżim. A nic wyjątkowego, tak się je wtedy krótko trzymało, te przystojne córki w porządnych domach na Górnej, Widzewie i Bałutach. Żeby potem nie musiały żałować jak ta z piosenki:

Oj, kołysz się kolebko od ściany do ściany/ lulaj że mi lulaj synku mój kochany/ twój ojciec bardzo piękny jak gdyby róży kwiat/ on pokochał dziewczę i z nią pojechał w świat/ A jam go przytulała, a on całował mnie/ nigdy nie myślałam, że on tak zdradzi mnie/ A może nam Pan Bóg da, że on powróci znów/ przed wielkim ołtarzem weźmiemy razem ślub/ Oj lulu lulu synku choć na gołej desce/ może da Bóg z nieba że on wróci jeszcze.

Żona od 17 roku życia. Wyszła za Rzepeckiego.

Teść był rolnikiem z Rzepek, wywodził się z wioski reymontowskiej. Sprzedał ziemię, postawił w Łodzi dom.

Gdyby przy Braterskich i Górnych istniało pojęcie dobrej partii, ona ją zrobiła. Biedy u tych Rzepeckich nie było. A jej matka dodatkowo jako stary człowiek, starej daty, widziała że porządny chłopiec, nie pije nie pali i po wojsku.

Po ślubie przeprowadzili się z mężem na osobny pokój. Młody Rzepecki uczył się u „Geyera" na mistrza, zarabiał i nie pozwalał jej pracować. Tak dobrze przy nim miała, tak nie do wypowiedzenia dobrze.

Leokadia Rzepecka z domu Strumiłło, wdowa od młodości. Jeszcze mówi o sobie tak, że życie miała bardzo spokojne tylko wojna je przegrodziła. Mąż był domatorem i był bardzo dobry dla niej. To ją wstrzymało od ponownego zamążpójścia. Bo przecież jako młody człowiek mogła sobie los ułożyć, prawda?

Została sama z 9-letnim dzieckiem.

Dalszy ciąg na str. 8

Dalszy ciąg ze str. 7

ŁÓDZKIE ŻYCIE

Foto. W. Parys

Imię córki bardzo niemodne, z tych zanikających, Zofia. Imię dzisiaj nieobecne wśród młodzieży. Gośka, to tak, Gośka a nie Zośka. Wyparły Zofię Małgorzaty, Kasie i Agnieszki.

Ślub. Tak pamięta. Wtedy padał deszcz, w tym dniu. Wtedy stary przesąd był, że jak pada deszcz będzie całe życie zapłakane. No, ale w danym wypadku to się nie sprawdziło.

Z rzeczy złych przeżyła tę jedną. Stratę męża. Okaz zdrowia, zachorował pierwszy raz i na śmierć. Koledzy Rzepeckiego znaleźli pracę dla niej, bo jeść trzeba.

W 1947 wzięła w „Dzierżyńskim" pracę rachmistrza. Miała — tak jakby dziś powiedzieć — dziewięć klas i pół. Bo przed wojną przez dwa i pół roku chodziła do szkoły zawodowej trzyletniej, z której zrezygnowała po ślubie. Na pół roku przed końcem tak jest. Dziś tego nie zrobiłaby na pewno.

Wtedy to była wielka miłość, on młody, ona młoda. Tylko to tłumaczy

Społeczny człowiek z Łodzi, kto się mógł spodziewać? W jej wypadku — każdy, powie — zanosiło się, że to będzie domowe bardzo życie, los na spokojnym drugim planie przy mężu, przy dziecku.

I już nie do sprawdzenia, czy ją krach tak zmienił, czy tylko odsłonił.

Opowiada po porządku. Miała ciężko, owszem. Zarobek 750 złotych Wystarczało na dwa tygodnie. A co dalej? Dalej to tak. Nauczyła się pisać trochę na maszynie, brała prace zlecone. Ubierała i ją i dziecko szwagierka, która urządziła się w Świnoujściu otwierając sklep z materiałami, a w tym czasie handel szedł bardzo. Następnie zabierała małą z Łodzi na pełne dwa miesiące. Przywieźć, odwieźć, wszystko szwagierka Czyli że dla małej znalazło się wszystko jak potrzeba, a ona sama wiele razy szafę otworzyła wziąwszy kawałeczek suchy chleba i stanęła za szafą, żeby kto nie widział. Taka była prawda. Tylko, że od samego początku nie odczuwała jej za bardzo. Wpadła w wir dobrych ludzi, dała się pochłonąć cudzym losom. Brak pieniędzy u człowieka, co może być gorszego, prawda? A nie zostawili czasu na zmartwienia.

A tam na Dołach na mogiłniku/ klęczy kobieta przy tym pomniku.../ cicho, kobieto, jak ci się widzi/ czy to na świecie jest brak młodzieży/ chociaż na świecie jest dość młodzieży/ ja tego kocham co w grobie leży.

Z początku mogła urządzić życie sobie też, wyjść za kogoś. Wolała nie. Za udane było szczęście z tamtym, żeby ryzykować coś niespodzianego.

I poświęciła się dla dziecka, najlepsza zresztą droga. I Związki absorbowały ją, ale jak!

Tyle lat w tych Związkach. Do rady zakładowej weszła w 56. Wtedy cały zakład głosował. Cały. Trzy zmiany. Cztery i pół tysiąca ludzi, od których to nie dostała ani jednego skreślenia.

Życiowa chwila. Sukces, sukces... No nie, to nie jest słowo.

Nie zna innej fabryki. W „Dzierżyńskim" od 1947 do renty. Okrągłych 30 lat.

Na początku pracowało jeszcze trochę tych ze starego rocznika. Na nich się mówiło: wychowankowie Geyera. Tak się ich nazywało między młodszą załogą. I ci ludzie jeszcze mieli w sobie takie momenty, że po rozmowie z przełożonym żaden nie poszedł normalnie do drzwi, tylko wycofywali się rakiem. Taki nawyk szacunku. Związki nad tymi ludźmi nawet pracowały nieraz, żeby zmienili swój system.

No, ale to też byli bardzo świetni pracownicy, ofiarni bardzo, zdyscyplinowani. Kto z tamtych lat nastał, ten nie był nauczony darmo brać pieniędzy.

A to jeszcze w czasach, kiedy nie wydało się na teatr ani grosza. Jak chodziła po kontrolach to widziała, że ludzie z jednego garnka jedzą.

Starsze od niej, i starsi, mówili do niej: mamo. Była zła, dopóki się nie rozrzewniła. Pracowała dwadzieścia jeden lat po linii związkowej przy pełnym zaufaniu ludzi. Obecnie słyszy się, że to powinien być socjolog czy coś w tym stylu, a ona myśli, że potrzebne jest zrozumienie człowieka Nie miała dyplomów, mimo to kobiety zgłaszały się z intymnościami. Powiedzenia w świecie pracy nieraz są prymitywne, dosłownie potrafiła nie zrozumieć i odkładała rozmowę o dzień, żeby się gdzie spytać.

Płakała z ludźmi i godziła ludzi Pani Lodziu, mamo, ja wczoraj przepiłem i jeszcze naubliżałem żonie, co ja mam teraz robić. O mój Boże trzeba jakoś koniecznie przemówić do niej, może tymi słowami przemówiłbyś: słuchaj, no nie gniewaj się, stało mi się nieszczęście, no poszedłem z kolegami...

Kobiety rozbierały się przed nią pokazując jak są pobite przez swoich pijaków. Szła i do takich domów i jakoś nie bała się. Dziś owszem, dzisiaj by ją strach oblecial, a wtedy nie. Ciekawe. Jakoś była wszędzie pozytywnie przyjmowana, jej nie tknęli słowem.

Pokazuje swoje pamiątki. Odznakę Tysiąclecia. Honorową Odznakę Miasta Łodzi. Odznakę Zasłużonego Działacza ZZPPWOiS. Srebrny Krzyż Zasługi. Medal 30-lecia. Krzyż Kawalerski. Jeszcze ma kilka dyplomów, takich małych adresów pochwalnych — na przykład od zakładowego klubu sportowego „Tęcza". I od Zarządu Łódzkiego ZSMP, tytuł Mistrza-Nauczyciela i Wychowawcy Młodzieży

To jest sukces życia, którym cieszy się najwięcej. Czy wiem dlaczego? Bo od młodzieży jest. Od młodzieży, która nie za bardzo lubi starych ludzi.

Czy chcę zobaczyć jej książeczkę zdrowia? Ona by prosiła. To też jest jakaś wizytówka człowieka. Więc książeczka wcześniejsza, wyrobiona w 54. Nie zawiera ani jednego zwolnienia. Druga z 60, zaraz policzymy ile tu było dni... Siedemnaście. Siedemnaście na trzydzieści lat pracy.

— Pogratulować zdrowia — mówię.

Koryguje.

— Pogratulować charakteru. Zdrowia to nie.

Nie uwierzę, żeby Rzepeckiej mimo wszystko nie zabolał bilet do starości. Już ona najmniej z tych co się zadowolą kwitowaniem dowodów pamięci z ZUS. I rzeczywiście: rencistka Rzepecka dzień w dzień przychodzi do „Eskimo", szuka dla siebie zajęć, szuka podopiecznych — a czy to proszę socjologów da się podciągnąć do mianownika zachowań, nazywanych nieformalną więzią?

Niezmiennie jest u siebie. I na razie to się bardzo podoba. Wcale niewykluczone, że obejdzie się w ruchliwym rencistowskim życiu bez nieszczęścia, polegającego na tym, że od któregoś momentu najzwyczajniej nie ma miejsca dla poprzedników przy następcach.

Póki co, pani Lodzia pogodna pod bezchmurnym niebem swej popularności. Wie, że wiem o kwiatach na pożegnanie. A o kryształach wiem? Podostawała od prywatnych ludzi.

— Tak — przyznaję — to na pewno wyraz sympatii, wdzięczności. Jest w takiej sytuacji już bezinteresowny...

— Och, ja siebie chwalić nie będę.

Obecny adres pani Lodzi — przy ulicy Andrzeja Struga, w śródmieściu. Zamieniła mieszkanie na kawalerkę po zamążpójściu córki i to zrobiła głupstwo bo brak kuchni dla kobiety to jest bardzo dużo. Kobieta musi mieć kuchnię, jest do tego przyzwyczajona.

A samej zamiany nie żałuje, ponieważ madra matka musi odsunąć się od młodych.

Maszyny drżące, syreny wyjące/ i kominów las, tysiące/ to jest nasze miasto Łódź.

Ich dziadkowie wyrabiali drukowane barchany, oni robią drukowany teksas. Z bawełny coraz wiecej produktów różnoimiennych. w „Dzierżyńskim" produkuje się obok przędzy materiały na płaszcze i gotową pościel, chustki na głowę, dywetynę i bieliznę, pledy i obrusy, ale bawełna od stu kilkudziesięciu lat była i zostaje słowem pierwszym.

Bawełnę w „Eskimo" robi więcej czterdziestoletnich niż dwudziestoletnich. Młodzież woli pracować w nowocześniejszych warunkach, takich jakie zapewnia „Bistona", „Polanii" „Vera".

Usielski śmiał się zapytany jak spędzał urlop jego ojciec. Z politowaniem popatrzyła na mnie przy tej kwestii Rzepecka.

W roku 1966 „Dzierżyńskiemu" z braku chętnych przyszło zwracać 95 skierowań na wczasy. Pracownicy którzy z FWP nie korzystali podają różne motywacje, ale spośród 335 zagadniętych tych pięciu mówi o kosztach ponad swoje siły. Po prostu nie odpowiadały ludziom terminy, miejscowości.

Bolesław Usielski u „Geyera" robił za tkacza, potem za przeglądacza tkalni. W „Dzierżyńsmi" dali mu mistrza.

Syn zaczynał w „Dzierżyńskim" od chłopaka do wszystkiego, doszedł do kierowniczego stanowiska.

Tak naprawdę, to zarabia od trzynastego roku życia. Za okupacji najął się do ogrodu tego Niemca. w którego domu mieszkali. Młody chłopiec, mówi się, jest silny, a on przyszedłszy z dniówki nie mógł się pozebrać i już matka zdjęła mu trepy i umyła nogi.

Zięć tej teściowej, której na pożegnanie z zakładem pracy odwoził bagażnik kwiatów. („Pełny. Podostawała kosze i naręcza, to jest tym piusem, że daje dowód bezinteresowności. Dochodzi człowiek, wyraziliśmy stanowisko nasze do człowieka"), otóż zięć nazywa się Usielski.

Zanim z Rzepeckiej zrobiła się teściowa, znali się z jej pracy w dziale głównego mechanika. Był zbieg okoliczności, koleżanka Rzepecka po coś zawołała go do domu, więc przyszedł i zapoznał dzisiejszą małżonkę. Zosia pracuje na politechnice jako laborantka, a w „Dzierżyńskim" pracowała również, tylko krótko. To jest śmieszne, że wtedy się nie znali.

Ożenił się mając 29 lat. Czyli w kilkanaście lat od swojego angażu do fabryki.

Wojna się skończyła, z tą chwilą ojciec dzień i noc był w zakładzie. Dzień i noc. Jerzy przynosił mu jedzenie to widział i całe życie będzie pamiętał: wszyscy stażowi robotnicy na wartach, oni trzymali regularne warty, żeby nic nie mogło przepaść z zakładu. Przed bramą tłum. Masa ludzi, wpatruję się i taka jest cisza... Naprawdę co wtedy kogo obchodził pieniądz, warunki... Polska jest. Polska. Takie było najważniejsze przekonanie.

Więc ojciec załatwił mu praktykę w swojej fabryce. W tym czasie było to jeszcze osiągnięcie z gatunku protekcyjnych.

Zanim Jerzy zauważył, że powinien mieć do ojca żal, uważał się za faworyta losu. Miał pracę. Miał naukę w warsztacie mechanicznym.

Jerzy, syn Bolesława, związanego z ta fabryką przez czterdzieści lat. i Marii, która przepracowała u „Geyera" dwadzieścia pięć lat, ma w „Dzierżyńskim" staż jak na razie trzydziestodwuletni. Skończył średnią zawodową i niezależnie od niej — technikum włókiennicze. O jedno może mieć pretensję do rodziców. Przez te trzy powojenne lata, kiedy on skromnie chodził na praktykę, jego koledzy siedzieli po liceach i poszli do szkół wyższych.

Kwestia szybszej orientacji.

Może nie każdy w wieku ojca był w stanie tak ogarnąć myślą zmianę Usielscy nie połapali się, że teraz jest moment dla ich dziecka. Było zaskoczenie? No było, i pogubili się w tym wszystkim. Matka, która w życiu nie miała urlopu, bo jak zaczęła nabywać uprawnień, to ją zwalniali z fabryki, a ojciec bardzo często brał pieniądze za urlop, wolał zarobić pieniądze.

To tak, ale inni byli w podobnym punkcie wyjścia, a przecież ustalili wytyczyli problem swoich dzieci.

Rzepecka mówi, że teraz młody rocznik nie zdaje sobie sprawy. Tak się łatwo zapomina, mówi Rzepecka Człowiek kiedyś szukał pracy, dlatego garnął sie i chciał drugiemu wydrzeć wiedzę. Obecni ludzie nie zabijają sie żeby wiedzieć wiecej niż musza. Aczkolwiek teraz każdy pracownik przychodzi dużo inteligentnieiszy. To bez dyskusji.

Ile pracować zanim się zrozumie, że zamiatający ulice nie jest nikim, mówi Rzepecka. Mój zięć powtarza stale o braku tokarzy, ślusarzy, elektromonterów, tkaczy, prządek. Tylko umysłowych, powiada, nie brakuje.

Ona ze swojej strony widzi jak gnie ślusarstwo, krawiectwo. Trzeba nóg uchodzić, żeby dostać coś na siebie w sklepie z konfekcji. jak się jest nietypowym człowiekiem!

Sam nie wiesz kiedy Łódź/ schwyciła cię w swą sieć/ chcesz iść, Łódź woła: wróć/ tu pracuj i tu siedź/ o najpiękniejsze z miast/ piosenkę z nami nuć/ oczarowała nas/ kochana szara Łódź.

W ich rodzinach mało pili. Bolesław Usielski obchodził się kilkoma kieliszkami. O swoim mężu Rzepecka mówi, że jak było pół litra kupione na troje imienin starczyło. Zięć też nie lubi wódki.

Jakby się na to nie patrzyło, or podejrzewa że dziś się pije więcej Według mnie są na to inne źródła? Może, może, ale on ma przed oczyma kamienicę, w której mieszkał, czynszową i jedynego tam pijaka. Również pytał ojca czy do pracy przychodzili robotnicy w stanie nietrzeźwym, czy się zdarzyło... Czasami po uroczystości, przyznawał ojciec, po czyimś ślubie, chrzcinach, ale zawsze starał się ten człowiek nadrobić swoją wydajnością.

On, Usielski na problem wódki uczulony jest szczególnie ze względów zawodowych. Wszystkie wypadki i inne negatywy przez niego idą, jak kierownika bhp. Przez 10 lat był w kolegium orzekającym, przez dwie kadencje ławnikiem, toteż i widział jaką nam zastraszającą lukę w społeczeństwie robi wódka.

Już u „Dzierżyńskiego" stary Usielski, idąc do pracy na ósmą, z domu wychodził o szóstej. To była krótka droga, jednak lubił wiedzieć, że ma czas. Na papieroska i na przemyślenie dnia. I ta sprawa imponuje Jerzemu, zarazem boli go, jako zakładowego sekretarza propagandy. Boli z niemożności porównań.

Po pierwsze, zna potrzeby kraju. Po drugie, wyniósł z domu tradycje. Czemu obserwuje się u tych nowych roczników podejście, karygodne dla niegdysiejszego robociarza?

Wtedy praca była na wagę złota, dziś praca szuka ludzi. Przechył w drugą stronę, tak mu się czasem pomyśli z irytacji...

Syn Usielskiego jest kierownikiem działu — jest nim od lat — ale nie zapomniał, że matka w sobotę zawsze szła do tkalni ze szczotką, żeby wyszorować podest. Bo tam się nie zmarnował pyłek bawełny. Na pewno nie. Takie były wymogi. Przeszedł majster, czy określony dyrektor, przeszedł się z ręką na plecach, o tak, tylko spojrzał... Dzisiaj nie można nawet wymagać. Na wykładzie bhp zapędził się, dał im przykład z tą szczotką sobotnią, to był śmiech na sali.

Rzepecką razi buta dzisiejszego pokolenia, ten łapczywy pośpiech... chociaż my nie bez winy. Młody człowiek przychodząc do pracy chce się spotkać z samodzielnością a tu mu się narzuca dalszy tryb wychowywania... Egzekwować, i dobrze, ale nie narzucać. Rozchodzi się o postępowanie nierygorystyczne. Zawsze bardzo chodzi o podejście.

Rzepecka i Usielski mają trochę odmienny stosunek do zakładu. Dla niej „Eskimo" to oparcie w ludziach. Życie intensywne i pożyteczne.

Dla niego — o, tu sprawa bardziej jest złożona. Czasem zdarzy się ponarzekać, że można było zajść dalej ale miejsce zdobyte przecież cieszy. Nie przepuściło się życia, coś się sobą przedstawia.

Usielski nigdy nawet nie pomyślał, żeby stąd odejść. Nieprawdopodobne. Dla niego nie. Raczej trudne do ujęcia w słowa, jak czuje człowiek od pierwszej dojrzałości związany z fabryką. Zakłady Przemysłu Bawełnianego imienia Feliksa Dzierżyńskiego: to znaczy Usielski, uczeń w warsztacie mechanicznym. Potem Usielski ślusarz-tokarz. Potem na tkalni podchodzenie do tytułu mistrza. I już 25-letni staż partyjny.

Krytykuje, krzywo patrzy na rozmaite awaryjne, lekkim, za lekkim myśleniem prowokowane sytuacje w produkcji, ale jemu wolno. On jest stąd. Każdy chce mieć dobre porządki w swoim domu.

Dzisiaj robotnik strachu nie zna. To jest wiele. Robotnik słusznie czuje się niezastąpiony, ale jeszcze rozchodzi się, żeby fabrykę traktował po obywatelsku. Kwestia nawyków, przykładu. Z tym zagadnieniem trochę jest jak z rozwodami młodzieży, o których opowiadała Rzepecka. Jeśli tkacz potrafi zarobić ponad 5 tysięcy miesięcznie, to on za kawalera nie oddaje rodzicom, tylko ma dla siebie. Jest tak? Potem żeni się i żona od razu mu zabiera. Nie każdy umie się dostosować do tego wspólnego dobra i wtedy przychodzi kryzys.

Nie musi tak być. Jeśli nawet teściowa Rzepecka, która oczy ma dobre, przyznaje, że zięć do pozazdroszczenia...

Usielscy w trójkę, nie licząc kundla Kruszyny, mieszkają w trzypokojowym, 51 m kw. Mebli mają w miare, im metraż wystarcza.

Wnuczkę przez lata wychowywali rodzice Usielskiego. I tak było to dziecko w szczęśliwym położeniu bo za Rzepeckiej czasów, dzieciaki wypuszczano na podwórko z kluczem na szyi, klucz jak medalik na sznurku, żeby sie nie zgubił. A dziewuszka tyle że jeździła tramwajami od rodziców do dziadków i z powrotem. Cóż robić. No, natomiast w lecie pełne trzy miesiące na powietrzu, pobliska miejscowość Poddębina względnie Tuszyn-Las. Osiągalne tym systemem, że miesiąc z dziadkami Usielskimi, drugi z babcią Rzepecką, trzeci przy rodzicach. I zapas zdrowia na rok gotów.

Jak dotad na rodzinę Rzepeckich i Usielskich jeden ze studiami. Ten brat Jerzego, który miał być księgowym, a w ludowej poszedł na politechnikę.

Jerzy Usielski od dwu lat ma swoja studentkę, córkę. Wybrała specyficzny odcinek, informuje ojciec. Kulturoznawstwo. Egzaminy pomyślne, a tam było na 25 miejsc 195 chętnych. Jakaś przyszłość to powinno mieć, jeżeli w tym roku na 25 miejsc czekało 224.

Pięknie się uczy, mówi ojciec studentki. Pracowita.

Najmłodsza Usielska potrafi zrezygnować z niedzieli dla książek — w swoim pokoju trzyma książki na regale — i to sie rodzinie podoba, to wróży na przyszłość.

Kierownik Usielski w 23 lata po uzyskaniu prawa jazdy kupił „Skode".

Przez cztery i pół roku 32 tysiące kilometrów na liczniku. Rezultat weekendów nad Wartę. Warta, to jest najbliższy możliwy kawałek wody dla łodzianina. A na wczasy zabierał rodzinkę do Świnoujścia, jechali sześć godzin, na prom czekali cztery... Brydża lubi, w brydżu niezły podobno jest. Na urlopie — wędka.

Jakiś urlop zaległy, to on ma zawsze. Nie jest w stanie wykorzystać urlopu.

ANNA STROŃSKA

III nagroda w Konkursie zorganizowanym z okazji 150-lecia Zakładów im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi.

DLA KRAJU I NA EKSPORT

Z dyrektorem Widzewskich Zakładów Maszyn Włókienniczych Polmatex-Wifama mgr inż. WIESŁAWEM BRZOZOWSKIM rozmawia Włodzimierz Stokowski

— Panie Dyrektorze, byłem u Pana już kilkakrotnie i nie zauważyłem, żeby miał Pan biurko zawalone przysłowiową stertą papierów. Odnoszę wrażenie, że preferuje Pan styl, jeśli można tak powiedzieć, płynnego zarządzania fabryką.

— Istotnie, staram się wykonywać moje dyrektorskie czynności w sposób ciągły, dążę do tego, żeby sprawy nie czekały na mnie. Uprzedzam je. Problemy trzeba rozwiązywać już wtedy, gdy ich kształt ledwie się rysuje. Na bieżąco.

— A więc przewidywanie?

— I permanentne doskonalenie organizacji. Bez sprawnej organizacji nie ma dobrej pracy.

— Mówiono mi tutaj, że więcej czasu spędza Pan w halach produkcyjnych, niż przy biurku.

— To prawda. Produkcja lubi, żeby być blisko niej. Odczuwam wewnętrzną potrzebę takiej więzi, jest to coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego. Oddziaływujemy na siebie wzajemnie, i tak powinno być.

— Widzę, że ma Pan szeroko rozbudowany system łączności wewnątrzzakładowej.

— Wychodzę z założenia, że żywe słowo znaczy więcej niż papier, choć, oczywiście i papier jest potrzebny.

— Po ustaleniu pańskiej „dyrektorskiej tożsamości" chciałbym Panu zadań kilka pytań dotyczących działalności zakładów. W ubiegłym roku Wifama obchodziła swoje 50-lecie. Jak doszło do tego, że z małej fabryczki Wifama urosła do roli wielkiego producenta maszyn włókienniczych?

— Dzieje fabryki sięgają 1926 roku, kiedy to z Widzewskiej Manufaktury wydzielono wydziały mechaniczne, które odtąd stały się już samodzielnym Zakładem Mechanicznym. Miał on uniezależnić Widzewską Manufakturę od dostawców maszyn i artykułów technicznych. Jak na owe czasy był to duży zakład, zatrudniający około 2.000 pracowników. Produkował przede wszystkim maszyny przędzalnicze: obrączniarki, skręcarki, przewijarki, zdwajarki, a także części zamienne do nich. Samodzielną działalność produkcyjną po wojnie rozpoczął zakład w 1946 roku w warunkach wyjątkowo trudnych: zdewastowane obiekty, rozkradziony przez okupanta park maszynowy, zniszczone urządzenia. Priorytetowym zadaniem dla 160-osobowej załogi było wówczas jak najszybsze wyposażenie zakładu w niezbędne maszyny i urządzenia, i rozpoczęcie produkcji. W 1947 fabryka przystąpiła do produkcji maszyn przędzalniczych a w 1953 roku do produkcji przędzarek do bawełny i krosien do jedwabiu. W końcu lat 50 zakupiono pierwszą licencję na produkcję krosien. Licencjodawcą była znana na całym świecie z wysokiego poziomu technicznego swoich wyrobów szwajcarska firma Sauer. Od tej chwili rozpoczął się nasz pościg za czołówką światowych producentów maszyn włókienniczych.

— A lata 60 przyniosły już, o ile się nie mylę, znaczny wzrost potencjału produkcyjnego fabryki?

— Tak, dzięki połączeniu Widzewskiej Fabryki Maszyn Włókienniczych z Łódzkimi Zakładami Maszyn Włókienniczych w jedno przedsiębiorstwo — Widzewskie Zakłady Maszyn Włókienniczych — Wifama. Po wyeliminowaniu asortymentów występujących jednorazowo i nie reprezentujących wysokich walorów technicznych, profil produkcyjny Wifamy ukierunkowano na maszyny przędzące do bawełny i wełny oraz tkackie — krosna czółenkowe. Coraz lepsza jakość i nowoczesność wyrobów Wifamy umożliwiły wyjście z nimi na rynki zagraniczne, poczynając od roku 1963.

Pierwsze lata bieżącego dziesięciolecia to wejście Wifamy w okres dynamicznego rozwoju potencjału wytwórczego oraz początek rewolucji technicznej fabryki; unowocześniania wyrobów, technologii i metod wytwarzania. Aktualnie Wifama jest jednym z dwóch największych w kraju producentów maszyn włókienniczych. Naszą podstawową produkcją są maszyny tkackie i przędzalnicze, znane i cenione zarówno w krajowym przemyśle włókiennczym jak i poza granicami Polski.

— Jakie to są maszyny?

— Między innymi: automatyczne krosna czółenkowe 100W, obejmujące wiele typoodmian maszyny do produkcji tkanin jedno- i wielokolorowych z różnego rodzaju przędz wełnianych, bawełnianych i jedwabnych, krosna bezczółenkowe wykonywane w oparciu o licencję francuskiej firmy SACM — maszyny o światowym standardzie, przędzarki obrączkowe o wysokim stopniu automatyzacji procesów przędzenia z różnego rodzaju włókien, przędzarki bezwrzecionowe oparte na zasadzie pneumatycznej i pneumomechanicznej. Te ostatnie to maszyny, które zrewolucjonizują przędzalnictwo krajowe i zagraniczne.

— A zatem określenie Wifamy mianem wielkiego producenta i eksportera maszyn włókienniczych jest w pełni uzasadnione.

— Najzupełniej. Plonem dotychczasowej działalności wytwórczej Wifamy jest ponad 5 tysięcy maszyn przędzalniczych oraz ponad 22 tysiące krosien. Unowocześniły one proces technologiczny nie tylko krajowego przemysłu włókienniczego, lecz także przemysłu włókienniczego w 26 krajach świata.

— Długoletnia działalność produkcyjna, poparta renomą znanego eksportera, stworzyła Wifamie podstawy do rozbudowy zakładów. Czy zechciałby Pan powiedzieć, co się buduje i jak się realizuje te inwestycje?

— W okres dynamicznego rozwoju inwestycyjno-modernizacyjnego Wifama weszła w 1973 roku. Rozpoczęliśmy wtedy największe w historii zakładów inwestycje o łącznej wartości ponad 2 i pół miliarda złotych. W połowie ubiegłego roku oddaliśmy do eksploatacji pierwszą z nich — halę krosien przeznaczoną do produkcji nowoczesnych, licencyjnych krosien bezczółenkowych „polski MAV". Do dziś wyprodukowaliśmy już ponad 500 tych krosien. Aktualnie rozpoczynamy eksploatację drugiej inwestycji: nowego zakładu odlewniczego. Jest to odlewnia wyposażona w najnowocześniejsze maszyny i urządzenia, m. in. indukcyjne piece do wytopu żeliwa, automatyczne linie formierskie i urządzenia do przerobu mas. Funkcjonowanie nowej odlewni, dzięki zastosowaniu nowoczesnych rozwiązań technicznych, w najmniejszym stopniu nie zakłóci naturalnych warunków środowiska biologicznego. Wielkość produkcji nowego zakładu odlewniczego, po 15 miesiącach dochodzenia do planowanych zdolności produkcyjnych, pokryje nie tylko zapotrzebowanie Wifamy na odlewy, lecz także potrzeby całej branży.

Trzecią nową inwestycją Wifamy jest budowa zakładu przędzarek. Przekazanie tej inwestycji do eksploatacji nastąpi w końcu III kwartału 1978 roku. Pragnąc przyspieszyć uruchomienie produkcji w nowym zakładzie już podejmujemy działania do sukcesywnego, etapowego przejmowania poszczególnych obiektów tego zakładu.

— Jak Wifama realizuje swoje bieżące zadania producenta i eksportera krosien i przędzarek? Czy perspektywa zbytu produkcji zapewnia zakładom pełne wykorzystanie zdolności produkcyjnych coraz to nowych obiektów fabryki?

— Równoległa realizacja ogromnych zadań inwestycyjnych oraz bieżących, dynamicznie rosnących zadań produkcyjnych i eksportowych wymaga bardzo precyzyjnego działania oraz pełnego zaangażowania całej załogi Wifamy. Główne utrudnienia w bieżącej realizacji zadań, to dokonywane podczas ruchu zakładu przemieszczenia zarówno setek maszyn, jak i całych oddziałów i wydziałów produkcyjnych. Mimo tych utrudnień, właśnie od roku 1974 notujemy wyjątkową, nie osiąganą w całej historii zakładu, dynamikę w wykonywaniu zadań. I tak np. od 1973 roku średnioroczne tempo wzrostu sprzedaży wyrobów i usług kształtuje się na poziomie znacznie powyżej 20 procent. W eksporcie poziom ten jest jeszcze wyższy i wynosi 38 procent. W ostatnich dwóch latach osiągnęliśmy również bardzo wysokie tempo wzrostu w produkcji części zamiennych. Tę tendencję wzrostu będziemy się starali utrzymać przez całą bieżącą pięciolatkę. W konsekwencji przewidujemy w 1980 roku ponad 2,5-krotny wzrost sprzedaży i 2,5-krotny wzrost eksportu w stosunku do ostatniego roku poprzedniej pięciolatki. Osiąganie takich wyników, ogólnie rzecz biorąc, zabezpieczy właśnie wzrost zdolności produkcyjnych zakładu, osiągnięty dzięki dokonanym inwestycjom. Ze zbytem maszyn produkowanych w Wifamie, dzięki ich wysokim walorom technicznym, nie mamy w kraju żadnych problemów.

— A za granicą?

— Tak samo. Mamy szerokie perspektywy zbytu naszej produkcji zarówno na rynkach krajów socjalistycznych jak i zachodnich. Głównym odbiorcą naszych maszyn wśród krajów RWPG jest Związek Radziecki, z którym wiążą nas wieloletnie, rosnące wciąż umowy handlowe. W roku bieżącym kierujemy do ZSRR aż 91,5 proc. eksportu przeznaczonego na rynki RWPG. W celu zabezpieczenia zbytu — aktualnie najnowocześniejszych naszych maszyn: krosien bezczółenkowych MAV i przędzarek bezwrzecionowych PF i PW — do krajów socjalistycznych, robimy obecnie starania, aby uzyskać na nie specjalizację w ramach RWPG. Sporo problemów natomiast stwarza nam obecnie eksport do krajów kapitalistycznych. Przedłużający się kryzys gospodarczy na Zachodzie powoduje w tych krajach zahamowanie inwestycji i znalezienie w tej sytuacji nabywców na nasze wyroby jest sprawą bardzo trudną. Dążąc do przezwyciężenia tych trudności podejmujemy nową, bardziej ofensywną politykę eksportu.

Nie rezygnujemy, naturalnie, z rynków krajów wysoko uprzemysłowionych. Takim krajom jak USA, RFN, Anglia czy Włochy oferujemy, jako asortyment przyszłościowy, nasze najnowsze konstrukcje, na przykład przędzarki bezwrzecionowe PF. Już w br. wysyłamy do tych krajów nasze PF-ki na tzw. prace próbne. Mam nadzieję, iż wszystkie nasze działania przyniosą spodziewane kontrakty korzystne dla zakładu i dla kraju.

— Wifama nowoczesnością swojej produkcji nadąża za postępem światowym w tej dziedzinie. Co jest źródłem tych osiągnięć zakładu?

— Jak już wspomniałem, wejście Wifamy w okres dynamicznego rozwoju technicznego nastąpiło na początku lat 70. Wówczas to stworzyliśmy bazę dla bieżącego i perspektywicznego rozwoju naszego zakładu. Kierunek tych działań, przyjęty przez nas w owym okresie, określę lapidarnie: wszystko dla nowoczesności. Nowoczesność Wifamy to przede wszystkim nowoczesność konstrukcji, nowoczesność metod wytwarzania i wreszcie stały postęp w jakości produkcji i pracy.

Źródłem naszych dzisiejszych sukcesów w tej dziedzinie był, m. in. rozwój zaplecza technicznego Wifamy oraz powołanie własnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego WIFAMATEX. Zabezpieczaliśmy i nadal zabezpieczamy, naszemu zapleczu technicznemu stałe uzupełnianie nowoczesnego sprzętu badawczego, dopływ kadry wysokiej klasy specjalistów, stałą współpracę naukowców Politechniki Łódzkiej oraz instytutuów naukowych MPL w zakresie rozwoju maszyn włókienniczych, technologii i metod wytwarzania. Nawiązaliśmy także współpracę z zagranicą w dziedzinie wymiany myśli technicznej, podjęliśmy szereg działań w celu doskonalenia jakości produkcji i usług zakładów. W poprzednim konkursie Do-Ro Wifama zdobyła drugie, a w ostatnim konkursie — trzecie miejsce. Rozwinęliśmy zakładowy ruch racjonalizatorski i wynalazczy, mając na celu dalsze ulepszanie naszych konstrukcji i stosowanych technik wytwarzania. Zabezpieczyliśmy także szybkie wdrażanie do produkcji nowości technicznych, wytworów zarówno własnej myśli racjonalizatorskiej, jak i światowych tendencji technicznych.

Mamy ambicje, aby nasza produkcja swoją nowoczesnością i jakością skutecznie konkurowała z wyrobami czołowych światowych producentów maszyn włókienniczych. Dlatego też kierunek: nowoczesność — będzie stale priorytetowy w rozwoju naszych zakładów. Światowa wystawa ITMA-75 w Mediolanie, na której prezentowaliśmy przędzarki PF-PW, PH-6 i PJ-35 potwierdziła iż trafnie ukierunkowaliśmy rozwój asortymentowy produkcji Wifamy, zbieżnie z takimi renomowanymi firmami zagranicznymi jak Platt czy Rütter. Co więcej, z satysfakcją mogę podkreślić, że nawet wyprzedzamy je nowoczesnością myśli technicznej polskiego konstruktora. Mam tu na myśli, na przykład, maszyny do przędzenia bezwrzecionowego w oparciu o metodę wiru stacjonarnego.

— Panie Dyrektorze, czy za rozwojem inwestycyjnym i technicznym nadąży postęp organizacyjny zakładów?

— Rozbudowa zakładów, unowocześnianie konstrukcji, technologii i metod wytwarzania oraz dynamiczny wzrost produkcji wymagają od nas, oczywiście, ciągłego doskonalenia istniejącej organizacji, stałego wprowadzania zmian i usuwania powstających dysproporcji między poziomem techniki i gospodarki przedsiębiorstwa a jego organizacją. Doskonalenie organizacji prowadzimy w bieżącej pięciolatce wielokierunkowo, z położeniem szczególnego akcentu oraz koncentracji sił na takich m. in. problemach, jak komputeryzacja procesów ekonomicznych i produkcyjnych, organizacja gospodarek pomocniczych w zakładzie, organizacja pracy i metod wytwarzania, dalszy rozwój struktur organizacyjnych Wifamy i in.

Dostosowanie strukturalnego modelu organizacji przedsiębiorstwa do dynamicznego rozwoju Wifamy jest dla nas pilną koniecznością. M. in., z uwagi na wielopłaszczyznowość postępu organizacyjnego, nawiązaliśmy ścisłą współpracę z wyspecjalizowanymi placówkami naukowymi i badawczymi, takimi jak: Instytut Organizacji Przemysłu Maszynowego, ZETO, Politechnika, Uniwersytet.

— Szeroki asortyment i wysoki poziom jakości produkcji warunkują: wykształcona kadra techniczna i wyspecjalizowana, świadoma swoich celów rzetelnie pracująca załoga. Jak kierownictwo zakładu zapewnia te podstawowe elementy dobrej roboty?

— Z przeświadczenia o doniosłości spraw człowieka oraz roli funkcji pozaprodukcyjnych przedsiębiorstwa zrodziło się w Wifamie nowe jakościowo, perspektywiczne spojrzenie na czynnik ludzki w procesie pracy, widzenia problemów produkcji przez pryzmat człowieka i jego potrzeb. Wyrazem tego są przyjęte i stosowane założenia gospodarki kadrowej i polityki personalnej, która podlega stałemu doskonaleniu, odpowiednio do zmian zachodzących w zakładzie. W toku dalszej racjonalizacji i intensyfikacji pracy w przedsiębiorstwie za najważniejsze zadania na najbliższe lata uznaliśmy wypracowywanie coraz lepszych form i metod adaptacji społeczno-zawodowej pracowników oraz stałe zmniejszanie wskaźników fluktuacji załogi, wzmocnienie dyscypliny pracy i lepsze wykorzystywanie nominalnego czasu pracy, doskonalenie szkolenia zawodowego i podnoszenie kwalifikacji załogi, tworzenie coraz lepszych warunków pracy i wypoczynku, dalszy rozwój usług i świadczeń socjalnych i szereg innych. Preferujemy ludzi o wysokich kwalifikacjach zawodowych i morale pracowniczym, ludzi prezentujących nowoczesny sposób myślenia i zaangażowanych w problemy przedsiębiorstwa.

— Kwestią nie mniej istotną jest tworzenie rezerw wykwalifikowanych pracowników i przygotowywanie kadr odpowiadających technicznemu i ekonomicznemu postępowi w zakładzie.

— Oczywiście. I dlatego wiele troski i starań poświęcamy dalszemu rozwojowi naszej bazy szkoleniowej. Istniejący przy zakładach Zespół Szkół Technicznych będzie przekształcony w nowocześnie wyposażone i zorganizowane centrum kształcenia i doskonalenia zawodowego, obejmujące obok różnego typu szkół, także ewentualnie punkty konsultacyjne Politechniki Łódzkiej oraz szeroko zakrojone szkolenie wewnątrzzakładowe. Takie sterowanie polityką kształcenia zapewni dokonywanie szybkich zmian kwalifikacji pracowników, stosownie do aktualnych potrzeb zakładu. Szczególną uwagę zwracamy na doskonalenie dozoru mistrzowskiego i pozostałej kadry kierowniczej. Dziś i jutro Wifamy wymaga od kierowników wszystkich szczebli wyjątkowej fachowości, a jednocześnie znajomości problemów psychosocjologicznych i ekonomicznych, nieodzownej w pracy z ludźmi.

— Panie Dyrektorze, jak zakłady zabezpieczają swoim pracownikom polepszenie warunków pracy i odpoczynku?

— Tak istotnej sprawy, jak dalsza poprawa warunków pracy i bhp oraz warunków socjalno-bytowych nie tracimy z pola widzenia. Nowe inwestycje realizujemy już z myślą stworzenia robotnikom optymalnie dobrych warunków pracy. Natomiast w starych obiektach, dzięki przemieszczaniu oddziałów i wydziałów produkcyjnych na nowe powierzchnie, powstaną możliwości dokonania dalszego znacznego polepszenia już dziś względnie dobrych warunków pracy. W procesie rozwojowym zakładów dostrzegamy także konieczność dalszej rozbudowy bazy socjalno-bytowej: wypoczynkowej, rekreacyjnej i kulturalnej oraz rozwoju żywienia zbiorowego, profilaktyki i lecznictwa zakładowego. Poza tradycyjnymi formami wypoczynku i rekreacji będziemy wprowadzać na większą skalę niż dotychczas bezdewizową wymianę turystyczną z krajami socjalistycznymi, np. z NRD, Bułgarią. Tworzymy możliwości naszym pracownikom i ich rodzinom sobotnio-niedzielnego wypoczynku, organizując wspólnie z innymi zakładami branży ośrodki rekreacji w Kamionie nad Wartą i w Łącku w woj. płockim. Ponadto w najbliższym czasie przeprowadzimy generalną modernizację własnego ośrodka w Wąsoszy, robimy także starania w sprawie budowy nowego ośrodka wczasowego w Rowach nad morzem.

W samym zakładzie realizujemy budowę dużej, nowoczesnej stołówki dla pracowników i ich rodzin oraz rozwijamy sieć pokojów śniadaniowych. Rozszerzamy również sprzedaż posiłków porcjowanych dowożonych do stanowisk roboczych. Jesteśmy w trakcie uzyskiwania nowych powierzchnia dla rozwijającego się Przyzakładowego Ośrodka Zdrowia.

— Jak kształtuje się współpraca z organizacjami społeczno-politycznymi?

— Proces unowocześniania zakładów to rozwój nie tylko techniki i gospodarki, ale przede wszystkim rozwój społeczności wifamowców. Realizacja ambitnych celów Wifamy jest uzależniona od postaw całej załogi: jej uświadomienia politycznego, aktywnego zaangażowania, jakości i wydajności jej pracy, twórczego włączenia się w proces rozwojowy zakładów. Dlatego jednym z naszych priorytetowych zadań jest aktywne kształtowanie socjalistycznej świadomości pracowniczej. W tej dziedzinie rozwijamy i zacieśniamy współpracę z Zakładową Organizacją Partyjną, Związkową Radą Przedsiębiorstwa i Zakładową Organizacją ZSMP. Tworzymy także coraz lepsze warunki dla rozwoju demokratycznej samorządności załogi, jej udziału we współgospodarowaniu przedsiębiorstwem. Rozwijamy więc i umacniamy rolę przedstawicielskiego organu załogi Wifamy — Konferencji Samorządu Robotniczego. Bieżąca pięciolatka stawia przed Wifamą poważne i ambitne zadania i dla ich wykonania niezbędna jest pełna integracja i mobilizacja załogi oraz ścisłe współdziałanie wszystkich ogniw i komórek wykonawczych oraz organizacji polityczno-społecznych.

— Nie wspomniał Pan dotąd, że Wifama została niedawno odznaczona Orderem Sztandaru Pracy II klasy. Jak załoga przyjęła to wyróżnienie?

— Z ogromną radością i satysfakcją, traktując ten zaszczyt jako dowód uznania ze strony władz partyjnych i rządowych za dotychczasowy wkład pracy załogi Wifamy we wspólne dzieło naszego narodu — budowę socjalistycznej Polski. W liście skierowanym do I Sekretarza KC PZPR, tow. Edwarda Gierka, zawierającym serdeczne podziękowanie, powiadomiliśmy I Sekretarza, że z inicjatywy ponad 800-osobowej Zakładowej Organizacji Partyjnej, załoga zobowiązała się wykonać w br. ponadplanową produkcję o wartości 20 milionów złotych. Jestem przekonany, że to zaszczytne wyróżnienie Wifamy pobudzi załogę do jeszcze lepszej i wydajniejszej pracy w przyszłości.

Dalszy ciąg ze str. 1

JERZY WILMAŃSKI

„WIOSNA" JULIANA TUWIMA

Dalej już było w tym samym duchu — ton gazetowych protestów brzmi jednakowo i dla dzisiejszego czytelnika — nieco zabawnie. Oto próbka stylu **„Gońca Porannego"**: **„dytyramb o wiośnie jest dytyrambem na cześć rui i poróbstwa (...) ze ścieku pornograficznych wyrażeń, z wyuzdanych, pełnych lubieżności i sadyzmu obrazów (...) zdegenerowany p. Tuwim odsłaniający w najwyuzdańszych wyrazach ohydę brudów miasta i roztaczający woń miejskiej kloaki, oddziaływa na młode dusze jak najzjadliwsza trucizna...".** Taki był wówczas styl „Gońca Porannego", któremu później Tuwim przypiął inną nazwę „Podogoniec" Poranny", nazwę wielce popularną w owych latach.

Za wiersz **„Wiosna"** atakowały Tuwima również wszystkie pisma humorystyczne. Tylko **„Sowizdrzał"** redagowany przez **Władysława Nawrockiego**, jednego z najwybitniejszych wydawców i redaktorów ówczesnych lat — wziął Tuwima w obronę wykpiwając ową prasową nagonkę na młodzieńczy wiersz.

Autorem polemiki „Wiele hałasu o nic" był ni mniej ni więcej tylko sam redaktor **„Sowizdrzała"**. Podczas gdy ówczesne pisma humorystyczne: **„Mucha"** czy **„Polski Tygodnik Humorystyczny"** atakowały poetę — Nawrocki pisał:

„Narodzie! Rozedrzyj szaty
I posyp popiołem głowy!
Tak wszech oburza żakały
W „Pro Arte" wiersz Tuwimowy (...)
Że się Tuwim nie do armii
Pcha, na szczyt Parnasu jeno —
„Gońca" to goryczą karmi,
Przeto mu złorzeczy z weną
„Kurier Polski" od krytyki
Rozpoczyna — to go boli.
Wziął w „Pro Arte" „Głuszec" wnyki
Przeto sobie dziś pozwoli (...)".

Dziś są to aluzje dość niejasne. Rzecz jednak wyglądała tak, że w 10 numerze **„Pro Arte et Studio"** znalazła się również notatka na temat komedii Stefana Krzywoszewskiego, który był dostawcą popularnego repertuaru dla warszawskich teatrów, jak np. „Edukacja Bronki", „Aktorka" czy „Diabeł i karczmareczka".

Studenckie pismo krytykowało Krzywoszewskiego takimi słowy: **„Wolno popełniać lekkie komedie, w których brak sensu walczy o lepsze z monotonią i dłużyzną akcji... Nie wolno jednak najpierwszego w Polsce teatru kompromitować repertuarem takich sztuk przeważnie i demorealizować w głupich, bezkrwistych rolach najlepszych polskich aktorów".**

Trzeba przyznać, że mocno to zostało powiedziane. A przecież Stefan Krzywoszewski to był właśnie ów „Głuszec" z „Kuriera Polskiego".

Więc Władysław Nawrocki pisze dalej o „Głuszcu":

„Stylistykę im wytyka...
„To adepci są dopiero"
Bolesnego dali prztyka
Jakże złość ma nie być szczera
„Oni piszą wiersze jurne,
Podczas gdy ja tylko... klepię
O! to dla mnie jest zbyt chmurne
O! ja tego nie prześlepię!
Kropnę donos do senatu
Aby wydał nakaz z góry...
Toż być przecież czynnym ma tu
Profesor literatury..."
Chcesz geniuszem być Tuwimie?
Poradzę ci doskonale:
Sprawozdania pisz olbrzymie
O pana Głuszcowej chwale..."

Aby owe aluzje Nawrockiego stały się zrozumialsze, zacytujmy fragment artykuliku „Młodzieńcze swawole", opublikowany w „Kurierze Polskim". Oto, co pisał organ Stefana Krzywoszewskiego:

„Od jakiegoś czasu daje się zauważyć zwrot ku zupełnemu zanikowi uczuć estetycznych i moralnych. W dziesiątym zeszycie („Pro Arte et Studio") znajdujemy wierszyki pt. „Wiosna" i „Chrystus miasta" (...) świadczące o braku wszelkiej orientacji artystycznej. Byłoby pożądane, by senat akademicki wejrzał w tę sprawę i pomógł młodzieży naszej w jej dążeniach literackich. Profesor literatury powinien być w ostatecznej instancji odpowiedzialnym kierownikiem czasopisma młodzieży akademickiej. Po cóż bowiem ma padać wina na całą młodzież, gdy tylko jednostki zdradzają się ze swymi zamiłowaniami restauracyjno-kabaretowymi?".

Oczywiście polemika toczyła się także na łamach **„Pro Arte et Studio"**. Grupa akademików ogłosiła w dwunastym numerze pisma „List otwarty do Juliana Tuwima", w którym m. in. czytamy: **„Z jakichkolwiek jednak względów „Wiosnę" napisałeś, a co gorzej — wydrukowałeś — zgrzeszyłeś! — i jeżeli podejdziesz do kratek poetyckiego konfesjonału, prawdziwy kapłan Sztuki odmówi Ci rozgrzeszenia. Zgrzeszyłeś bowiem — przeciw Pięknu".**

Potem była — rzecz prosta — odpowiedź **Jana Lechonia**, który w sposób również patetyczny wołał, że **„ci, którzy nie są owieczkami religii, ale własnym słowem piszą jej nieśmiertelne prawa, którzy torują drogę dla jej jutra, kują jutro z samych siebie — ci nie potrzebują chodzić do spowiedzi...".**

Słowem — rozwinęła się wokół tego wiersza niemała awantura. Rzecz prosta, większość czytelników codziennej i humorystycznej prasy w ogóle nie wiedziała o co chodzi, nie znała inkryminowanego wiersza, nie znała twórczości młodego poety...

I dziś zresztą wiersz ten znany jest raczej jako hasło wywoławcze poetyckiego skandalu sprzed ponad pół wieku — mało kto go naprawdę pamięta.

Przypomnijmy więc fragment owej rimbaudowskiej, może nieco brutalnej, wizji miasta, powstałej w 1915 roku pod piórem dwudziestoletniego poety:

„Gromadę dziś się pochwali,
Pochwali się zbiegowisko
I miasto.
Na rynkach się stosy zapali
I buchnie wielkie ognisko,
I tłum na ulice wylegnie,
Z kątów wypełznie, z nor wybiegnie
Świętować jurne święto.
I Ciebie się pochwali
Brzuchu na biodrach szerokich
Niewiasto!
(...)
Wiosna!!! Patrz, co się dzieje! Toś jeszcze za chwilę
I rzuci się tłum cały w rui na ulicę!
Zośki z szwalni i pralni, „Ignacze", Kamile!
I poczną sobą samców częstować samice!
(...)
Wszystko — wasze! Biodrami śmigajcie, udami!
Niech idzie tan lubieżnych podnieceń!
Nie szkodzi!
— Och, sławię ja cię, tłumie, wzniosłymi słowami
I ciebie, Wiosno, za to, że się zbrodniarz płodzi!"

No i co? Jakże daleko tej wizji do brutalności obrazów literackich współczesności! Dziś — mimo wszystko — czytamy te strofy jak sielankę z pięknej epoki.

Ale nie zapomniano Tuwimowi owej młodzieńczej „Wiosny". Dziesięć lat później, wiosną 1928 roku, łódzka **„Republika"** doniosła w krótkiej notatce:

„W dniu wczorajszym odbyło się posiedzenie komisji nagród literackich m. Łodzi, w którym wzięli udział prof. Kallenbach z Akademii Umiejętności, prof. Ujejski z UW, prof. Chrzanowski z Uniwersytetu Krakowskiego, Jan Lechoń jako reprezentant Pen Clubu, Karol Irzykowski, Wacław Grubiński, red. Gumkowski oraz reprezentant samorządu — prezydent Ziemięcki, prezes rady miejskiej p. Holcgreber i senator Kopciński.

Na posiedzeniu tym postanowiono przyznać nagrodę w kwocie 10.000 zł poecie, łodzianinowi, J. Tuwimowi. Uroczyste wręczenie nagrody nastąpi w dniu 3 maja".

Tyle sucha notatka. Zanim jednak nastąpiło wręczenie, łódzki **„Rozwój"**, w dniu 3 maja 1928 roku, piórem anonimowego N.N. zapytał gromko: „Kto został laureatem nagrody literackiej m. Łodzi?".

„Nagrodę literacką m. Łodzi za rok 1928 otrzymał p. Julian Tuwim. O zasługach literackich tego poety, którego dorobek literacki jest znany szerokim kołom polskich czytelników, napiszemy na innym miejscu, tu jedynie chcemy zaznaczyć, że po zeszłorocznym odznaczeniu nagrodą dostojnego pisarza Aleksandra Niemojewskiego, obecny wybór zakrawa na gruby a niewłaściwy żart. Jak twierdzi „Gazeta Warszawska" przyczynił się do takiego rozstrzygnięcia przedstawiciel rządu, wizytator szkół łódzkich, p. Czapczyński, który swym głosem przeważył szalę na korzyść p. Tuwima, skutkiem czego przepadł kontrkandydat do nagrody, Wacław Berent.

Jak zapewne czytelnicy przypominają sobie, p. Czapczyński był gorącym obrońcą systemu wychowania w gimnazjum E. Orzeszkowej, która to uczelnia stanowiła etap dla szeregu bolszewiczek w drodze z ławy szkolnej do kryminału. Pan Czapczyński, gorący przyjaciel mniejszości, wybrał na laureata starozakonnego młodego poetę, małowartościowych, a często pornograficznych utworów kabaretowych.

Tu nawiasem trzeba dodać, że poprzedniego dnia przed nadaniem p. Tuwimowi nagrody, p. Wizytator Czapczyński był obecny na wieczorze poetyckim p. Tuwima, po czym spędził z nim parę miłych chwil.

Po ukazaniu się wiadomości o przyznaniu nagrody p. Tuwimowi, warszawski sensacyjno-pornograficzny „Czerwony Kurier" zrobił z p. Tuwimem wywiad, w którym p. Tuwim między innymi powiedział: „Ani nawet nie przypuszczałem, że moje kochane miasto rodzinne przeznaczy mi nagrodę. Akurat byłem w Łodzi. Miałem w sobotę swój wieczór poetycki w gimnazjum łódzkim, na zaproszenie tutejszych uczniów. Właśnie to samo gimnazjum skończyłem 14 lat temu...".

To powiedział p. Tuwim. Pominąwszy milczeniem ten dziwny zbieg okoliczności, że p. Tuwim, który jakoś dotychczas nie urządzał w łódzkich gimnazjach wieczorów poetyckich, raptem niespodziewanie wyprawił taką ucztę duchową dla uczniów jednej uczelni łódzkiej, natomiast chcemy uzupełnić niedomówienie p. Tuwima i sprostować pewną nieścisłość.

Otóż p. Tuwim ubiegłej soboty miał swój wieczór poetycki w gimnazjum im. Piłsudskiego. W rzeczywistości p. Tuwim kończył przed 14 laty tę uczelnię, jeśli gmach szkolny ma reprezentować wewnętrzną treść. Bo p. Tuwim skończył RZĄDOWE GIMNAZJUM ROSYJSKIE, był tzw. w potocznej mowie ŁAMISTRAJKIEM, któremu młodzież ze szkół polskich nie podawała ręki, a obecnie jest w tym gmachu RZĄDOWE GIMNAZJUM POLSKIE.

A jak w dalszym ciągu postępował ten polski narodowy wieszcz, obdarzony nagrodą literacką m. Łodzi? Czytamy o nim w „Myśli Niepodległej" z dnia 1 lipca 1922 roku.

„Kiedy „lada chłystek z rodzinnym klejnotem" wraz z bratnią młodzieżą robotniczą i włościańską przygotowywał się do walki z najazdem niemieckim, kiedy na ulicach Warszawy i Łodzi rozlegały się pierwsze strzały niby pierwszy podmuch wiosny, szła ku nam wielkim krokiem niepodległość, cóż miał do powiedzenia młodzieży polskiej p. Julian Tuwim, łamistrajk w przyłbicy Mickiewiczów i Słowackich i jakie to bogactwo składał u stóp zmartwychwstającej Polski.

Tak istotnie. Pan Tuwim opiewał po swojemu „Wiosnę":

„Na ławce psiekrwie, na trawce,
Naróbcie Polsce bachorów,
Wijcie się, psiekrwie, wijcie,
W szynkach narożnych pijcie,
A!! będą później ze wstydu się wiły
Dziewki fabryczne, brzuchate kobyły..."

Walczyli za swój kraj Niemcy, skrwawiła się młódź rosyjska, polskie dziewczęta i chłopcy nieletni ginęli, a Julian Tuwim tak sobie „na ławce i na trawce" składał Polsce swe „kosztowne bogactwo".

Risum teneatis amici — Wstrzymajcie śmiech przyjaciele — kończy „Myśl Niepodległa".

Jakież lepsze zakończenie można dać i teraz po otrzymaniu wiadomości, że nagrodę literacką m. Łodzi przyznano Julianowi Tuwimowi, autorowi wiersza pt. „Wiosna".

N.N."

Tekst powyższy, typowy dla ówczesnego tonu i argumentacji prasy, właściwie nie wymagałby żadnego komentarza.

Mógłby tylko zastanawiać fakt, że wszechmocny wizytator Czapczyński wcale nie jest wymieniany w informacji **„Republiki"** jako członek komisji nagród. Ale tu sprawa była bardziej złożona.

A epitet łamistrajka z roku 1905? Julian Tuwim miał wówczas... jedenaście lat. Zarzut był więc niepoważny i głupi, ale przecież nie o to chodziło.

Podobnie jak w skandalu z „Wiosną" sprzed lat dziesięciu czytelnik **„Rozwoju"** nie liczył Tuwimowi lat, nie znał jego wierszy, nie znał prawdy o roku 1905, w ogóle zresztą nie analizował publikacji **„Rozwoju"**. Po prostu przyjmował do wiadomości, że oto jego miasto nagrodziło deprawatora młodzieży, autora pornograficznych wierszy.

Nie ufając zbytnio informacjom **„Rozwoju"**, sięgnąłem do akt Wydziału Oświaty i Kultury Rady Miejskiej z roku 1928. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachowała się teczka z napisem **„Nagroda Literacka m. Łodzi"**. Okazało się, że **„Rozwój"** wiedział, że dzwonią, ale nie wiedział w jakim kościele. Tadeusz Czapczyński istotnie zadecydował o tym, że Tuwim otrzymał nagrodę, ale stało się to w sposób zupełnie nieoczekiwany dla samego wizytatora, a właściwie naczelnika, bo Czapczyński pełnił tę funkcję w Kuratorium.

Oto, jak wyglądała sprawa. Dnia 22 lutego 1928 roku kurator Okręgu Szkolnego Łódzkiego, dr **Antoni Ryniewicz**, informuje specjalnym pismem Komitet Nagród, że funkcję delegata Kuratorium pełnić będzie osobiście. O Czapczyńskim w ogóle nie było mowy i dopiero zadecydował przypadek...

Na pięć dni przed posiedzeniem Komitetu dr Ryniewicz wysyła pismo tej treści: **„donoszę z przykrością, że sprawy rodzinne zmuszają mnie do wyjazdu do Lwowa — gdybym nie wrócił na 29.IV delegatem Kuratorium będzie Tadeusz Czapczyński naczelnik Wydziału".**

Tak więc w dniu 29 kwietnia lista obecnych na posiedzeniu Komitetu Nagród m. Łodzi wyglądała następująco: **prof. Ignacy Chrzanowski, Tadeusz Czapczyński, prof. Tadeusz Grabowski, Wacław Grubiński, Czesław Gumkowski, Jan Holcgreber, Karol Irzykowski, prof. Józef Kallenbach, dr Stefan Kopciński, Stanisław Posner, prof. Józef Ujejski, Bronisław Ziemięcki.** Razem trzynaście osób.

Posiedzenie rozpoczęło się o godz. 12.15 krótkim przemówieniem prezydenta Ziemięckiego, na którego wniosek zebrani jednomyślnie wybrali przewodniczącego obrad. Został nim prof. Józef Kallenbach. Niezwłocznie też przystąpiono do wyboru laureata. Przewodniczący wymienia w porządku alfabetycznym nazwiska członków Komitetu, którzy kolejno zgłaszają swoje kandydatury.

Pierwszy jest prof. Chrzanowski. Zgłasza **Józefa Weyssenhoffa, Wacława Berenta** i **Mariana Zdziechowskiego.**

Następnie Tadeusz Czapczyński zgłasza tylko jedną kandydaturę. Profesora **Tadeusza Zielińskiego** — filozofa i filologa klasycznego, poza tym autora studiów o twórczości Mickiewicza i Sienkiewicza.

Prof. Grabowski z Poznania zgłasza kandydatury **Weyssenhoffa, Berenta** i **Zygmunta Wasilewskiego.** Wacław Grubiński tylko **Wacława Berenta**, podobnie Czesław Gumkowski, redaktor **„Kuriera Łódzkiego".**

Prezes Rady Miejskiej, inż. Holcgreber, zgłasza **Wacława Berenta** i **Juliana Tuwima.** Po nim Karol Irzykowski tak samo, lecz w odwrotnej kolejności — najpierw **Tuwim**, potem **Berent.** Prof. Kallenbach proponuje kandydatury **Berenta** i **Kazimiery Iłłakowiczówny.** Dr Stefan Kopciński zgłasza trójkę — **Berenta, Nałkowską** i **Władysława Orkana.** Jan Lechoń — tylko **Tuwima**, senator Posner — **Dąbrowską** i **Tuwima**, prof. Józef Ujejski tylko **Berenta** i wreszcie prezydent Ziemięcki trzy kandydatury — **Berenta, Tuwima** i **Orkana.**

Z protokołu wynika, że następnie **„wywiązała się dłuższa dyskusja, w której głos zabierali wszyscy członkowie uzasadniając wysunięte przez siebie kandydatury".** Można oczywiście żałować, że protokolant nie pokwapił się zanotować owe głosy w dyskusji, choć nie wydaje mi się, aby były one zbyt ciekawe. Posiedzenie trwało dokładnie 2 godziny i 45 minut, w tym trzeba uwzględnić sprawy proceduralne, przemówienie prezydenta, przerwy, wybory... Na dyskusję niewiele zostało czasu. Należy zatem przypuszczać, że owa „dłuższa dyskusja" była po prostu stereotypową, lakoniczną prezentacją kandydatów.

Po zgłoszeniu kandydatów przewodniczący zarządził przerwę. Następnie przystąpiono do głosowania. Przypomnijmy, że w grę wchodziło dziesięcioro kandydatów: **Weyssenhoff, Berent, Zdziechowski, Zielinski, Wasilewski, Tuwim, Iłłakowiczówna, Nałkowska, Orkan i Dąbrowska.**

I oto w pierwszym głosowaniu tworzy się niespodziewany układ. Na kandydaturę **Wacława Berenta** głosują oczywiście profesorowie: **Chrzanowski, Grabowski, Kallenbach i Ujejski oraz red. Gumkowski i Wacław Grubiński.** Sześć głosów.

Za Tuwimem optują w większości łodzianie — **Ziemięcki, Holcgreber, Posner, Kopciński** oraz — oczywiście — **Jan Lechoń i Karol Irzykowski.** Sześć głosów.

Rola przysłowiowego języczka u wagi spada nieoczekiwanie na Tadeusza Czapczyńskiego, który — jak wiadomo — zgłosił kandydaturę prof. Zielińskiego i na niego głosował.

Zgodnie jednak z paragrafem 6 Regulaminu nagrody, postanowiono wyeliminować kandydaturę Tadeusza Zielińskiego, który otrzymał najmniejszą ilość głosów. **Naczelnik Czapczyński staje przed decyzją, która będzie równoznaczna z przyznaniem nagrody.**

Zebrani przystępują do drugiego głosowania. Głosy padają jak uprzednio: sześć za Berentem, sześć za Tuwimem. Tadeusz Czapczyński prosi o przerwę i czas do namysłu...

Jak długo trwała przerwa, nie wiadomo. Wreszcie Czapczyński oświadcza, że powziął decyzję, głosuje na Juliana Tuwima.

O godzinie 15 posiedzenie zakończono.

Nazajutrz „Republika" opublikowała notatkę **„Julian Tuwim laureatem m. Łodzi"**, a w trzy dni później **„Rozwój"** piórem swego anonimowego współpracownika wypominał poecie winy niepopełnione i przypominał światoburczą „Wiosnę". Artykuł „Rozwoju" ukazał się w dniu, w którym wręczono Tuwimowi nagrodę m. Łodzi. Specjalnie drukowany dyplom miano wręczyć w terminie późniejszym.

W aktach znajduje się odręcznie napisane pokwitowanie, tej treści: **„Niniejszem kwituję z odbioru dyplomu Nagrody Literackiej m. Łodzi na r. 1928 na imię p. Juliana Tuwima".** I podpis — **Adela Tuwimowa.** Matka poety. Pokwitowanie nosi datę 9 sierpnia 1928 roku.

Tak więc po dyplom poeta się już nie zgłosił. Dotknięty zapewne niewybrednym atakiem łódzkiej gazety, zajęty swoimi sprawami w stolicy, scedował na matkę odbiór dokumentu stawiającego go w rzędzie wybitnych pisarzy nagrodzonych przez jego rodzinne miasto.

A swoją drogą, światoburcza, młodzieńcza „Wiosna" raz jeszcze odbiła się czkawką niewczesnym obrońcom „moralności" i małym łódzkim politykierom. Ale jeśli dziś o nich wspominamy, to tylko dzięki owej „Wiośnie", dzięki poecie który umiał wzruszyć i potrafił wstrząsnąć i oburzyć.

(Fragment książki pt. „Antykwariat przy Piotrkowskiej").

MAM POCZUCIE SKROMNOŚCI WOBEC TEATRU...

Z WŁADYSŁAWEM ORŁOWSKIM rozmawia Jerzy Panasewicz

— Wystawiając w Teatrze Ziemi Łódzkiej swoją najnowszą sztukę*) stał się Pan, jeżeli dobrze liczę, absolutnym rekordzistą wśród łódzkich autorów dramatycznych, byłaby więc okazja do pytania o pozytywne doświadczenia wyniesione ze współpracy z teatrami. Zarazem rekord ten nie jest szczególnie wyśrubowany: cztery premiery, a raczej prapremiery w przeciągu szesnastu lat, poczynając od zrealizowanej w 1961 r. przez Teatr Nowy „Sprawiedliwości w Kioto", poprzez „Jutro Berlin", „Piąty lot", aż po „Każdy chwyt dozwolony"...

— Mimo to muszę chyba uważać się za autora uprzywilejowanego, bo — proszę mi wierzyć — wbrew pozorom i wbrew deklaracjom droga polskiej sztuki współczesnej na scenę jest drogą cierniową. Dużą szansę daje druk w „Dialogu", ale „Dialog" stawia bardzo wysokie wymagania literackie, mniej natomiast — co zresztą zrozumiałe — interesują go sztuki użytkowe, pisane dla sceny i tylko dla sceny. Z kolei biuletyn ministerstwa „Nowe sztuki" nie zachęca nawet do wypożyczania utworów z Agencji Autorskiej, jedna z moich nie granych dotąd pozycji w przeciągu dwu i pół roku miała zaledwie dwa wypożyczenia, słowem została odrzucona, choć nie została przez teatry oceniona.

Nie przeczę, mamy paru wybitnych dramatopisarzy, mamy też paru dramatopisarzy wziętych, ich sztuki są grywane, częstokroć co prawda na zasadzie powielania tytułów sprawdzonych przez sceny warszawskie, jednocześnie nowe teksty mniej uznanych autorów traktowane są przez reżyserów co najmniej nieufnie i wchodzą na scenę z najwyższym trudem. Niekiedy trafia natomiast do realizacji utwór najzupełniej tego niegodny, co po nieuniknionej porażce pozwala dyrektorowi zakrzyknąć: — No, jeżeli takie są te polskie sztuki współczesne, to ja ich grać nie chcę!

Nasze łódzkie środowisko, choć przejawia dużą aktywność kulturalną i artystyczną, wydaje się również robić niewiele, by zachęcać miejscowych ludzi pióra do parania się dramaturgią. Tak to przynajmniej odczuwam. Może więc należałoby tu zacytować prastary aforyzm, że nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie...?

Chodziłoby tedy o tworzenie przychylnego klimatu wokół rodzimej dramaturgii, co nie znaczy, iżby propozycje autora i propozycje teatru należało traktować w sposób bezkrytyczny.

— Historia dramatu istotnie może nam poświadczyć, że dzieła prawdziwie wybitne rodziły się zawsze wśród mnogości prób, z których zresztą ostało się nie zawsze to, co współczesnym wydawało się najcenniejsze... Stąd wniosek, że próbować trzeba i warto, bo innej drogi po prostu nie ma, a adaptacje też nam wszystkiego nie załatwią.

Tu bylibyśmy tedy zgodni, przez wiele lat spełniając funkcję recenzenta teatralnego wie Pan jednak doskonale, że przychylność nie tak łatwo pogodzić jest z krytycyzmem. Z jednej strony łatwo spotkać się z zarzutem, iż „poklepujemy po ramieniu", z drugiej — urazić nie tylko autora, ale i teatr, który gotów uznać, że Fredro czy Zapolska przysparzają mu jednak mniej kłopotów.

— Jest jeszcze złoty środek, można z autorem czy teatrem dyskutować.

— Trochę niezręcznie mi to mówić, ale sądzę, że zarówno Jerzy Fiedosiejew w „Expressie Ilustrowanym", jak i ja recenzując Pana ostatnią sztukę na łamach „Głosu Robotniczego", podjęliśmy taką próbę dyskusji. Nasze oceny były cokolwiek rozbieżne, stykały się wszakże w jednym punkcie — otóż odczuliśmy pewien niedosyt, nad finałem sztuki zawisnął znak zapytania i nie poznaliśmy prawdziwych twarzy bohaterów ukrytych pod tak licznymi maskami. Może więc powinien Pan pójść dalej i drążyć głębiej?

— Zanim spróbuję odpowiedzieć, chciałbym wrócić do początku naszej rozmowy, do owych doświadczeń wyniesionych z wieloletniego już pisania dla teatru, a i dla telewizyjnej sceny również. „Sprawiedliwość w Kioto" była debiutem, który z perspektywy lat uważam za raczej udany, jednak dziś o wiele już mniej wierzę w dominację słowa na scenie. Autor wchodząc w świat teatru musi mieć świadomość, że to, co powstało na papierze, zostanie poddane krytycznej analizie, że sam proces wystawiania sztuki nieuchronnie obnaży pewne niedomyślenia tekstu w kategoriach teatralnych.

„Sprawiedliwość w Kioto" pisana była z wiarą w słowo, a precyzyjna, może nawet zbyt precyzyjna konstrukcja, praktycznie nie pozwalała na włączenie się teatru z całym bogactwem jego środków. Teatr był przekaźnikiem, nie współtwórcą, mógł więc dać z siebie stosunkowo mało, co odbiło się na scenicznym kształcie spektaklu.

Moje dzisiejsze doświadczenia mówią, że tekst teatralny musi być tak nieszczelny, zostawiać tyle wieloznaczności, iżby pozostawiał teatrowi prawo doboru środków i interpretacji w planie treściowym. Tu zaczyna się pewien dramat pisarza, przychodzi bowiem moment, w którym przestajemy się czuć autorem tego, co dzieje się na scenie. Zasiadamy na widowni i sami jesteśmy zaskakiwani, dostrzegamy rzeczy przez nas nie zaplanowane, czy nie tak pomyślane, niekiedy olśniewające, niekiedy budzące trochę żalu.

Stopień ingerencji reżysera i teatru w moją ostatnią premierę był poważny, nastąpiły spore skróty i własne odczytania motywacji, niemal zupełnie zniknął słowny dowcip i pewien dystans do wydarzeń. Mam jednak poczucie skromności wobec teatru i nie uważam za stosowne walczyć przeciwko interpretacji, jakiej zostaje poddany nasz tekst. Tekst — mówię to w oparciu o doświadczenia telewizyjne — to coś jak scenariusz, zaproszenie dla artysty do podjęcia tematu, a nie nakaz, jak kształtować materię teatralną. Reżyser był więc w prawie odczytać rzecz tak, jak odczytał, gdybym jednak miał podjąć z nim dyskusję, powiedziałbym, że poszedł on w kierunku pokazania małej, wyobcowanej społeczności, która zabawiając się w rodzaj okrutnej psychodramy, wyrzuca z siebie pewne agresje. Wszystko, co nie służyło temu, bądź bezpośrednio akcji — zostało ze spektaklu wyeliminowane.

W konsekwencji pomieszczona w programie glosa nie została zrealizowana na scenie, a sygnalizowałem w niej moje odczytanie sztuki. Jestem pisarzem — to kłopotliwe przyznawać się do tego — trochę moralizatorskim, a więc i dydaktycznym. Chodziło mi o elementy gry i nieszczerości w naszym życiu społecznym, o budowane niekiedy wielopiętrowe konstrukcje mistyfikatorskie, co zdarza się zwłaszcza wtedy, gdy gracz trafia na gracza.

Moja sztuka jest wyraźnie osadzona w realiach, rozgrywa się w Krakowie, z czego spektakl zrezygnował. Zarazem miała ona pewne ambicje metaforyczne, chciałem protestować przeciwko mistyfikacjom, natomiast reżysera zafrapowała sama gra pozorów. Słowem uwagi zawarte w recenzjach są w znacznej mierze polemiką ze spektaklem, gdyż to, czegoście się państwo domagali, chyba przynajmniej częściowo w pierwotnym tekście zostało zawarte. Być może są w nim inne błędy, nie wiem, tym bardziej jednak chciałbym kiedyś zobaczyć tę sztukę w innej interpretacji scenicznej. Co nie znaczy, że za prapremierę nie jestem dyrekcji Teatru Ziemi Łódzkiej i wykonawcom szczerze wdzięczny — w końcu pozwolili mi przeżyć kolejną przygodę sceniczną.

— Czwartą, w przeciągu lat szesnastu, a doliczając realizację sztuki „Jutro Berlin" w Rzeszowie i Poznaniu — szóstą... Przyznaję, że ta statystyka nie napawa optymizmem.

— Wielkie trudności z ulokowaniem sztuki współczesnej w teatrze wpływają zniechęcająco na autora. Ja na przykład, mając długoletnie doświadczenia w tym względzie, odchodzę coraz bardziej zdecydowanie w stronę powieści. Jedna, „Cudza miłość, cudze cierpienia", rozeszła się błyskawicznie w ubiegłym roku, drugą przyjęło już Wydawnictwo Łódzkie i ukaże się ona chyba w pierwszym półroczu 1978 roku, trzecią właśnie piszę. Takie więc znalazłem dla siebie wyjście. Ale co mają robić młodzi autorzy, którzy nie doczekali się debiutu, a mieliby w zakresie teatru coś do powiedzenia? Bez próby sceny nie ma dramaturgii.

---

*) Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej — Władysław Orłowski: „Każdy chwyt dozwolony" — Reżyseria: Romuald Szejd — Scenografia: Józef Napiórkowski — Choreografia: Henryka Komorowska.

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. Władysław Orłowski: „Każdy chwyt dozwolony". Scena zbiorowa.

Foto: J. Neugebauer

WSPÓŁCZESNY MOLIER

Sięganie przez współczesny teatr polski do klasyki komediowej spowodowane bywa zwykle trzema przyczynami: by zaspokoić zobowiązania wobec programu nauczania młodzieży szkolnej, by dostarczyć tzw. „godziwej" rozrywki publiczności, która zawsze chętnie oglądać będzie na przykład Fredrę, i wreszcie dlatego, że jakiś reżyser ma „pomysł" na odświeżenie starej komedii, pomysł, który zresztą mógłby być wykorzystany przy wystawieniu każdej innej.

Żadna z tych trzech przyczyn nie sprowokowała Bohdana Korzeniewskiego do inscenizacji słynnego „Świętoszka" Moliera w Teatrze Nowym. Choć przedstawienie to winna obejrzeć młodzież szkolna, choć mogą pójść na nie wszyscy, którzy pragną się pośmiać, choć nie brak w nim pomysłowych rozwiązań scenicznych — to nie wszystko stanowi o wartości tego spektaklu.

Przedstawienie Korzeniewskiego jest dowodem na to, że tzw. wielka klasyka dramatyczna zawiera treści tego rodzaju, iż mogą być one przyswajalne przez widza w każdej epoce. Jest ponadto odpowiedzią na pytanie, dlaczego tak się dzieje. Reżyser apeluje do faktu, że nasza świadomość została ukształtowana przez arcydzieła wielkiej sztuki, a skoro tak jest, to ich teatralny przekaz nie winien być jedynie spełnieniem nudnego obowiązku ich przypomnienia, ani służyć jedynie zabawie, ale powinien stać się uprzytomnieniem tego, co w sposób bardziej lub mniej świadomy zostało zakodowane w naszej społecznej pamięci. Ponadhistoryczny uniwersalizm arcydzieł pozwala im sprawdzić się w każdej epoce pod warunkiem, że teatr nie stawia sobie jedynie partykularnych — jak te wymienione wyżej — celów. Uniwersalność tych dzieł wymaga jednak w każdej epoce odmiennego rozłożenia akcentów. Hamlet jest postacią uniwersalną, ale każda epoka może mieć jedynie własnego Hamleta, co dla teatru oznacza, że musi wydobyć tego Hamleta, który odnosi się do świadomości czasu, w jakim teatr powoła go na nowo do życia.

Tę prawdę rozumie Bohdan Korzeniewski inscenizując „Tartuffe'a". Rozumie, że Molier wyposażył postać tytułową w cechy ponadczasowe, ale że dzisiaj nie najważniejszy jest Tartuffe rozumiany jako świętoszek, jako oszust religijny, ale jako obłudnik dążący przy pomocy kłamstwa i fałszu do realizacji swych osobistych celów. Korzeniewski pojął, że — choć nie każda epoka ma swojego „świętoszka" — to każda posiada swojego „obłudnika", własną odmianę zakłamania. Dlatego też naczelną ideą spektaklu w Teatrze Nowym jest przedstawienie współczesnej twarzy obłudy. Obłudy bardzo szczególnej i wyrafinowanej; nie ukrywającej się pod pozorami prawdziwości, ale czyniącej z fałszu zasadę postępowania i nie ukrywającej tego przed otoczeniem. Zamiar swój reżyser zrealizował bardzo konsekwentnie, począwszy od dokonania nowego tłumaczenia dramatu aż po godne ręki prawdziwego artysty teatru i pedagoga poprowadzenie aktorów.

Tartuffe jest grany przez Andrzeja Maya. Pojawia się na scenie bez charakteryzacji i szminki. Wszyscy domownicy Orgona wiedzą, kim jest i do czego dąży. Nikt przecież nie wierzy w szczerość jego postępowania. Może sobie pozwolić na wielkie słowa i patetyczne gesty, skoro jest pewny, że i tak osiągnie swój cel. Prowadzi swoistą grę ze światem, który go nie akceptuje i zwalcza. Wie, że wygra, ponieważ jest najlepszym graczem. Inni są figurami, z których jedynie pionkiem jest ten, który na grę Tartuffe'a daje się całkowicie nabrać — Orgon.

May stworzył postać wystudiowaną w najmniejszym szczególe. Zimny, opanowany i panujący nad otaczającymi go postaciami. Potrafi grać błyskiem oczu, wówczas, gdy podejrzewa, że któraś z tych postaci chce go przechytrzyć. Nawet gdy stoi lub klęczy odwrócony tyłem do sali widać, że czujnie śledzi grę poruszających się przed nim przeciwników.

Daje obraz obłudy, o której wszyscy wiedzą i na którą wszyscy muszą się zgodzić, nie mając możliwości decydowania o własnym losie. Jedyny, który władzę decyzji posiada, jest w sposób zupełny oślepiony jego wyrachowanym fałszem. W tej sytuacji o losach ludzkich rozstrzyga ten, którego stać na najbardziej skuteczną taktykę wobec decydenta. Taktyka gry wobec innych się nie liczy; można im nawet dać do zrozumienia, że jest się lepszym od nich graczem.

W koncertowej grze aktorskiej towarzyszy Mayowi Bogusław Sochnacki. Jest on zresztą centralną postacią przedstawienia, wokół której grupują się działania niemal wszystkich bohaterów, usiłujących mu otworzyć oczy na to, o czym wszyscy wiedzą. Sochnacki umiejętnie wygrywa zarówno śmieszność swojego bohatera, który nie dorósł do gry prowadzonej przez innych, jak i jego tragizm wówczas, kiedy zburzony zostaje świat, w który dotychczas wierzył.

Osobne słowa uznania należą się Janinie Borońskiej, w której ustach najświetniej chyba brzmi wiersz przekładu B. Korzeniewskiego, a jej gra w roli pokojówki Doryny jest majstersztykiem kunsztu aktorskiego.

Mało wyraziście w przedstawieniu wypadła postać Kleanta. Nie jest to zresztą winą Janusza Kubickiego, ale wynika raczej z obranej drogi interpretacyjnej dramatu, w której bohater ten — będący u Moliera jedynym światopoglądowym przeciwnikiem Tartuffe'a — nie bardzo znajduje miejsce. W interpretacji Korzeniewskiego nie ma zwalczających się racji ideowych; antagoniści różnią się między sobą jedynie stopniem wtajemniczenia w sztukę obłudy.

Ujęcie poszczególnych ról w tym spektaklu jest bowiem zadziwiające. Mamy tu do czynienia z obrazem gry prowadzonej względem siebie przez osoby działające. Różnią się one jedynie sposobami prowadzenia gry i własnymi możliwościami w tym względzie. A te są różnorakie. Począwszy od naiwnych gierek dwojga skłóconych kochanków: Marianny i Walerego (Diana Stein i Piotr Krukowski), od równie rozbrajającej w swojej naiwności gry Orgona (Bogusław Sochnacki) usiłującego przy pomocy kupionej dla córki lalki namówić ją do małżeństwa z Tartuffe'em, poprzez słodką perfidię Pana Układnego (znakomity Ryszard Dembiński) — aż do świadomej obłudy dwóch godnych siebie graczy: Elmiry (granej z subtelnym wyczuciem dystansu przez Barbarę Dziekan) i Tartuffe'a. Co prawda w tej ostatniej rozgrywce, w której chodzi o sprawy namiętności miłosnej, bierze górę — jak przystało w takich razach kobiecie — Elmira, to jednak na wygraną jest już za późno. Zwycięzcą zostaje ten, który ani swojej gry, ani swojej obłudy specjalnie nie ukrywa, jak gdyby wiedząc, że w świecie, w którym działania ludzkie oparte są na fałszu, ukrywanie rozbieżności między słowami a postępowaniem nie jest najlepszym środkiem wiodącym do celu.

Zakończenie, w którym Tartuffe dzięki decyzji władcy ponosi klęskę, reżyser uczynił świadomie nieprzekonującym, wprowadzając umyślny akcent sztucznego patosu i podkreślając konwencjonalny fałsz finału w stosunku do wcześniej zaistniałych wydarzeń. Jednakże nie ma w takim rozwiązaniu zgrzytu; odegrana obłuda świata znajduje jak gdyby swoje odbicie w zwierciadle fałszu teatralnej konwencji.

Szczęśliwe zakończenie nie mąci gorzkiej mądrości dramaturga i jego inscenizatora. Spektakl przedstawia bowiem świat, w którym zatarte zostały granice między obłudą i prawdziwością, w którym słowo i działania ludzi przestały służyć ich własnym celom. Jeżeli więc spektakl ten budzi tak silny oddźwięk u publiczności, to może dlatego, że podczas przedstawienia — tak jak chciał Norwid — „cywilizacyjna całość społeczna" ogólnego sumienia zwrotem spogląda na samą siebie.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Teatr Nowy. Molier, „Tartuffe, czyli obłudnik" w przekładzie i reżyserii Bohdana Korzeniewskiego. Scenografia: Krzysztof Pankiewicz. Premiera 22.X.1977.

Teatr Nowy. Molier: „Tartuffe czyli Obłudnik". Na zdjęciu: Barbara Dziekan (Elmira) i Andrzej May (Obłudnik).

Foto: J. Neugebauer

Uliczka w Śródmieściu

ANDRZEJ MAKOWIECKI

RIO GRANDE DO SUL

(DZIENNIK PODRÓŻY)

Wracamy do Brazylii.

W niedzielę 14 sierpnia, późnym popołudniem, GAŁCZYŃSKI stanął na redzie w małym portowym miasteczku Rio Grande. Statek nie został wprowadzony do portu, ale następnego dnia otrzymał połączenie z lądem. Kto chciał, mógł popłynąć do miasta motorówką i po paru godzinach wrócić.

Tego wieczoru rodzi się pomysł: skoro z uwagi na tłok w porcie i wielką ilość frachtowców na redzie będziemy jeszcze pokutować kilka dni na kotwicy, a przez dalszych kilka ładować ryż — mamy czas na wyprawę w głąb kraju. Tylko gdzie?

Do Rio de Janeiro jest bez mała dwa tysiące kilometrów. Możemy nie wrócić w porę i zgubić statek. Ale pozostaje inne wyjście: pojechać do Rio i zamiast wracać stamtąd na południe — przebić się dalszych półtora tysiąca kilometrów na północ, do Salvadoru, który będzie naszym następnym i ostatnim już portem w Brazylii.

Pomysł nierealny. Za mało pieniędzy, za krótkie dokumenty. Jednakże słowa wypowiedziane głośno, to groźny szantaż.

Wsiadamy w motorówkę i płyniemy do miasta, żeby zorientować się, gdzie jest dworzec autobusowy.

Zacina zimny, porywisty wiatr. Idziemy drogą, która prowadzi do centrum — dwa kilometry od portu. Najpierw, oczywiście, favela: kondensat nędzy; domki bez okien, parterowe, obstawione przez ludzi o bezlitosnych twarzach. W szparach drzwi błyśnie nieraz rozkopany barłóg. Mulatka w halce, twarz dziecka...

Samo Rio Grande, od którego wziął nazwę ten najbardziej wysunięty na południe stan Brazylii, nie sprawia zawodu. Żadnych wieżowców. Śródmieście to w zasadzie skansen: monolit budynków z początku dwudziestego wieku — czerwonych, brązowych, niebieskich, żółtych, murowanych i drewnianych. Ktoś powie, że w pustej perspektywie uliczki brakuje tylko kowboja na koniu.

Znajdujemy dworzec. Ustalamy również położenie Domu Polskiego.

Na statek wracamy po kolacji. Mam już anginę. Zawsze, kiedy wybieram się w podróż, łapię anginę. Jest to najwspanialsza angina ze wszystkich, jakie dotychczas przeżyłem — nie mogę wykrztusić z siebie ani słowa, uczciwy ból, termometr wskazuje 39 stopni.

Wtorek, 16 sierpnia. Wciąż na redzie. Leżę w koi. Wiadomo, że nigdzie nie pojadę. Wziąłem już domięśniowo debecylinę, milion dwieście, a teraz raczę się trzy razy dziennie ampicyliną.

Żonę wysłałem do Domu Polskiego. Wróciła i mówi:

— Sześć osób.

— Gdzie?

— W tym Związku.

— Dlaczego?

— Jedni nie płacili składek, innym nie odpowiadała linia polityczna.

— A tak w ogóle?

— W ogóle to strasznie serdeczni. Sekretarka, siedemdziesiąt pięć lat, wycałowała mnie, łzy w oczach.

— Mówią po polsku?

— Tylko starsi. Koniecznie chcą cię zobaczyć.

— Pytali o coś?

— Aha... Czy to prawda, że zimą pada jeszcze w Polsce śnieg.

Środa, 17 sierpnia. Kapitanat Portu robi nadzieję, że wejdziemy nazajutrz. Niemieccy pasażerowie, których wieziemy z Buenos Aires, kręcą nosem. Ciągle leżę. Jest mi źle, nudno. Gorączka nie puszcza. Godzinami wpatruję się w mapę Brazylii. Wiem, że nigdzie nie pojadę, tym niemniej mokrym kawałkiem nitki wyskalowanej na długość dwóch tysięcy kilometrów, obsesyjnie wymierzam dystans pomiędzy kilkoma miastami. Cholera! nie ubywa drogi, nie przybywa pieniędzy, które przeliczam bez przerwy jak skąpiec.

Czwartek, 18 sierpnia. Kapitanat Portu nie dotrzymał słowa. Niemieckich pasażerów najwyraźniej trafia szlag, bowiem śpieszno im do Vaterlandu. Ja choruję, żona popłynęła do miasta. W porcie znalazła przypadkiem polski statek, m. s. HENRYK JENDZA. Spytała o panią Zofię Bieżanko: Ależ tak! — odpowiedzieli marynarze. — Jest pani Zosia. Jest także pan profesor.

Wyjaśnienie: pani Zosia wyszła niedawno za mąż, a jej wybrańcem został osiemdziesięcioparoletni Brazylijczyk polskiego pochodzenia, Czesław Maria Bieżanko, profesor wielu różnych dyscyplin, doktor honoris causa wielu różnych uniwersytetów. 30 października 1974 roku tytuł ten nadał mu także Senat Lubelskiej Akademii Rolniczej i wówczas to właśnie czcigodny gość poznał swoją narzeczoną. Ślub! Pan profesor musiał wracać do Brazylii, gdzie pełni odpowiedzialne funkcje na Uniwersytecie w Pelotas. Na pokładzie JENDZY popłynęła również na drugą półkulę pani Zosia, tam jednakże okazało się, że władze brazylijskie nie załatwiły na czas formalności wizowych. Nie chcąc tracić obywatelstwa polskiego, podróżniczka, nie najmłodsza już wszakże, tylko na jedną noc odwiedziła stęsknionego małżonka w Pelotas, żeby sprawdzić przy okazji jak mieszka, czy się aby nie przechwalał i w ogóle, a rankiem powiedziała mu: Adios, wracam JENDZĄ do Polski, jak mi wbiją regularną brazylijską wizę, wsiądę na najbliższy statek i przyjadę.

Tym najbliższym statkiem okazać się miał GAŁCZYŃSKI. Stąd znajomość nasza z przeuroczą panią Zosią, nawiasem mówiąc — uważnym lektorem kilku moich książek. Dwa tygodnie temu wypiliśmy strzemiennego i wysadziliśmy ją w Porto Alegre, a teraz spotykamy się w Rio Grande...

— Jak się czuje? — pytam.

— Doskonale — odpowiada żona.

— A staruszek?

— Żwawy.

— Co tu robią?

— Ano, wizytują JENDZĘ. Szaleją, piją, tańczą jakby mieli po dwadzieścia lat. On mówi, że koniecznie musi cię poznać.

— Słuchaj! — wracam do swojej obsesji. — Gdybyśmy wybrali się w tę podróż, może dali by nam przykoczować jedną noc w Pelotas...

— Nic z tego — ucina żona. — Jutro państwo Bieżankowie jadą autobusem do Urugwaju.

— Po co?

— Aaa, żeby pograć trochę w ruletkę.

Piątek, 19 sierpnia. Rano. Wciąż na kotwicy. Gorączka bez zmian. Gapię się w mapę, liczę pieniądze, przeklinam. Żona w mieście: pożegnalna herbatka u Bieżanków. Profesor grozi, że przyśle mi komplet dokumentów, na podstawie których muszę napisać o nim artykuł. Najlepiej do Przekroju. Przekrój wspominał o nim niedawno, ale — że tak powiem — zbyt skąpo i bez precyzji. Owszem, urodził się w Kielcach. Jego babka była spokrewniona z Żeromskim. Studiował filozofię, chemię, agronomię. Teraz zajmuje się przede wszystkim botaniką, motylkami. Był wiceprezydentem Akademii Nauk Brazylii. W 1929 roku po raz pierwszy wraca do Polski na pokładzie CYPRIANA NORWIDA. Zaproszony przez Profesora Chomicza z Uniwersytetu Jagiellońskiego, bierze udział w Międzynarodowym Spotkaniu Uczonych.

W 1971 roku Prezydent Brazylii udziela mu, jako wybitnemu badaczowi, dożywotniej renty, co w tym kraju stanowi prawdziwy ewenement.

Nieco później Polski Konsul Generalny w Kurytybie, pan Piotr Kirpluk, udzielił mi następujących informacji:

— Bieżanko? — Uśmiech. — Nie ma chyba w Brazylii bardziej znanego Polaka od Rio Grande po Amazonas. Owszem, ekscentryczny, ale zaszczytów i przywilejów nie dostał na piękne oczy. Ten człowiek realnie wzbogacił Brazylię. Wiele lat temu, mimo powszechnych oporów, sprowadził tu z Polski soję. Z początku sam zaczął ją sadzić. Dzisiaj robią to wszyscy. Brazylia stała się największym eksporterem soi w świecie.

Jest profesorem honorowym Wydziału Nauk Humanistycznych i Ścisłych na Uniwersytecie w Montevideo. Ma samochód, starego forda z roku, bodajże, 1928. Kiedyś upierał się, że go nie sprzeda. I miał rację. Grat przedstawia w tej chwili wartość trzech nowych mercedesów.

Piątek, 19 sierpnia. Wieczór. Skoro nie działają antybiotyki, zostaję poddany kuracji chińsko-brazylijskiej. Maść tygrysia — skronie, czoło, nos, broda, ramiona. To chińszczyzna. Potem z butelką pitu (wódka z trzciny cukrowej typu kaszasza) odwiedza mnie asystent maszynowy, Stanisław Krawczyk. To brazylijszczyzna.

— Wypijesz i jutro będziesz zdrowy — powiedział. — Wyjdziesz na ring i będziesz mógł walczyć o mistrzostwo świata z Alkiem Mahmudziakiem.

— A wyjechać też będę mógł?

— Gdzie?

Przedstawiłem mu swoje zamiary.

— Żartujesz!

— Nie. — Bawi mnie przerażenie starego wilka morskiego.

— Bracie! Takiego numeru na tej linii nikt jeszcze nie zrobił. Cztery tysiące kilometrów!

Sobota, 20 sierpnia. Rano. Maść tygrysia (chińszczyzna) i pitu (brazylijszczyzna) dystansują europejską medycynę.

Wstaję.

Zamawiam się na rozmowę u kapitana.

Wyjaśnienie. Kapitan Stanisław Petrusewicz jest człowiekiem konkretnym. As w zawodzie. Nim przejął ster GAŁCZYŃSKIEGO, przez parę lat dowodził polskim statkiem flagowym. Kapitanować na STEFANIE BATORYM to największe marynarskie wyróżnienie.

Zwięźle, w przeciągu trzech minut, wyłożyłem sprawę.

Kapitan skwitował to jednym słowem:

— Niebezpieczne.

— Tak. Ale to jest wkalkulowane w ryzyko mojej profesji.

— Zgoda. Ale jest pan chory, a pańska, żona po żółtaczce. Poza tym — co zrobicie, jeśli statek dostanie telex i zmieni w ostatniej chwili trasę?

— Będziemy w kontakcie z agentami.

— A jak popłyniemy do innego kraju i stamtąd prosto do Gdyni?

— Nie będzie tak źle.

— W każdym razie ja pana ostrzegam. Starczy wam chociaż pieniędzy?

— Może i starczy. Na wszelki wypadek wezmę trochę szmuglu, wie pan, dwie butelki Ballantine's, paczkę amfory i karton amerykańskich papierosów, które sprezentował mi na drogę asystent maszynowy.

— Wykluczone!

— Ale...

— Wpadnie pan na bramie i posiedzi pan dwa lata. Za trochę kremu i wody kolońskiej były takie wyroki.

— To co mam zrobić?

— Już ja wolę panu pożyczyć parę groszy. Trzydzieści dolarów starczy?

— Jasne — przełykam ślinę. — Na pewno ich nie wydamy, tylko tak... dla pewności siebie. A może pan kapitan pożyczy pięćdziesiąt?

Wiem, że jestem bezczelny. Jeszcze raz przepraszam, panie kapitanie! Dał mi pan te pięćdziesiąt bez żadnego rewersu, a ja schowałem je do kieszeni i uścisnąłem pańską dłoń.

Statek przycumował akurat do kei.

Żona wzięła od kucharza zapas żywności na tydzień: trzy puszki znakomitych baltonowskich parówek, dwa pęta suchej kiełbasy, pasztet w konserwie, ser, trochę chleba. Ja z kolei przygotowałem dokumenty. Cały nasz bagaż zamknął się w jednej niewielkiej torbie, pożyczonej od córki Stasia Krawczyka. Poza Krawczykiem, kapitanem, ochmistrzem i kucharzem nikt miał o naszej wyprawie nie wiedzieć. Baliśmy się po prostu, że choroba i trudności każą nam jutro lub pojutrze wrócić. Kompromitacja! Dlatego też zeszliśmy z trapu bez żadnych pożegnań. Nie! Oprócz Krawczyka, kapitana, ochmistrza i kucharza nikt, dosłownie nikt! o naszej wyprawie nie wiedział. Jednym słowem — w godzinę później wiedzieli wszyscy.

Sobota, 20 sierpnia. Południe. Zbliżamy się do posterunków żandarmerii przy bramie portu. Już po chwili widzę, że kapitan Petrusewicz miał świętą rację. Czyli — zawdzięczam mu wolność! Śmieję się radośnie i wrzeszczę: niech żyje Brazylia, Pele, Garincha, Alberto Carlos! a żandarm, także radośnie uśmiechnięty, przeczesuje mi miarowo torbę. Później jeszcze macedonia, wywracanie kieszeni. Wyjmij no, amigo, z płaszcza lewą rękę. O, przepraszam! W porządku! Dokąd jedziecie? Aaaa. Pelotas. Pelotas. Na długo?

— Na dwa — trzy dni.

— Do kogo?

— Do profesora Bieżanko.

— Ha, ha! No to szczęśliwej drogi, amigos!

— Wszystkiego najlepszego, kochany przyjacielu! — I wykrzykuję jeszcze: — Brasileiro! Futebol Brasileiro! Niech żyje Pele, Garincha, Alberto Carlos!

W tak miłym i pogodnym nastroju zaczęła się nasza wielka włóczęga. Trasa dłuższa niż z Warszawy do Algieru i dużo dłuższa niż z Warszawy do Tunisu w Północnej Afryce. Trasa prowadząca przez osiem brazylijskich stanów: Rio Grande do Sul, Santa Catarina, Parana, Sao Paulo, Rio de Janeiro, Espirito Santo, Minas Gerais i Bahia. Trasa improwizowana — bez żadnych adresów, żadnych met, żadnych hoteli. Trasa „na czas": dzień spóźnienia może nas kosztować utratę statku.

Ktoś powie, że się chwalę

Zrób to samo, też będziesz się chwalił!

A jeśli nie zdążymy? Jeśli rozminiemy się z GAŁCZYŃSKIM? Zaczął się nasz wyścig z kalendarzem.

(cdn.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

Farela — dzielnica nędzy w Rio Grande

U PRZYJACIÓŁ

W Kraju Rad dobiega końca I Wszechzwiązkowy Festiwal Twórczości Amatorskiej, największa tego rodzaju impreza na świecie. W ciągu przeszło dwóch lat w klubach, domach kultury, świetlicach, na tysiącach koncertów i wystaw prezentowali swe osiągnięcia robotnicy, kołchoźnicy, studenci i uczniowie. W pierwszym etapie festiwalu dominującym akcentem była tematyka Wojny Ojczyźnianej, etap drugi przebiegał pod znakiem 60-lecia Rewolucji Październikowej.

Liczba widzów i słuchaczy, którzy podziwiali osiągnięcia artystów-amatorów we wszystkich gałęziach sztuki osiągnęła 140 milionów osób. Do trzeciego tj. ostatniego etapu festiwalu zakwalifikowało się ponad 80 tysięcy zespołów i solistów, wiele z nich nagrodzono i wyróżniono, jako najlepszych w poszczególnych dziedzinach sztuki.

Głównym założeniem festiwalu była aktywizacja amatorskiego ruchu artystycznego, tej najbardziej masowej formy obcowania szerokich mas społeczeństwa ze sztuką. Do powodzenia tej gigantycznej imprezy w znacznym stopniu przyczynili się wybitni artyści różnych specjalności: aktorzy, reżyserzy, muzycy, plastycy, służąc swoją pomocą uczestnikom ruchu amatorskiego. Fakt ten jeszcze raz potwierdził, że odpowiedzialność za zachowanie i wzbogacanie sztuki ludowej ZSRR spoczywa w równej mierze na artystach zawodowych jak i uczestnikach ruchu amatorskiego.

* * *

Jednym z najmłodszych radzieckich wydawnictw jest powołany w 1971 r. „Sowremiennik", w chwili obecnej jedna z czołowych oficyn edytorskich ZSRR. Publikacje „Sowremiennika" szybko znikają z półek księgarskich, współpracujący z nim autorzy należą do najpopularniejszych twórców literatury współczesnej. Ich utwory są zarówno doceniane w kraju jak i też tłumaczone na wiele języków obcych.

— Wydawnictwo nasze — mówi Jurij Prokuszew, znany krytyk, dyrektor „Sowremiennika" — jest oficyną Związku Pisarzy i Komitetu ds. Wydawnictw RFSRR. Publikujemy więc wyłącznie książki współczesnych pisarzy tworzących w języku rosyjskim. Osobny dział stanowi krytyka literacka. Głównym jednak naszym zadaniem jest popieranie młodych talentów, lansowanie nowych książek pisarzy mieszkających z dala od głównego centrum wydawniczego jakim jest Moskwa. Z ponad 1.200 pozycji, które wydaliśmy dotychczas, 800 stanowiły książki nowe o łącznym nakładzie ponad 60 mln egz., z tego 300 to utwory młodych, nieznanych lub mało znanych autorów.

Wśród autorów publikowanych przez „Sowremiennik" znajdujemy tak wybitne nazwiska, jak Szołochow, Leonow, Fiedin i inni. Ukazują się tu również książki najbardziej znanych autorów tzw. wojennego pokolenia. Bondariewa, Szukszyna, Astafiewa, Biełowa, Tendriakowa, Załygina. Drukują tu również twórcy najmłodszego pokolenia, którzy w znacznej mierze decydują obecnie o obliczu młodej literatury radzieckiej, jak Rasputin, Iwanow, Nosow, Możajew, Aleksjejew, Łagunow, Kalinin, Zakrutin. Są oni dobrze znani radzieckiemu czytelnikowi, a utwory niektórych z nich doczekały się przekładów w krajach socjalistycznych i zachodnich.

— Przy całej różnorodności talentów i osobowości można mówić o pewnych wspólnych cechach ich pisarstwa — stwierdza J. Prokuszew. — Jest to pokolenie, które nie czuje potrzeby poszukiwań formalnych za wszelką cenę. Interesuje ich natomiast głęboka analiza psychologiczna bohatera, jego świat wewnętrzny i wypływające stąd konflikty, poszukiwanie własnego sensu życia, zdradzające tendencje do eksponowania dramatycznych sytuacji. Dostosowana do treści jest ich niezwykle różnorodna i oryginalna stylistyka.

* * *

Programy radiowe, emitowane z Moskwy, odbierane są na całym obszarze Związku Radzieckiego. Program centralny TV ogląda około 80 procent obywateli, w strukturze i zasięgu radzieckiej radiofonii i TV ważnym czynnikiem jest różnica czasu między granicznymi punktami ZSRR sięgająca 11 godzin. W związku z tym TV emituje o różnych porach cztery programy, a radio — osiem. Liczba zarejestrowanych w ZSRR telewizorów wynosi ponad 60 milionów (2 miliony telewizorów kolorowych). Łączny czas emisji programów radia, realizowany w 68 językach narodów ZSRR, wynosi w ciągu doby 160 godzin.

Niezależnie od programów „wewnętrznych" z Moskwy i stolic republik związkowych emitowane są w 70 wersjach językowych audycje dla 150 krajów całego świata.

ANASTASIO II SOMOZA I JEGO RODZINA

„Rządząca w Nikaragui „dynastia" Somoza, będąca jednym z najbardziej barbarzyńskich reżimów w Ameryce Środkowej, cieszy się łaskawym i szczodrym poparciem Waszyngtonu. Pod względem chciwości i okrucieństwa rodzina ta nie ma sobie równych nawet wśród latynoamerykańskich reżimów represyjnych, a obecny prezydent Anastasio II Somoza Debayle zyskał sobie złą sławę najbardziej chciwego dyktatora naszych czasów. Stany Zjednoczone ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za założenie i popieranie „dynastii", która faktycznie zawsze była marionetką w rękach USA".

Tę wymowną charakterystykę dyktatora Nikaragui nakreślił amerykański tygodnik „New Republic". I rzeczywiście, nic dodać, nic ująć.

Stolica tego dwumilionowego środkowoamerykańskiego państewka — Managua — przypomina dziś oblężoną twierdzę. Na ulicach czołgi i samochody pancerne, liczne patrole gwardii narodowej, w powietrzu krążące śmigłowce. Środki te podjęła w kraju rodzinna klika w związku z aktywizacją działalności Frontu Wyzwolenia Narodowego imienia Sandino. Oddziały partyzantów zaatakowały ostatnio garnizony wojsk rządowych. Dyktator Somoza, utrzymujący się u władzy tylko dzięki krwawym represjom, rzucił przeciwko patriotom całą armię, w tym również specjalne oddziały pacyfikacyjne wyszkolone przez amerykańskich instruktorów. Mimo protestów i oczywistych faktów mieszania się w wewnętrzne sprawy Nikaragui, Stany Zjednoczone nadal okazują pomoc dyktatorowi. Nikaragua jest jednym z jaskrawych przykładów, jak Waszyngton, mieniąc się „obrońcą praw człowieka" w innych krajach, okazuje de facto pomoc najbardziej barbarzyńskim reżimom.

W Managui nawet dzieci wiedzą, że w kraju tylko niewiele rzeczy można zrobić bez zezwolenia ambasadora USA. Amerykański ambasador w Nikaragui odgrywa rolę rzymskiego prokonsula: cała władza w państwie-prowincji spoczywa w jego rękach. Oburzenie narodu Nikaragui z powodu tego dyktatu osiągnęło apogeum, kiedy ambasadorem USA w tym kraju, w latach 1970—1975, był T. Shelton. Jak się tutaj przypuszcza, zajmował on to stanowisko dzięki zabiegom przyjaciela Somozy, zmarłego niedawno amerykańskiego milionera, H. Hughesa. Shelton żarliwie głosił nieodzowność niesienia dalszej pomocy Somozie i innym podobnym terrorystycznym reżimom włącznie z wojskową juntą Pinocheta w Chile. Kiedy Sheltona przeniesiono gdzie indziej, Departament Stanu dał do zrozumienia, iż krok ten nie oznacza bynajmniej zmian w dotychczasowej polityce Stanów Zjednoczonych w Nikaragui. Rządząca rodzina Somozy zagarnęła niemal całą ekonomikę kraju. Tę całkowitą identyfikację rodziny z państwem, trwającą już 40 lat, potępia opozycja rządowa. Ponieważ należące do Somozy kompanie przemysłowe nie płacą podatków, konkurowanie z nimi jest beznadziejne.

Dyktator wykorzystał we własnym interesie nawet trzęsienie ziemi, które w 1972 roku wyrządziło wiele szkód w stolicy kraju. Somoza przywłaszczył sobie pieniądze, które napłynęły z zagranicy na budowę domów dla ludzi bez dachu nad głową. Pieniądze te osobiście wręczono prezydentowi. Somoza wyasygnował całą tę sumę na zakupienie ziemi w pobliżu Managui. Jest to typowy przykład korupcji, która sprowadziła dozera wysiłki zmierzające do odbudowy stolicy. Dary rzeczowe, nadesłane z innych krajów, zostały sprzedane na czarnym rynku po spekulacyjnych cenach, a subsydia finansowe przeznaczone na odbudowę zrujnowanego miasta, przekazano do przedsiębiorstw należących do rodziny dyktatora. Somoza jest jednym z najzamożniejszych ludzi zachodniej półkuli. Znaczną część swoich kapitałów ulokował za granicą, poczynając od banków szwajcarskich, a na amerykańskich kompaniach naftowych kończąc. Anastasio II Somoza operuje tymi kapitałami z biura w Miami na Florydzie, dokąd regularnie przyjeżdża na konsultacje ze swymi pomocnikami, do których należy m.in. Manuel Artime, „głównodowodzący" bandami kubańskich kontrrewolucjonistów, którzy swego czasu wtargnęli na Kubę. Interwenci, jak wiadomo, zorganizowali wypad na Kubę z terytorium Nikaragui.

Dyktatura gen. Anastasio II Somoza ma swoją niesławną historię. Zacznijmy od tego, iż penetracja USA w Nikaragui sięga roku 1856, kiedy to amerykański awanturnik, William Wocker, podbił ten kraj i został oficjalnie uznany przez Stany Zjednoczone jako panujący w Nikaragui. W 1912 roku Nikaraguę zajęła amerykańska piechota morska i okupacja ta trwała 20 lat. W 1933 roku dowództwo amerykańskiej piechoty morskiej przekazało władzę wojskową miejscowej gwardii narodowej, stawiając na jej czele niejakiego Anastasio Somozę, absolwenta amerykańskiej szkoły wojskowej w West Point i byłego fałszerza pieniędzy. Rok później Somoza, w porozumieniu ze swymi mocodawcami, zaprosił do stolicy przywódcę partyzantów, Augusto Sandino i jego najbliższych towarzyszy broni na rozmowy, gwarantując im całkowite bezpieczeństwo. Ale kiedy przywódcy partyzantki opuszczali prezydencki pałac, zamordowali ich żołnierze gwardii narodowej. W kampanii wojsk rządowych przeciwko patriotom, która nastąpiła w ślad za tą ohydną zbrodnią, zginęło kilkuset partyzantów. W 1936 roku Anastasio Somoza został prezydentem Nikaragui.

Polityczną władzę rodziny zabezpiecza tzw. gwardia narodowa, jedyny rodzaj sił zbrojnych w kraju. Od 1933 roku nie stał na jej czele ani jeden człowiek, który by nie nosił nazwiska Somoza. Dzisiejszy Somoza, zwany Anastasio II Somoza, jest jednocześnie prezydentem i głównodowodzącym gwardii narodowej, która w gruncie rzeczy jest prywatną gwardią Somozy. Kadra oficerska gwardii przechodzi szkolenie wywiadowcze w zakresie taktyki wojny przeciw partyzantom w amerykańskich uczelniach wojskowych, rozlokowanych w strefie Kanału Panamskiego.

Po zamordowaniu Augusto Sandino ruch partyzancki w Nikaragui osłabł. Zorganizowana walka zbrojna przeciwko reżimowi znów przybrała na sile w 1961 roku, kiedy powstał Front Wyzwolenia Narodowego im. Sandino. Gwardia narodowa krwawo rozprawia się z sympatykami partyzantów. Rozstrzelano tysiące chłopów, zrównano z ziemią całe wsie. W departamencie Matagalpa wsie bombardowano z samolotów, masowo torturowano i zabijano ludzi podejrzanych o ukrywanie partyzantów. W walce z ruchem wyzwoleńczym reżim Somozy korzysta nie tylko z pomocy USA, lecz także z pomocy wojskowych dykatatur państw Ameryki Środkowej. Na przykład operacjami wojskowymi, w grudniu ub. roku, przeciwko partyzantom w północnym rejonie kraju kierowała Centralna Amerykańska Rada Obrony, a w tygodniowych, tzw. zintegrowanych, operacjach przeciwko partyzantom w Nikaragui brały udział oddziały wojskowe Gwatemali i Salvadoru. Całością działań wojskowych kierowali amerykańscy oficerowie.

Co przyniesie najbliższa przyszłość? Największe nadzieje wiąże się ze złym stanem zdrowia Somozy. Cierpi podobno na leukemię i przechodzi intensywną kurację w USA. Panuje powszechne przekonanie, iż w razie jego śmierci wybuchnie walka o władzę między jego młodszym synem, Anastasio III, oficerem gwardii narodowej, a Jose — synem Somozy z nieprawego łoża — który zajmuje obecnie stanowisko generalnego inspektora gwardii narodowej. Zdumiewa, iż w obliczu takich i temu podobnych faktów Zachód podejmuje się roli obrońcy praw człowieka. Nie do wiary.

JERZY CZECH

POLIGON RAKIETOWY W ZAIRZE

Zachodnioniemiecka kompania Orbital Transport und Raketen System AG, usadowiona niedaleko Stuttgartu, zamierza do 1981 roku wystrzeliwać na orbitę okołoziemską satelity przeróżnych typów na każde zamówienie i po niskich cenach, zdolnych oszołomić każdego konkurenta. „Można tego dokonać tylko w jeden sposób — powiedział prezes OTRAG — a mianowicie konstruując proste i tanie rakiey nośne". Gadu, gadu, a tu 17 maja br. wystrzelono w Zairze pierwszą rakietę, która startowała ze skalistego płaskowzgórza w dolinie rzeki Lukuga, w południowowschodniej części kraju. Próba wypadła pomyślnie. Pod tytułem: „A jednak ta żerdź lata" tygodnik „Der Stern" informował: „W Afryce po raz pierwszy po II wojnie światowej dokonano wystrzelenia wielkiej zachodnioniemieckiej rakiety". Powiedzmy raczej: po raz pierwszy po rakietach V-2...

Do 8 sierpnia br. to ryzykowne zachodnioniemieckie przedsięwzięcie kosmiczne nie wywołało w planie międzynarodowym żadnej reakcji. 8 sierpnia paryski tygodnik „Afrique-Asie" opublikował fotokopię kontraktu zawartego w 1975 roku między rządem Zairu i OTRAG. Warunki tego kontraktu są nad wyraz interesujące. OTRAG wydzierżawia do 2.000 roku ogromne terytorium o powierzchni 150 tysięcy km kwadratowych, co stanowi około 3/4 powierzchni RFN. Na wydzierżawionym terytorium kompania może przeprowadzać dowolne prace w zakresie infrastruktury i według własnego uznania decydować o losie miejscowej ludności. Opłata za tę koncesję, w wysokości 65 milionów marek rocznie, będzie realizowana dopiero po zawarciu porozumień handlowych. Nawet według najskromniejszych ocen, koszt programu wyniesie około 500 milionów marek. Prezes OTRAG, C. T. Kaiser, powiedział otwarcie, iż „kompania nie miała najmniejszych trudności ze znalezieniem zachodnioniemieckich kompanii, które by wyraziły gotowość udziału w tym programie, obliczonym na miliardowe zyski". Ale czy tylko zyski?

Nie ulega wątpliwości, że RFN bezceremonialnie stworzyła sobie w Zairze własny wojskowy bastion. OTRAG zbudowała tam rakietowy poligon. Jak informuje „Unsere Zeit" — projekt ten poparł rząd federalny. Teraz staje się zrozumiałe dlaczego wiosną tego roku, kiedy w prowincji Szaba wybuchło powstanie zagrażające reżimowi w Kinszasie, RFN zaproponowała niezwłoczną pomoc dla Mobutu. Nie przypadkiem też OTRAG stworzył poligon właśnie w Zairze. Z terytorium tego kraju rozbijackie organizacje, finansowane i przygotowywane przez amerykajskie służby specjalne, dokonują zbrojnych wypadów przeciwko Angoli. Nic dziwnego, że prezydent Angoli, A. Neto, uważa stworzenie poligonu OTRAG w Zairze za wydarzenie niebezpieczne dla Angoli. Nawet siły opozycyjne w samym Zairze uważają tę gigantyczną bazę rakietową za „bazę wypadową RPA i nieustanne zagrożenie dla Południowej Afryki".

Jak otwarcie powiedzieli liderzy OTRAG, RFN zamierza się stać w Afryce „mocarstwem rakietowym". Właśnie dlatego RFN, wbrew embargo na dostawy broni do RPA, dostarczyła Pretorii elektroniczny system „Adwokaat", dokumentację niezbędną do skonstruowania broni atomowej i inne materiały wojskowe...

(C)

ODROCZENIE PODRÓŻY CARTERA W NOWYM JORKU, WIEDNIU I BELGRADZIE – GŁOS POLSKI

Prezydent Carter odłożył swą listopadowo-grudniową podróż do 9 krajów. Nie przybędzie więc również w ustalonym terminie do Polski. Powody wyłożył w liście do Edwarda Gierka. Uważa, iż koniecznie powinien być w Stanach Zjednoczonych, wówczas kiedy Kongres dyskutować będzie jego program energetyczny.

Nieco później, na konferencji prasowej, stwierdził: „Nie znam ważniejszego problemu dla mnie jako prezydenta, z wyjątkiem spraw obrony naszego kraju i zagwarantowania jego bezpieczeństwa, niż zakończenie przez Kongres pomyślnie rocznej pracy nad ustawodawstwem precyzującym politykę energetyczną..."

W radiowo-telewizyjnym przemówieniu do narodu amerykańskiego Carter ostrzegł, że **kryzys energetyczny pogłębia się i konieczne są kroki oszczędnościowe.** „Naszym największym problemem — powiedział — jest po prostu to, że zużywamy za dużo i marnotrawimy za dużo... Ameryka zbliża się do tego, aby prawie połowa zużywanej przez nią ropy pochodziła z importu". Prezydent dodał, że Japonia, W. Brytania, Włochy i RFN znacznie zmniejszyły zakupy ropy, podczas gdy w USA wciąż one rosną.

Prasa amerykańska podkreśla, że odroczenie podróży Cartera, do której przywiązywał wielką wagę, świadczy, jak trudne są problemy wewnętrzne Stanów Zjednoczonych.

W kołach politycznych komentuje się nie tylko zwłokę w bezpośrednich kontaktach z przywódcami 9 krajów, ale **również list Cartera do Leonida Breżniewa,** którego treści nie ujawniono, chociaż wszyscy są przekonani, iż dotyczył rokowań SALT. Przypomina się słowa sekretarza generalnego KC KPZR o tym, że w ostatnim okresie w stosunkach między ZSRR i USA nastąpiły zmiany na lepsze oraz słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych, iż w ciągu kilku tygodni oczekuje zawarcia nowego porozumienia.

Czy ten optymizm jest uzasadniony — przekonamy się, a tymczasem zwróćmy uwagę na inne wydarzenia — w pierwszej kolejności na obrady Komitetu Politycznego XXXII sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, który **rozpatruje pakiet rezolucji rozbrojeniowych.** Dwie z nich, w przygotowaniu których brała udział Polska, zostały już przyjęte. Są to: rezolucja, zapoczątkowująca negocjacje na temat zapobieżenia wyścigowi zbrojeń na dnie mórz i oceanów oraz rezolucja o zakazie rozwijania i gromadzenia broni chemicznej. Obie wzbudziły duże zainteresowanie.

W Wiedniu, jak wiemy, toczą się rokowania w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Na kolejnym posiedzeniu **przedstawiciel Polski przedstawił walory propozycji krajów socjalistycznych.** Zmierzają one do symetrycznego, równoprocentowego obniżenia stanów osobowych wojsk, wniesienia przez każde państwo swego wkładu w proces redukcji, zmniejszenia liczby żołnierzy, uzbrojenia i sprzętu bojowego sił lądowych i powietrznych w Europie środkowej, włączając w to jednostki wyposażone w broń jądrową oraz do redukcji całymi jednostkami i oddziałami razem z ich uzbrojeniem. **Proponujemy zatem sprawiedliwe zasady i praktyczną metodę redukcji.**

Niestety — wciąż z Wiednia nie napływają informacje, które świadczyłyby o jednoznacznym postępie w rokowaniach.

Przenieśmy się teraz do Belgradu, gdzie dyskutują przedstawiciele 35 państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. **Delegacja Polski wystąpiła pod koniec ub. tygodnia z kolejną propozycją — wychowania dla pokoju.** Obejmuje ona wszystkie dziedziny oświaty. Zawiera m.in. postulaty: włączenia do procesu wychowania szkolnego i pozaszkolnego elementów umacniania sprawiedliwego pokoju, ułatwiania kontaktów i współpracy młodzieży, wspólnej weryfikacji podręczników i pomocy naukowych po to, aby ich treść służyła lepszemu porozumieniu między narodami.

O tym, jak w przyszłości układać się będą stosunki między państwami — zależeć będzie w dużym stopniu od tych, którzy dziś siedzą w ławach szkolnych. Dlatego powinni oni być wychowywani w duchu pokoju, przyjaźni i szacunku do wszystkich narodów. Propozycja nasza jest więc zwrócona ku perspektywie i ma praktycznie duże znaczenie.

Przegląd aktualiów był dziś w znacznym stopniu odzwierciedleniem polskiej aktywności na arenie międzynarodowej. Zakończmy go więc przypomnieniem, że **w dniach 21—25 listopada gościć będziemy kanclerza RFN — Helmuta Schmidta.** Pierwotnie wizyta ta miała nastąpić we wrześniu, ale na prośbę kanclerza i za naszą zgodą została przełożona.

W. SŁAWSKI

FILM

ŚMIERĆ PREZYDENTA

Historyk Andrzej Garlicki, przedstawiając w „Kulturze" (nr 43, 1977) historyczną panoramę wydarzeń, w którą wpisany jest film Jerzego Kawalerowicza, napisał znamienne słowa: „Śmierć prezydenta" jest dziełem sztuki i z faktu tego wynikają określone konsekwencje. Twórca sięgający po temat historyczny ma pełne prawo wyboru z przedstawianej rzeczywistości odpowiadających mu wątków, a tym samym artystycznego przetwarzania owej rzeczywistości. Tym różni się dzieło sztuki filmowej od filmu oświatowego".

Opinia ta, jeśli nadać jej wymiar uogólniający, może się wydać kontrowersyjna. Zgodzić się z nią należy, jeśli odniesiemy ją do tych dzieł sztuki, które realizując prawo artystycznego przetwarzania i interpretacji rzeczywistości, pozostają jednak w generaliach wierne jej prawdzie.

Te walory są na pewno cechami filmu, którego scenarzystami są Bolesław Michałek i Jerzy Kawalerowicz. Eksponuję tu rolę scenariusza, bo przy konwencji w filmie tym zastosowanej pełni on rolę fundamentalną. W licznych swych publicznych wystąpieniach autorzy scenariusza akcentują, że jego założeniem była pełna rekonstrukcja faktów. Jej podstawa zaś — dokumenty, pamiętniki i wspomnienia uczestników dramatycznych wydarzeń pierwszych lat niepodległości państwa polskiego. Zgodnie z oświadczeniem scenarzystów, nie ma też w tym filmie ani jednego zdania, które nie miałoby swego potwierdzenia w zachowanych zapisach.

Tym samym „Śmierć prezydenta" dopełnia bogaty pejzaż tak bardzo w ostatnich czasach preferowanej przez odbiorców sztuki faktu. Jej kariera ma zapewne swoje złożone społeczne i psychologiczne źródła. Intuicyjnie można chyba jednak upatrywać ich w pewnym znużeniu zarówno tradycją jak i współczesnością wielkiej sztuki artystycznej fikcji. Znamienne procesy szerokiej edukacji i wzrostu świadomości kulturalnej sprawiają, że ludzie są żądni wiedzy i faktów, które stałyby się podstawą dla własnej ich oceny i interpretacji. Oczywiście nurty owej sztuki faktu są różnorodne i „Śmierć prezydenta" sytuuje się w tym z nich, w którym fakty i towarzyszące im realia polityczne, społeczne i obyczajowe zostają podporządkowane określonej koncepcji artystycznej o nich relacji. Dlatego też „Śmierć prezydenta", poza swymi walorami poznawczymi, ideowymi i moralnymi, pozostaje autentycznym dziełem sztuki z wszystkimi przynależnymi faktowi temu konsekwencjami.

By osiągnąć taką siłę przekazu i oddziaływania, jaką w swej wielkiej lekcji historii zaprezentował Jerzy Kawalerowicz we współpracy ze scenarzystą Bolesławem Michałkiem, operatorami — Witoldem Sobocińskim i Jerzym Lukaszewiczem oraz plejadą znakomitych aktorów, trzeba było znaleźć w pierwszym rzędzie właściwy pomysł kompozycyjny i określoną poetykę narracyjną. Są to bowiem czynniki decydujące o generalnym kształcie dzieła, jego dramatycznym napięciu, zdolnym skupić uwagę odbiorcy na tym prawie 3-godzinnym widowisku filmowym.

Kluczem kompozycyjnym stało się wplecenie realizacji Eligiusza Niewiadomskiego w tok zdarzeń, których widz wydaje się bezpośrednim świadkiem. Sceny z Niewiadomskim są zapowiedzią zdarzeń, które nastąpią. Są one również ich politycznym komentarzem, jako że postać zabójcy prezydenta Narutowicza, nie tylko w samym filmie, jest symbolem źródeł tragedii, która zdarzyła się u progu niepodległości. Siła zaś narracji jest jej maksymalną prostotą, pokorą wobec faktów, które trzeba po prostu uczciwie i wiernie przekazać. Dramatyzm tkwi w samych zdarzeniach, w ścieraniu się sił politycznych, w zagrożeniu, które one oznaczają. Kilkakrotnie jednak reżyser filmu, znakomicie wyczuwający fale narastającego czy obniżającego się napięcia, stosuje pewne chwyty szczególne, a charakterystyczne dla sposobu filmowej narracji, by widz, nawet ten przyzwyczajony do konwencji telewizyjnych, nie odczuł znużenia. Myślę tu o tzw. kamerze subiektywnej, budującej pewne rany, dynamiczny ruch poszczególnych ujęć. Widać te metode szczególnie w sekwencji sejmowej. Pisze o tym tylko dlatego, by podkreślić właśnie artystyczne poszukiwania i zabiegi służące najwłaściwszemu przedstawieniu tego, co pozornie tylko jest spokojna, historyczna prezentacja faktów.

Inne twórcze działania autorów filmu są bardziej oczywiste. Film zachwyca bogactwem rekonstrukcji i inscenizacji scen kameralnych i zbiorowych, których przebieg posiada swe autentyczne, historyczne pierwowzory. Film imponuje też bogactwem szczegółów obyczajowych, tych widzianych w skali prywatnej i społeczno-politycznej. Uderza w filmie ogromna troska o taka konstrukcje psychofizyczna i charakteryzację postaci bohaterów wydarzeń, by przypominały autentyczne postacie historyczne. Sam dobór aktorów uznać już można za wielki artystyczny sukces.

Nawiązując do wypowiedzi Andrzeja Garlickiego przyznać trzeba, że autorskiego prawa do wyboru wątków i postaci oraz prawa do określonych akcentów inscenizacyjno-interpretacyjnych twórcy „Śmierci prezydenta" nie nadużyli. Przedstawili przypomniane z historii fakty, które pozostając jej lekcją, służyć mogą nadal dyskusji o patriotyzmie, o demokracji i moralności.

EWA NURCZYŃSKA

PODRÓŻE

Foto: W. Pasierbiak

STORY O LAS PALMASACH

Dalszy ciąg ze str. 1

* * *

Na długo zanim jeszcze w mieście pojawiły się pierwsze Las palmasy Robert zabrał mnie na zaplecze klubu i pokazał stojącą na stole pokaźnych rozmiarów kulę.

— To jest warte pół miliona — oświadczył.

Kula była pusta w środku, lekka, jaskrawo pomalowana, a gdy przez malenki otwór włożyło się do niej żarówkę pokój rozjaśniał się migocącym światłem.

— No i co dalej? — zapytałem.

— Nic. Na razie pijemy na konto pomysłu.

Gdy w dwa miesiące później ludzie wyrywali sobie z rąk piękne abażury do lamp — Las palmas — wszystko stało się oczywiste, choć ciągle jeszcze nie wiedziałem jak można było je wykonać bez żadnego ozebrowania w środku. Dopiero tu w Gdańsku zdradzili tajemnicę.

* * *

Kiedy obudziłem się rano nie wiedziałem gdzie jestem. Nad głową wisiała maskująca wojskowa siatka, na ścianie wycięty z dykty harcerski krzyż, a po kątach stały totemy z korzeni. Izba harcerska, do której trafiliśmy wczoraj w nocy — stała się naszą siedzibą na okres jarmarku. Robert dał komus „w łapę" za klucze i cichaczem, uważając żeby nas nikt nie zauważył wślizgiwaliśmy się tutaj każdego wieczora. Nie mogliśmy zapalać światła, ani korzystać z toalety. Można było jedynie wyciągnąć się w śpiworze na gołej podłodze i przespać do rana. Za parę groszy sześciu ludzi miało znakomitą kwaterę, o której trudno marzyć w Trójmieście, w szczycie sezonu.

Po całym dniu handlowania odpoczywaliśmy w „Ratuszowej", gdzie pianista grał na okrągło te same kawałki, a Robert opowiadał:

— Wzięło się to z tego, że z Grubym kupę czasu pracujemy razem. Razem robiliśmy kościoły. To była niezła historia... Malowaliśmy właśnie pracownię z Irkiem i Grubym, ale jakoś nam to nie szło i powoli przerodziło się w wielkie picie. W pewnym momencie zabrakło alkoholu i poszliśmy na dworzec. Tam spotkaliśmy takiego faceta, którego znałem piąte przez dziesiąte. I tamtego wieczoru zaproponował nam prace przy kościołach. Chodziło o takie różne dekoracyjne historie przy wędrującym obrazie. Facet zarabiał dziennie do 40 tysięcy, a my przy nim 1500. — plus wyżywienie i wóda, którą nam stawiał. Nie był chytry to trzeba przyznać. Aż pewnego dnia zaczęło się. Ja miałem za dużo forsy więc skoczyłem do Spatifku i w kanał. Rano już nie zgłosiłem się do pracy. Gruby tego dnia zachorował i też nie przyszedł. Biedny Irek, który sam obijał ołtarze, rzucił belę materiału w kałużę i poszedł sobie. W ten sposób skończyła się nasza robota przy kościołach. I wtedy właśnie zaczęliśmy myśleć o Las palmasach.

* * *

Jest godzina pierwsza w południe. Na jarmarku szczyt. Trudno się gdziekolwiek przecisnąć. Szwedzi kupują za korony Niemcy za marki. Idzie każda waluta — żeby tylko nikt nie widział. Niemcy wykupują tu cały stary Gdańsk. Idą kufle od piwa, stare sztychy, zegary, srebro, porcelana.

— Ile ta szabla?

— Pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy! Za co?!

— Tu się nie płaci za coś, tu się płaci za czas, droga pani!

Naprzeciwko mnie siedzi śliczna dziewczyna, robi za wróżkę, taka gdańska Kasandara...

— Horoskop na całe życie!! Dla każdego inny!! Na całe życie! Nie według znaków zodiaku, ale według daty urodzenia. Na całe życie!!! — krzyczy ciągle to samo. Przed nią duża kolorowa plansza: W którym roku się urodziłeś? Biegnij w prawo do rubryki miesiąca. Jaka tam cyfra? Dodaj ją do dnia swoich urodzin. Otrzymaną liczbę odszukaj w rubryce dni. Czy już wiesz w jakim dniu się urodziłeś?" Już wiem. 23 marca w środę. Kupuję teraz horoskop za 20 złotych gdzie stoi czarno na białym: „Lubi marzyć, układać projekty, zbierać informacje. Praca ciężka, pełna wysiłku łatwo go zniechęca... Osoby urodzone od północy do wschodu słońca, zbliżają się już do kresu swojego życia". Z przykrością konstatuję, fakt, że urodziłem się o trzeciej nad ranem, ile mi jeszcze zostało? Nie ma niestety już nic więcej na ten temat. Tylko gruby łysawy facet wciąż uzupełnia brakujące koperty z ludzkim losem, a dziewczyna krzyczy swoje: Horoskopy na całe życie!!!... Dla każdego inny!

* * *

Gruby złapał ten pomysł. Myśmy mieli zawsze w pracowni blazy od piłek, one są szalenie dekoracyjne same w sobie. Gruby chciał uzyskać formę. Obkładał je mokrymi szmatami, gazą, bandażem, potem utwardzał to różnymi klejami, krochmalem, ale nic z tego nie wychodziło. Dopiero potem wpadliśmy na Vikol i zwykłą bawełnianą nitkę — to było duże odkrycie. Brało się taką blazę, owijało dość gęsto białą sześćdziesiątką a potem powlekało Vikolem. Po wyschnięciu z blazy wypuszczaliśmy powietrze i wyciągaliśmy ją ze środka. Pozostawała idealnie gładka i lekka kula. Teraz już tylko malować i do klienta. Zaczęliśmy kombinować jakby tu fabrykę tego uruchomić. Powstawały różne usprawnienia. Najpierw to szpulki podczas nawijania plątały się w misce. Potem nakładaliśmy je na gwoździe powbijane w deskę, jedną ręką można było ciągnąć cztery do pięciu nitek. Na jeden Las palmas wychodziło pięć szpulek. Więc cały cykl pracy skróciliśmy pięciokrotnie. Usprawniliśmy też malowanie. Na początku pryskaliśmy to elektroluxem, potem moczyliśmy całe w dużych miednicach. Doszło do tego, że Las palmas powstawał w 15 minut. Koszt własny 30 zł, cena dla klienta w zależności od rozmiarów — 250—300 zł. Był problem z transportem na większe odległości, zabierało to przecież od cholery miejsca. Po wielu kombinacjach wpadliśmy na dwa rozwiązania. Albo gotowego Las palmasa cięło się na pół, wkładało jeden w drugi i na miejscu docelowym sklejało, albo jak był jeszcze wilgotny wgniatało się go do środka, a potem dopiero jak było potrzeba wyciągało z powrotem i malowało. Nikt nie mógł rozszyfrować jak można przewieźć pociągiem 30 sztuk tego. Mieliśmy już wszystko co było potrzebne aby uruchomić produkcję, ale brakowało jeszcze idei. Więc piliśmy na koszt pomysłu, ciesząc się nim i czekając.

* * *

Jest godzina 15.00. Naprzeciwko gdańskiego Ratusza zbiegowisko. W środku dwóch siedzących na krzesełkach mężczyzn — malarz i model. Portret wykonany pastelami opatrzony jest podpisem „Andrzej 77" i kosztuje 200 zł. Czas wykonania 20 min. Rzucam okiem na zegarek, podziwiam odwagę i pewność ręki mistrza. Dziesiątki oczu wpatrują się w każdy ruch kredki na kartonie, brak fotograficznego podobieństwa byłby sromotną i ostateczną klęską. Artysta poddaje tu swój kunszt najwyższej próbie — publicznej natychmiastowej ocenie. Ale oto model wygląda na portrecie jak żywy. „Andrzej 77" mruży oczy i uśmiecha się. Następny klient już siada na krzesełku. Dawno już minęło 20 minut. Ale kto patrzy na zegarek, kiedy powstaje dzieło sztuki.

Z boku spory szyld: „Uwaga! Pióra egzotycznych ptaków!" Cena od 40 do 50 zł za sztukę. Faktycznie, leży tego ze dwa tuziny. Barwione farbą pióra perliczek, indyków i zwyczajnych kogutów. Ludzie kupują mit rajskiego ptaka. Bo sprzedająca dziewczyna robi do każdego oko, a dzieciaki aż piszczą za kolorowym piórkiem.

Na kamiennych schodkach stoi zwykła biurowa lampa, a pod nią na kawałku tektury niezwykły cennik: 200 zł — skreślone, 150 zł — skreślone, 100 zł — i napis „Jak boga kocham, już taniej nie sprzedam!" Obok właściciel z kamienną twarzą Bustera Keatona. Ludzie patrzą i uśmiechają się, a on niewzruszony dalej gra swój spektakl za 100 zł.

* * *

Były akurat „Konfrontacje". Leciała „Ziemia obiecana" Wajdy. Kupiliśmy sprawę od razu. Tego samego dnia zobaczyłem film jeszcze dwukrotnie. Bawełna. Bawełna leci. My też w bawełnie robimy. Więc zaczęliśmy się trzymać scenariusza. Nabyliśmy mapę i podzieliliśmy miasto na sektory — żeby się nie dublować. Przy naszych skłonnościach do dbania o szczegóły wszystko zostało ponazywane. Blaza była BI, nitka NI itd. Powstał dział zaopatrzenia, dział sprzedaży. Każdą wpadkę na mieście uznawaliśmy za krach na giełdzie. Wypłacaliśmy ludziom pieniądze według naszego uznania zmniejszając lub podnosząc stawki. Nie było picia i zaczęliśmy się porządnie ubierać. Punktualność i dyscyplina. Codziennie narady produkcyjne zaczynaliśmy o godz. 11, na dziewczyny chodziliśmy po południu dopiero. Wszystko podporządkowaliśmy biznesowi. Byliśmy we dwójkę z Grubym, brakowało więc Żyda, ale według naszego mniemania nie chodziło o to żeby go dokooptować na trzeciego, ale żeby go wyrolować w interesie. Pojechaliśmy więc do L., który także robił Las palmasy. (W międzyczasie, któryś z chłopaków puścił farbę i zaczęły się mnożyć konkurencyjne firmy chałupnicze). Pożyczyliśmy od niego trochę gotóweczki. Po czym przyszliśmy drugi raz i postrzelaliśmy mu wszystkie blazy z wiatrówki. Powiedzieliśmy, że żadnych pieniędzy nie pożyczaliśmy, a w ogóle jak postawi koniak to będziemy kwita. Zupełnie zbaraniał. Nie kontaktował co jest grane.

Długo nie było kierownika działu sprzedaży, aż przyjeżdża Grzesiu i jak zwykle zupełnie bez forsy. Zawsze miał poprzewracane w głowie. Co jakiś czas po prostu znikał. Nie było go tydzień, dwa, podobno odwiedzał swoich braci Hipi w Krakowie czy w Warszawie. Po przyjeździe od nich to był inny człowiek. Nie pił, nie palił, chodził po ulicach skupiony, gapiąc się ciągle na słońce... Jak go spotkaliśmy to mówimy: „Grzesiu możemy cię przyjąć do spółki, ale twój udział będzie taki a taki — my już kwitnąco w interesie więc dyktujemy warunki. Ale Grzesiu natychmiast chwyta styl: Jak już mamy robić biznes, to każdy musi zarobić, ja też. Albo równo, albo wcale. Ale Grzesiu nie ma szans na zrobienie nigdzie czegokolwiek, tak że nasza propozycja była nie do odrzucenia. Natomiast on się zaparł i nie! Po jakimś czasie poszedł jednak po rozum do głowy i zgodził się na nasze warunki. Ale my jesteśmy kapitaliści, nie? Wczuwamy się w rolę i mówimy: Jeżeli wtedy nie chciałeś się zgodzić to teraz dostaniesz znacznie gorsze warunki. Jak przyjdziesz trzeci raz to dostaniesz jeszcze gorsze. Zgodził się i w ten sposób mieliśmy w końcu kierownika działu sprzedaży. Zresztą nie na długo, bo Grzesiu, któregoś dnia za wszystkie sprzedane Las palmasy upił się i musieliśmy go wyrzucić z roboty.

* * *

Godzina 17. Oddzielna kasta handlarzy to dostarczyciele namiastek „Zachodu" — jego autentycznych wytworów i sfałszowanych atrap. Ich stoiska i stragany rozrzucone są po całym jarmarku. Podstawowy towar to dżins, z którego można zrobić wszystko; spodnie, płaszcze, kurtki, czapki, koszule, torby na ramię i portmonetki na szyję. Jest blue jeans, white jeans. Są trepy obijane dżinsem, skarpetki i paski z napisem Jeans. Są wciskane automatycznie guziki, specjalne klamerki oraz odpowiednie naszywki, z cyklu Wrangler, Lewis, West Point, Dunlop, czy Harley. Na jednym ze stoisk spotkałem dziwne amulety. Na długim rzemyku w drewnianej oprawie kawałek przetartego dżinsu, w innych wciskany guzik na kawałku dżinsu lub rozpięty ekspres na kawałku dżinsu. Obsesja? Może, ale szło to jak woda po 150 zł za sztukę. Na rozłożonych na ziemi gazetach obok siebie płyty Beatlesów i kalkulatory, plakaty młodzieżowych zespołów, i kolorowe magazyny, prospekty samochodowych firm i karty porno.

Z trójwymiarowych pocztówek uśmiechają się rozebrane dziewczyny o wszystkich kolorach skóry. Komercja i popłuczyny po kontekstacji plon wyjazdów zagranicznych i snów o Zachodzie. Wszystko to leży teraz na gazecie mamiąc przechodnia psychodelicznymi kolorami. Jeden z wyrostków sprzedaje oryginalne plakietki — serce obszyte czerwonymi nićmi, a w środku napis: Polski Fiat?

* * *

Nie można w następnym roku powtarzać tego samego pomysłu, taka jest zasada. Tu potrzeba facetów z fantazją i wyobraźnią. Dlatego nie pracujemy z prywaciarzami. Oni inaczej kalkulują i inaczej myślą. Przykład: facet, który robił z nami Las palmasy spotkał mnie w knajpie zimą i mówi: Masz forsę? Ja mówię: Nie mam. — Tysiąc ci wystarczy?

— Karol daj spokój.

— Dwa tysiące, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem — bierz! Oddasz jak będziesz miał. Jak nie będziesz miał to nie oddawaj. Dzięki tobie nauczyłem się zarabiać pieniądze.

To jest facet, który prowadził prywatny interes przez 6 czy 7 lat. Polega to wszystko na rzutkości, na tym, że się nie boisz tracić szmalu, że się nie boisz ryzykować wszystkich pieniędzy, jakie masz. Prywaciarz ciągle liczy, ciągle kalkuluje. Trafia interes i trzyma go w łapie i nie popuści. Karol robił forsę w Międzyzdrojach i my tam byliśmy ze swoim towarem. On zarabiał 10 tys. a my 30. Ale on z tymi 10 zwijał się do domu, robił kolację i szedł spać, a my wieczorkiem do klubu i przepijaliśmy pięć, sześć tysięcy. Mimo to nam się to opłacało bo przez to poznawaliśmy masę ludzi, którzy nam pomagali potem sprzedawać, nie biorąc za to ani grosza, ot tak z przyjaźni, albo dla zabawy. Karol mnie się pyta: Po cholerę stawiasz ludziom. Ale ja potem przyjeżdżam do Sopotu, czy gdzie indziej i sami znajomi, którzy mi kupę rzeczy zawsze pozałatwiają za frajer. Tak że tracisz, ale jednocześnie zarabiasz. Prywaciarz nie umie połączyć zabawy i interesu. A interes, żeby był dobrym interesem, musi być jednocześnie zabawą. Tu trzeba sobie dorobić albo scenariusz filmowy, albo jakąś inną historię. Interes to magia. Zupełnie inaczej się czujesz jak wydajesz stówy, jak dwuzłotówki.

Dlaczego nazwaliśmy je Las palmas? To proste. Las palmas to namiastka światowego życia. No, nie każdy może pojechać do Las Palmas. Ale każdy może mieć namiastkę tej kuli słońca obojętne w jakich ścianach. High life za trzy stówy, no nie? A poza tym niezła nazwa, wszystkim się podobało...

MAREK MILLER

CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA

Jak zwykle, pod koniec listopada, również i w tym roku będzie trwała dekada książki społeczno-politycznej pod hasłem: „CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA". Hasło to zyskało już sobie uznanie wśród czytelników, którzy w tym czasie tłumnie odwiedzają księgarnie, aby zaopatrzyć się w interesujące ich publikacje. Wiadomo bowiem, że w tym czasie wydawnictwa wypuszczają na rynek wartościowe pozycje, których lektura pozwala zrozumieć współczesny świat i zachodzące w nim procesy.

Tegoroczna dekada książki społeczno-politycznej odbywa się w okresie obchodów 60-lecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, stąd też i na półkach księgarskich ukazało się wiele publikacji traktujących o Rewolucji i jej wpływie na losy świata.

Z zestawu najnowszych publikacji wybraliśmy dziesięć tytułów obejmujących różne dziedziny życia, które są interesującymi propozycjami dla czytelników reprezentujących różne grupy społeczne i środowiska. Znajdą tu dla siebie książki maturzyści, działacze gospodarczy, społeczni i polityczni, ludzie interesujący się polityką, historią i aktualnymi sprawami naszego kraju.

Nasza propozycja, skromna ilościowo, stanowić ma zachętę dla czytelnika, aby samodzielnie poszukiwał dalej książek, które go interesują.

„TRZECI KOSZYK"

Termin „trzeci koszyk" powstał w toku przygotowań Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie i oznacza zespół problemów i spraw związanych z wymianą kultury, informacji i rozwojem turystyki. Pojęcie „trzeci koszyk" nie tak dawno jeszcze było tylko terminem roboczym, a od pewnego czasu nabrało zupełnie innego znaczenia. Stało się synonimem konfrontacji ideologicznej dwu systemów społeczno-politycznych.

Na realizację postanowień KBWE i zawartych w Akcie Końcowym, podpisanym w Helsinkach, a dotyczącym spraw stanowiących treść problemów objętych „trzecim koszykiem", można patrzeć z różnych punktów widzenia. Inaczej patrzeć na nie będzie dyplomata, polityk, działacz kulturalny, naukowiec, a inaczej widzi je dziennikarz. Eugeniusz Guz — autor dziewięć tysięcy siedemset trzydziestej dziewiątej publikacji „Książki i Wiedzy" noszącej tytuł „Trzeci koszyk" — na problemy „trzeciego koszyka" patrzy przede wszystkim jako korespondent zagraniczny, od wielu lat pracujący w RFN.

Książka Eugeniusza Guza pt. „Trzeci koszyk" jest wynikiem wnikliwych obserwacji dokonanych w RFN na temat rozwoju wymiany kulturalnej, informacji i turystyki. Autor operuje licznymi porównaniami i faktami, pokazując, że zarzuty stawiane nam przez prasę burżuazyjną na temat niepełnej realizacji postanowień „trzeciego koszyka" są nieuzasadnione. Książka Eugeniusza Guza odpowiada na społeczne zainteresowanie rozwojem współpracy międzynarodowej i ukazała się w okresie, kiedy w Belgradzie ocenia się przebieg realizacji postanowień Aktu Końcowego KBWE.

„LENINGRAD WALCZY"

Szeroko są znane dzieje blokady Leningradu przez wojska hitlerowskie Trzy lata wojska radzieckie broniły okrążonego i odciętego miasta, w którym panował głód, a ludzie marli z braku jedzenia, opału i chorób. Ginęli także od pocisków i bomb. Do otoczonego miasta można było dostarczać amunicję i żywność, broń i lekarstwa — albo drogą powietrzną, albo przez jezioro Ładoga.

Na temat bohaterskiej obrony Leningradu napisano wiele interesujących publikacji, a ostatnio „Książka i Wiedza" wydała trzecią część dziennika frontowego Pawła Łuknickiego pt. „Leningrad walczy". Książkę tę przełożyła na język polski Zofia Łapicka.

Ostatnia część dziennika Pawła Łuknickiego obejmuje okres od czerwca 1943 roku do sierpnia 1944 roku, a więc okres, w którym blokada została przełamana, a następnie ta część Związku Radzieckiego wyzwolona spod niemieckiej okupacji.

Paweł Łuknicki daje szczegółowy zapis wydarzeń, których był uczestnikiem i świadkiem, wzbogacając je o wiadomości ogólniejsze i własne refleksje. Już po wojnie starał się odnaleźć tych, z którymi połączyły go losy blokady, z którymi zaprzyjaźnił się i o których obszernie pisze w swoich notatkach.

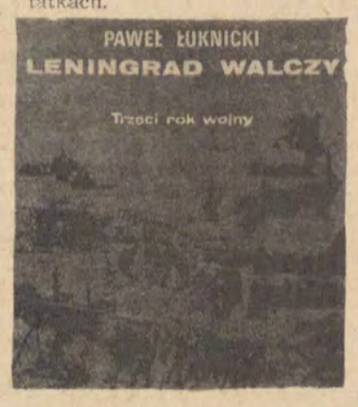

„HISTORIA DIALEKTYKI MARKSISTOWSKIEJ"

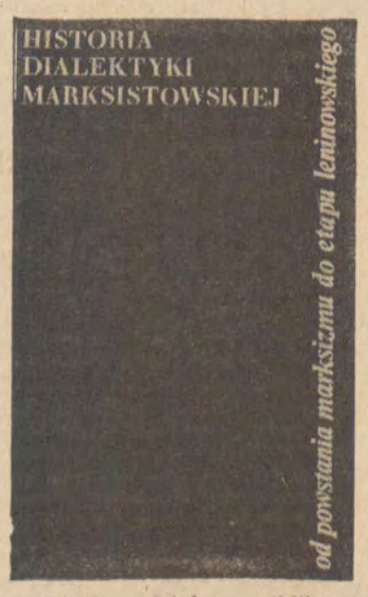

Pełny tytuł publikacji „Książki i Wiedzy" brzmi: „Historia dialektyki marksistowskiej Od powstania marksizmu do etapu leninowskiego". Jest to praca zbiorowa, która ukazała się w Związku Radzieckim a jej tłumaczenia z języka rosyjskiego dokonał Sławomir Jędrzejewski

Książka poświęcona jest historii dialektyki marksistowskiej. Autorzy skoncentrowali się na badaniu procesu tworzenia i rozwijania przez Marksa i Engelsa dialektycznej metody naukowej Postawili oni sobie zadanie przeanalizowania procesu, w toku którego, wychodząc z krytycznej recepcji przedmarksowskiej filozofii, twórcy marksizmu opracowali teorię dialektyki materialistycznej. W pierwszej części książki omawia się proces formowania się podstawowych zasad dialektyki. W drugiej natomiast zawarta jest analiza dialektyki na przykładzie „Kapitału" Karola Marksa. Jest to przykład twórczego zastosowania dialektyki do analizy kapitalizmu. Część trzecia stanowi omówienie roli, jaką w tworzeniu metody dialektycznej odegrały prace Fryderyka Engelsa. Część czwartą i ostatnią stanowi omówienie prac wybitnych towarzyszy i uczniów Karola Marksa i Fryderyka Engelsa.

Zadaniem tej książki jest pokazanie, że dzięki marksizmowi metoda filozoficzna osiągnęła swą najwyższą formę, odpowiadającą realnej rzeczywistości i obiektywnym prawom jej rozwoju.

„ODDZIAŁ MAJORA „HUBALA"

O majorze „Hubalu" — Henryku Dobrzańskim napisano już sporo, a postać tę spopularyzował również film. Marek Szymański, w książce pt. „Oddział majora „Hubala", wydanej w Bibliotece Pamięci Pokoleń przez „Książkę i Wiedzę", jeszcze raz powraca do tego tematu. Pokazuje on nie tylko dzieje oddziału pierwszego polskiego partyzanta, który we wrześniu 1939 roku nie zrzucił munduru i postanowił walczyć dalej, ale także warunki, w jakich przyszło temu oddziałowi walczyć.

Wkrótce po klęsce wrześniowej zaczęto organizować działalność konspiracyjną, skierowaną przeciwko hitlerowskiemu okupantowi. Major Henryk Dobrzański i jego Hubalczycy nie bardzo mieścili się w tej działalności konspiracyjnej. Walka Hubalczyków zaskoczyła zarówno okupanta jak i powstające polskie organizacje podziemne.

Marek Szymański, były oficer oddziału majora „Hubala", pokazał historię „Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego" nie tylko w świetle przeżyć własnych oraz innych Hubalczyków, ale także w oparciu o dokumenty pochodzące z polskich i niemieckich archiwów. Jego książka to wyczerpujące studium historii tego oddziału.

„PRZYWRÓCENI ŻYCIU"

Edmund Żurek jest reporterem zajmującym się problematyką społeczno-polityczną. W swoich reportażach wiele uwagi poświęca on ludziom i zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Książka „Przywróceni życiu" — wydana przez wydawnictwo MON — w całości poświęcona jest tym ostatnim sprawom. Jest to trzecia książka Edmunda Żurka, po wydanych w 1973 roku zbiorach reportaży: „Najtrudniej na ziemi" i „Gorgonowa i inni".

Na tom „Przywróceni życiu" składa się 21 reportaży poświęconych ludziom, którzy walczyli z okupantem i którym, mimo prześladowań i aresztowań, udało się ujść śmierci. Są to w większości opowieści o ludziach, którzy stali przed plutonem egzekucyjnym i mimo odniesionych ran, cudownie ocaleli.

W reportażach Edmunda Żurka powraca całe okrucieństwo czasów II wojny światowej. Relacje ludzi, którzy przeżyli własną śmierć są wstrząsającym świadectwem tamtych tragicznych czasów. Autor przez wiele lat szukał bohaterów swoich reportaży, miesiącami gromadząc niezbędną dokumentację dla poszczególnych wydarzeń. Dramatyczne dzieje swoich bohaterów przedstawia

nie raz w sposób lapidarny, co jeszcze bardziej podkreśla tragizm czasu wojny. Jest to książka, którą należy przeczytać.

„POLEMIKI I DOKUMENTACJE"

Książka „Polemiki i dokumentacje" stanowi wybór artykułów publikowanych w „Trybunie Ludu" w latach 1976—1977. Wyboru tego dokonał Mirosław Kowalewski z myślą o tych wszystkich czytelnikach, którzy interesują się żywotnymi sprawami kraju i chcieliby znaleźć odpowiedź na często stawiane pytanie: dlaczego?

Są więc w tej publikacji „Książki i Wiedzy" artykuły poświęcone aktualnym problemom gospodarki surowcami, rolnictwu, polityce płac, programom partii uchwalonym na VI i VII Zjeździe, a także wyjaśniające istotę dokonującego się obecnie manewru gospodarczego. Zebrano je w kilku działach, których tytuły orientują czytelnika w problematyce wybranych publikacji i dzięki temu ułatwiają korzystanie z tej książki. Są tu też wywiady przeprowadzone przez dziennikarzy „Trybuny Ludu" ze specjalistami różnych dziedzin gospodarki i naukowcami.

„Polemiki i dokumentacje" to książka niewątpliwie potrzebna, gdyż podejmuje sprawy żywo wszystkich interesujące, dając tym możliwość znalezienia odpowiedzi na wiele pytań i wątpliwości nurtujących nasze społeczeństwo.

„PRZEWODNIK MATURZYSTY"

„Przewodnik maturzysty" jest pierwszą tego typu publikacją przeznaczoną — jak to wynika z nazwy — dla uczniów kończących szkołę średnią. Jest to książka, w której zebrano podstawową wiedzę z zakresu programu szkoły średniej, wzbogacając ją licznymi uwagami i wskazówkami metodycznymi.

Zespół autorów, przygotowując tę publikację, postawił sobie za cel nie tylko stworzenie czegoś w rodzaju encyklopedii na poziomie szkoły średniej, ale pobudzenie uczniów szkół średnich do samodzielnej nauki, do pogłębiania i poszerzania wiedzy.

Zgromadzony materiał podzielono według przedmiotów, jakie obowiązują w szkole średniej, starając się jednak nie tyle zastąpić podręcznik, co ułatwić korzystanie z niego.

W „Poradniku maturzysty" znalazł się też rozdział zatytułowany „Jak poznać i kształtować siebie?" Czytając ten rozdział przyszły maturzysta może dowiedzieć się, czy jest inteligentny, jak można poznać własną inteligencję i własne zdolności, jak je rozwijać, jak kształtować własną osobowość. W książce są też informacje o studiach, a także bogata bibliografia, która pozwoli przyszłym maturzystom poszerzyć ich wiedzę.

„PODSTAWY MARKSISTOWSKIEGO ZARZĄDZANIA I KIEROWANIA"

Dziewięć tysięcy sześćset trzydziestą drugą swoją publikację „Książka i Wiedza" poświęciła omówieniu podstaw marksistowskiego zarządzania i kierowania. Książka ukazała się pod redakcją Stanisława Zalewskiego. Przeznaczona jest ona zarówno dla działaczy gospodarczych, jak i tych wszystkich, którzy studiują problemy zarządzania naszą gospodarką.

W rozdziale pierwszym autorzy omawiają istotę i cele kierowania socjalistyczną gospodarką narodową. Szczegółowo omawiają kierowniczą rolę partii oraz zadania i funkcje rządu. Wyjaśniają sens centralizmu demokratycznego oraz zasady planowania.

W następnych rozdziałach autorzy koncentrują swoją uwagę na demokracji socjalistycznej, będącej formą udziału mas pracujących w zarządzaniu gospodarką narodową. Wyjaśniają różnicę między marksistowską a burżuazyjnymi teoriami organizacji kierowania. Omawiają znaczenie postępu techniczno-organizacyjnego dla rozwoju zasad organizacji kierowania, a także mówią o sposobach i metodach doskonalenia organizacji i zarządzania wynikających z uchwał VI i VII Zjazdu PZPR

„WIELKIE ORGANIZACJE GOSPODARCZE"

W procesie doskonalenia gospodarki poważna rola przypada wielkim organizacjom gospodarczym. Wprowadzono je przed kilku laty, a praktyka ich funkcjonowania pozwoliła na dokonanie niezbędnych korekt i uzupełnień Dla dalszego rozwoju WOG niezbędne jest poznanie wzajemnych doświadczeń. Dla ułatwienia tego Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne opublikowało książkę — pod redakcją Krystyny Cholewickiej-Goździk — będącą zbiorem prac stanowiących podsumowanie doświadczeń w działalności WOG z lat 1973—1975.

W książce tej, noszącej tytuł „Wielkie Organizacje Gospodarcze", obok opracowań omawiających doświadczenia poszczególnych przemysłów i przedsiębiorstw znalazły się też prace mające charakter teoretycznych uogólnień, jak choćby „Teoria funkcjonowania a jednostki inicjujące" Jana Mujżela czy też „Zasady wynagradzania w jednostkach inicjujących" Andrzeja Szareka.

„Wielkie Organizacje Gospodarcze" Państwowego Wydawnictwa Ekonomicznego stanowią publikację, która z pewnością zainteresuje działaczy gospodarczych zajmujących się tą problematyką, jak również ekonomistów studiujących zagadnienia WOG.

„ORGANIZACJA POLITYCZNA SPOŁECZEŃSTWA SOCJALISTYCZNEGO W POLSCE"

„Książka i Wiedza" wydała pod redakcją Adolfa Dobieszewskiego zbiór opracowań poświęcony organizacji politycznej społeczeństwa socjalistycznego w Polsce.

Część pierwsza książki przedstawia ogólną charakterystykę społeczeństwa socjalistycznego w Polsce prezentując podstawowe zasady organizacji społecznej i jej przeobrażenia oraz rolę i miejsce Polski we wspólnocie socjalistycznej. Część druga poświęcona została Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz stronnictwom politycznym i ich roli w życiu społecznym kraju Część trzecia natomiast obejmuje te wszystkie zagadnienia, które wiążą się z państwem socjalistycznym i funkcjami, jakie sprawuje w organizacji politycznej społeczeństwa socjalistycznego. W części tej mowa jest również o prawach i obowiązkach obywatela a także o strukturze i funkcjonowaniu organów władzy i administracji państwowej W części czwartej i ostatniej omówiono rolę i zadania organizacji społecznych: związków zawodowych, organizacji młodzieżowych, różnych form samorządu i Frontu Jedności Narodu. Celem tej publikacji jest ułatwienie czytelnikowi zrozumienia skomplikowanych problemów funkcjonowania organizacji politycznych w społeczeństwie socjalistycznym.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

JARMARK ROZRYWKI

„Kolorowe jarmarki" Laskowskiego przebojem zdobyły Polskę i zaraz Zjednoczone Zespoły Rozrywkowe poszły za ciosem — zorganizowały w Łodzi „Kolorowy jarmark rozrywki". I tu „zetpeerom" chwała za inicjatywę.

Niestety, w tym miejscu kończy się sława i chwała „zetpeerów".

Jeszcze tylko inicjatywy wystarczyło na propagandę, na realizację obietnic zabrakło sił i środków. W połowie października prasa doniosła: **„Takiej imprezy nigdy jeszcze dotąd nie organizowano (...) Polska rewia konna zaprezentuje swoistą lekcję historii: będzie husaria, turnieje rycerskie, ułani a także wyścigi greckich kwadryg".**

Natomiast p. **Zbigniew Prus-Niewiadomski** pisze w barwnym folderze pt. „Na koń": **„W tej szczególnej rewii wystąpi ponad sześćdziesiąt koni wraz z pięćdziesięcioma jeźdźcami (...) Przekonaniem autorów widowiska jest, że obcowanie z tym pięknym zwierzęciem, czy w formie uprawiania sportów konnych, czy też tylko w formie oglądania widowiska konnego jest budujące, bo koń każe się traktować kulturalnie i szlachetnie".** Czyli — nie bić konia!

Już tylko zręczna stylistyka tego tekstu świadczy, że nie Bolesław Prus był tych słów autorem, lecz Prus-Niewiadomski.

Ale pal licho stylistykę! Na początku widowiska było może 300, może 400 widzów. Po pół godzinie pozostało... około pięćdziesięciu. Już to samo wystarczy za recenzję. Miał być na przykład „wyścig kwadryg". Była.. jedna kwadryga. Ścigała się raczej indywidualnie na czas.

W sobotę — z proponowanych dziesiątków kiermaszy, stoisk i barów na wolnym powietrzu było czynne: 1 (słownie jeden) barobus i 1 (słownie jedno) stoisko z owocami.

Również w sobotę z czterech „Melexów", które miały być atrakcją dla dzieci — czynne były dwa. Z atrakcji dla dorosłych — pawilon gastronomiczny z napisem „Osobom nietrzeźwym alkoholu nie podajemy". Wchodzę: w środku gęsto od dymu i większość obecnych kompletnie zalana. Widocznie weszli trzeźwi i upili się na miejscu. Jak jarmark to jarmark!

W sumie rzecz była dość smutnawa, choć ożywiona słuszną ideą i poparta szumną propagandą. Okazuje się — nie po raz pierwszy — że nie wystarcza dobry pomysł i szumna reklama.

Kolorowy Jarmark Rozrywki byłby w Łodzi imprezą „bombową", ale w lipcu, czerwcu, sierpniu. Nie w październiku. A tak w ogóle, to warto się trzymać zasady spełniania obietnic.

Pamiętam, dwa lata temu, konferencję prasową nowej dyrekcji Estrady Łódzkiej. Obiecywano wówczas koncerty zespołów **„The Mud", „Procol Harum"**, występy **Sachy Distela** itp. Wszyscy obecni uśmiechali się ironicznie: „obiecanki — cacanki".

No i co? Pamiętamy, że słowa dotrzymano. Był w Łodzi **„The Mud", „Please", „Procol Harum", Sacha Distel...** Choć plany wszystkim wydawały się niemożliwe do zrealizowania — jednak je zrealizowano.

Niech się więc „zetpeery" uczą od doświadczonych kolegów. Mniej szumu, mniej płótna na transparenty, którymi obwieszono całe miasto — więcej realizmu.

WIDOK

Foto: W. Parys

LEWYM OKIEM

MUCHOMORKI ZA SZYBĄ

Za moich warszawskich dziecinnych lat zima zaczynała się w dniu, kiedy przynosiło się z „góry" okna i balkonowe drzwi. „Góra" to był strych, poddasze czteropiętrowej kamienicy, pokryte zawsze grubą warstwą kurzu, pachnące tym kurzem i suszącą się bielizną. O takich strychach kiedyś też chciałbym napisać, tymczasem zostańmy przy oknach.

Niedawno — bo trzydzieści lat temu — wprowadzono do powszechnego użytku szwedzki a właściwie szatański wynalazek okien o podwójnych szybach, ujętych cieniutkimi ramami i spiętych wymyślną śrubą. Wynalazek jest szwedzki, ale szyby, ramy i śruby — tutejsze. Ani skręcić, ani rozkręcić nie można tego w żaden sposób, dzięki czemu wielu pełnych prywatnej inicjatywy specjalistów żyje właśnie z tego, że przepiłowuje śruby szwedzkich okien, likwiduje cały sens skandynawskiego usprawnienia, psuje to co budowniczy zainstalował świadomie, celowo i zgodnie z kosztorysem, zastępując to wszystko bardziej wstecznym, prymitywnym urządzeniem, które nareszcie pozwala rozdzielić obie warstwy okna i umyć ich wewnętrzne powierzchnie. Te dwie warstwy ledwie że dają się rozchylić. Dawniej natomiast okna były podwójne dosłownie, to znaczy każde z nich wisiało na własnych zawiasach, zamykało się na własne klamki i zasuwki, a przestrzeń pomiędzy nimi nie była szparką pełną zdechłych muszek owocowych, tylko prawdziwą przestrzenią; na parapecie pomiędzy oknami kładło się grubą warstwę mchu lub trocin, sterczały w tym mchu sztuczne muchomorki, a w trocinach lęgły się żwawe, żółte wije krocionogi. Wczesną wiosną zdejmowało się z zawiasów to, co wisiało od strony mieszkania, i wynosiło na strych a późną jesienią przynosiło i zawieszało z powrotem. Mieszkanie stawało się większe, głosy z ulicy i drapanie gołębi po zewnętrznej blasze o ileż wyraźniejsze — i to była wiosna, albo też pokój cały malał, kurczył się jak my wszyscy, kulił w sobie, później także mroczniał od zasnutych mrozem szyb zewnętrznych — i to była zima.

Od tego momentu otwierało się już tylko lufcik w górnym rogu okna, wchodząc przy tym najpierw na krzesło, potem na szeroki parapet okienny, na którym całymi latami sterczały w donicach obojętne na wszystko żelazne liście. Przez lufcik wpadało powietrze, ale nie za dużo, bo szkoda było utracić ciepło — węgiel kosztował, za samo przyniesienie na czwartaka trzydziestu kilogramów w połatanym szmatami koszu brał głupkowaty Polek dziesięć groszy. W naszych szwedzkich oknach lufcików nie ma wcale i spokój: w ogóle nie potrzeba otwierać, a już jak się to zrobi — z tropikalnej atmosfery fundowanej nam przez elektrociepłownię przechodzimy momentalnie w pobliże zera, palma więdnie, grypa zjawia się „sama nie wiem skąd".

W ramę okienną wkręcone były mocne uchwyty do ochronnego pasa. Policjant patrolujący ulicę zadzierał wysoko głowę i czyhał na służące, które myły okna nie przypiąwszy się takim pasem do ściany. Taka brawura kosztowała dwa złote, a to była duża część miesięcznej „pensji" dziewczyny. Z mojego okna obserwowałem nieraz wyczyny młodych ludzi z przeciwka, którzy na dużych wysokościach wychylali się daleko, ufając swym pasom, zawisali na nich, wyczyniali ewolucje „mrożące krew w żyłach". Dzisiaj jakoś ludzie myją okna bez zabezpieczeń: albo zmysł równowagi mają lepszy, albo nie ma spółdzielni, która by podjęła produkcję „odnośnych" pasów. Zresztą po co, skoro i tak w razie tragicznego przechyłu człowieka wypadłoby wraz z nim całe okno, nawet z kawałkiem ściany...

Okna duże i bardzo duże — zdarzały się i takie, zwłaszcza w budynkach reprezentacyjnych, urzędach, sklepach — dzielono ramkami na szereg małych powierzchni. Szachownica dzielących ramek nie przeszkadzała nikomu, a stanowiła znakomite wzmocnienie i usztywnienie całej konstrukcji. Dzisiejsze parametrowe szybka, ujęte w jakże wątłe ramki z niedostatecznie wysuszonego drewna, kryją w sobie z natury i z urodzenia niebezpieczeństwo wichrowania, wypaczania, wykręcania. Takie ogromne okno najpierw nie chce się otworzyć, potem przy zamykaniu nie mieści się w swoje łożysko, tu się zassie, tam zostanie szpara, a kiedy zdenerwowany użytkownik pociągnie trochę energiczniej — to albo mu w ręku zostaje klamka, albo całe okno idzie w diabły. A spróbuj potem wprawić nową szybę! Skąd to wziąć, gdzie tego szukać? Ale cóż...: wyprodukowanie okna bez przedziałek jest o tyle mniej pracochłonne, że wszystko inne przestaje się natychmiast liczyć. To jest kryterium sine qua non czyli non plus ultra, jak mawiał pewien sierżant w mojej podchorążówce.

Dobrze, że przynajmniej dzieci nie wybijają tych wielgachnych szyb. Dlaczego nie wybijają? Bo piłki nie kopniesz wyżej pierwszego piętra, a zresztą wcale jej nie kopniesz bo nikt w piłkę na betonowych, zapchanych samochodami płytach grać nie będzie, a zresztą po co grać w piłkę, kiedy Bomek z Tomaszewskim robią to lepiej i wystarczy na ich popatrzeć?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

I CO DALEJ „ZIELONY LUDZIKU?"

Modne ostatnio stały się koncepcje Ericha von Dänikena. Po niefortunnej dyskusji, opublikowanej niedawno w „Kulturze" z „Antydänikenem" wystąpiła „Polityka". Na łamach tego tygodnika trzech młodych pracowników nauki: archeolog— Jacek Lech, archeolog — Andrzej Niwiński i historyk sztuki — Mariusz Ziółkowski wystąpili z argumentami przeciwko temu, co głosi autor „Wspomnień z przyszłości". Młodzi pracownicy nauki w sposób spokojny i rzeczowy prezentują swoje poglądy i posługując się argumentami zaczerpniętymi z dorobku nauki wykazują fałszywość niektórych dänikenowskich koncepcji.

Co by się o publikacjach Ericha von Dänikena nie mówiło i sądziło, a polski czytelnik zna do tej pory tylko dwie, to znamienny dla mnie jest fakt, że tematykę tych książek podjęły dwa tak poważne pisma, jak „Kultura" i „Polityka". W „Polityce" w roli diabelskiego adwokata, odpierającego ataki antydänikenowców wystąpił Maciej Iłowiecki. W swoim artykule zwrócił on m. in. uwagę na dość charakterystyczne zjawisko. Wszyscy przeciwnicy autora „Wspomnień z przyszłości" atakują jego i jego poglądy w taki sposób, jakby to tylko on jeden jedyny je głosił. Bierze się to niewątpliwie stąd, że Erich von Däniken, choć popełnia błędy i nie raz w sposób aż nadto jaskrawy naciąga fakty, to przecież pisze w sposób sugestywny, nadzwyczajnie pobudzający wyobraźnię czytelnika.

Myślę, że popularność książek Ericha von Dänikena bierze się nie tylko stąd, że współczesnym ludziom potrzebne są współczesne baśnie, odpowiadające aktualnemu poziomowi cywilizacji, ale stąd, że człowiek z epoki rewolucji naukowo-technicznej łaknie dobrych książek popularyzujących technikę i wiedzę. A u nas, niestety, nie ma ludzi zawodowo zajmujących się popularyzacją nauki. Natomiast autorzy książek o nauce i technice świadomie adresują je wyłącznie do specjalistów i niech się później nie dziwią, że mało kto te książki czyta.

Maciej Iłowiecki w „Polityce" pokazał, że problematyką ewentualnej wizyty kosmicznej na Ziemi zajmują się również ludzie nauki. Wspomniał on o hipotezach dra I. S. Lisiewicza z Akademii Nauk ZSRR, dra W. I. Awińskiego oraz znane już patenty eksperta NASA, J. Blumricha. Ale warto byłoby również wiedzieć, że możliwość odwiedzin Ziemi przez kosmicznych braci na długo przed Erichem von Dänikenem zakładali m. in. radziecki fizyk M. M. Agrest oraz A. Kazancew. Zwolennikiem poglądu o istnieniu w kosmosie obcych, wysoko rozwiniętych cywilizacji był radziecki astrofizyk, J. Szkłowski. I tu ciekawa sprawa. Tenże sam J. Szkłowski, który swego czasu wysunął hipotezę, że księżyce Marsa są sztucznymi tworami, teraz nagle dokonał zwrotu o 180 stopni i wystąpił z tezą, że życie na Ziemi jest wyjątkiem. Doszedł on bowiem do wniosku, że nic nie wskazuje na to, aby wokół którejkolwiek z gwiazd istniała taka planeta, na której mogłaby istnieć wysoko rozwinięta cywilizacja. Przeciwnicy hipotezy o kosmicznych odwiedzinach na Ziemi otrzymali, zdawałoby się, dodatkowy argument, umacniający ich przekonania.

Zupełnie nieoczekiwanie w obronie małych „zielonych ludzików" wystąpił Stanisław Lem. Znakomity polski pisarz zawsze z wielką ostrożnością odnosił się do wszelkich hipotez o kosmicznych odwiedzinach na Ziemi, skłaniając się raczej ku przekonaniu, że kosmiczni bracia niezbyt się Ziemią intresują, mając swoje, bardziej dla nich istotne, sprawy. W polemice z J. Szkłowskim Stanisław Lem przypomniał, że istnieje zjawisko, które on umownie nazywa „horyzontem wiedzy". Przed tym „horyzontem wiedzy" znajduje się wszystko, to, co już wiemy, za — wszystko to, czego nasza cywilizacja jeszcze nie wie, nie rozumie, a nawet w oparciu o posiadaną wiedzę nie jest w stanie domyślać się.

To przypomnienie o istnieniu „horyzontu wiedzy" wydaje się dość istotne w toczących się sporach. Warto bowiem pamiętać, że jeśli czegoś jeszcze dokładnie nie wiemy, to wcale z tego nie wynika, że tego czegoś zupełnie nie ma. Warto również wiedzieć, że bez śmiałych i ryzykownych hipotez wychodzenie poza „horyzont wiedzy" jest zupełnie niemożliwe.

MARCIN RODAK

SPORT

CUDOTWÓRCA CZY FACHOWIEC

Hubert Wagner, rezygnując po Olimpiadzie w Montrealu z prowadzenia męskiej reprezentacji siatkarzy, oświadczył, że chętnie zająłby się treningiem reprezentacji pań. Nikt jednak tej oferty nie traktował poważnie, natomiast zupełnie serio zajęto się metodami pracy byłego trenera kadry. Posypały się artykuły, wywiady i reportaże, z których niedwuznacznie wynikało, że Hubert Wagner był katem polskich ciatkarzy, czyli mistrzów świata i mistrzów olimpijskich. W tej sytuacji trudno się nawet dziwić, że skręcano się wewnętrznie na myśl powierzenia żeńskiego zespołu temu tyranowi. I oto minęło trochę więcej niż rok, od momentu, kiedy Wagner złożył swoją deklarację i wybuchła sensacja: Hubert Wagner został mianowany trenerem żeńskiej reprezentancji Polski w piłce siatkowej.

W dzisiejszym sporcie rola trenera, a już szczególnie w dyscyplinach zespołowych, tak wzrosła, że coraz częściej mówi się nie o sukcesach drużyny, a o sukcesach jej trenera. Każdy kibic piłki nożne wie, że architektem sukcesów piłkarzy na mistrzostwach świata w Monachium był Kazimierz Górski. Powszechnie mówiono i pisano o sukcesach i porażkach zespołu Kazimierza Górskiego, tak, jak również mówiono częściej nie tyle o medalach zdobytych przez polskich siatkarzy, co o sukcesach Huberta Wagnera i jego zespołu. Taki stosunek do niektórych trenerów wynika po prostu z ich nieprzeciętnej indywidualności.

Wysokie uznanie dla trenerskiej pracy ma i tę ujemną stronę, że rodzi niczym nieuzasadnione przekonanie o jej cudotwórczej mocy. Nie przypadkiem po zdobyciu ostatnio przez polskich siatkarzy tytułu wicemistrza Europy, tu i ówdzie dały się słyszeć głosy, że gdyby drużyną kadry kierował jej poprzedni trener, złoty medal mielibyśmy w kieszeni. Trenera-cudotwórcy nie traktuje się jak specjalisty wysokiej klasy, nie pyta się go o koncepcję, warunki i czas niezbędny do jej realizacji. Żąda się od niego wyłącznie sukcesu, zabierając mu prawo do eksperymentu i co za tym idzie — ryzyka. Uważa się często, że cudotwórca osiągnie sukces wbrew rzeczywistości, co gorzej — takie przekonanie panuje nie tylko wśród kibiców. Również wśród działaczy sportowych. Stąd właśnie te częste zmiany trenerów klubowych, które mają być jedynym i najwłaściwszym sposobem wyjścia z impasu. Nowy trener spełnia często rolę straży pożarnej, która ma gasić pożar, ale nie bardzo wie co i gdzie się pali.

Jeżeli trener — specjalista awansowany do roli cudotwórcy nie zapewni natychmiastowego i długotrwałego sukcesu, to musi się liczyć z tym, że natychmiast zacznie się podważać wszelkie jego kwalifikacje. Leszkowi Jezierskiemu na przykład trudno odmówić wysokich umiejętności trenerskich. Potwierdził je jeszcze raz wyprowadzający jedenastkę ŁKS z głębokiego kryzysu. Zdobycie w ubiegłym roku przez ŁKS tytułu mistrza jesieni wywołało absolutną euforię. Przyszedł jednak ponowny kryzys i wielu było skłonnych odmówić Jezierskiemu wszelkich kwalifikacji. Teraz, kiedy drużyna ponownie odzyskała swoją straconą pozycję, nie ma już ochów i achów. A przecież wszyscy powinni doskonale wiedzieć, że sukcesów nie zdobywa się bez rzetelnej, solidnej i wytrwałej pracy, na którą przecież potrzeba trochę czasu.

Po Jacku Gmochu również spodziewano się gwałtownego sukcesu piłkarzy. Kiedy jednak zaczęło brakować efektywnych zwycięstw, wiele wątpliwości zaczęły budzić jego metody budowania reprezentancji. Wiele żalu i zwątpienia przyniosły przegrane przez polską reprezentację międzypaństwowe mecze towarzyskie. Również decydujący o awansie do finałów Mundial 78 mecz z Portugalią nie wywołał zachwytów. I dopiero teraz, po zakwalifikowaniu się polskich piłkarzy do finałów, kibice, korzystając z pośrednictwa prasy i telewizji, zaczęli z Jackiem Gmochem dyskutować. Wprawdzie nie wyzbyli się jeszcze wątpliwości i zgłaszają krytyczne uwagi, ale taki stosunek jest bardziej racjonalny, niż gdyby uznali go za przegranego cudotwórcę. Zaczęto wreszcie Gmocha traktować jak fachowca co w naszym życiu jest zjawiskiem stosunkowo rzadkim.

Po decyzji o objęciu przez Wagnera kobiecej reprezentacji, wszyscy zaczęli się gwałtownie martwić, jak sobie poradzi w trudnej sytuacji, tym bardziej że jednocześnie będzie nadal prowadził pierwszoligowy zespół Legii. I w ogóle co to będzie, jeśli zacznie obwieszać dziewczyny różnymi ciężarkami. Odpowiadając na pytania dziennikarzy wyrażających te wątpliwości, Hubert Wagner zapewnił, że zdaje sobie sprawę z faktu, iż nie może powtarzać swoich trenerskich doświadczeń z zespołem siatkarzy, ale obiecał, w miarę upływu czasu, intensyfikację treningów. Polskie siatkarki daleko odstają od światowej czołówki i dlatego, jako najbliższy cel, ich nowy trener stawia zakwalifikowanie się do olimpijskich finałów. Nie obiecując żadnych medali. I tym stwierdzeniem Hubert Wagner dał do zrozumienia wszystkim, że nie życzyłby sobie, aby traktowano go jako cudotwórcę. Nie jest to życzenie zbyt wygórowane, bo z poczuciem rzeczywistości powinno się traktować pracę wszystkich trenerów.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul Piotrkowska 96 kody poczt 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2415. W-11.